

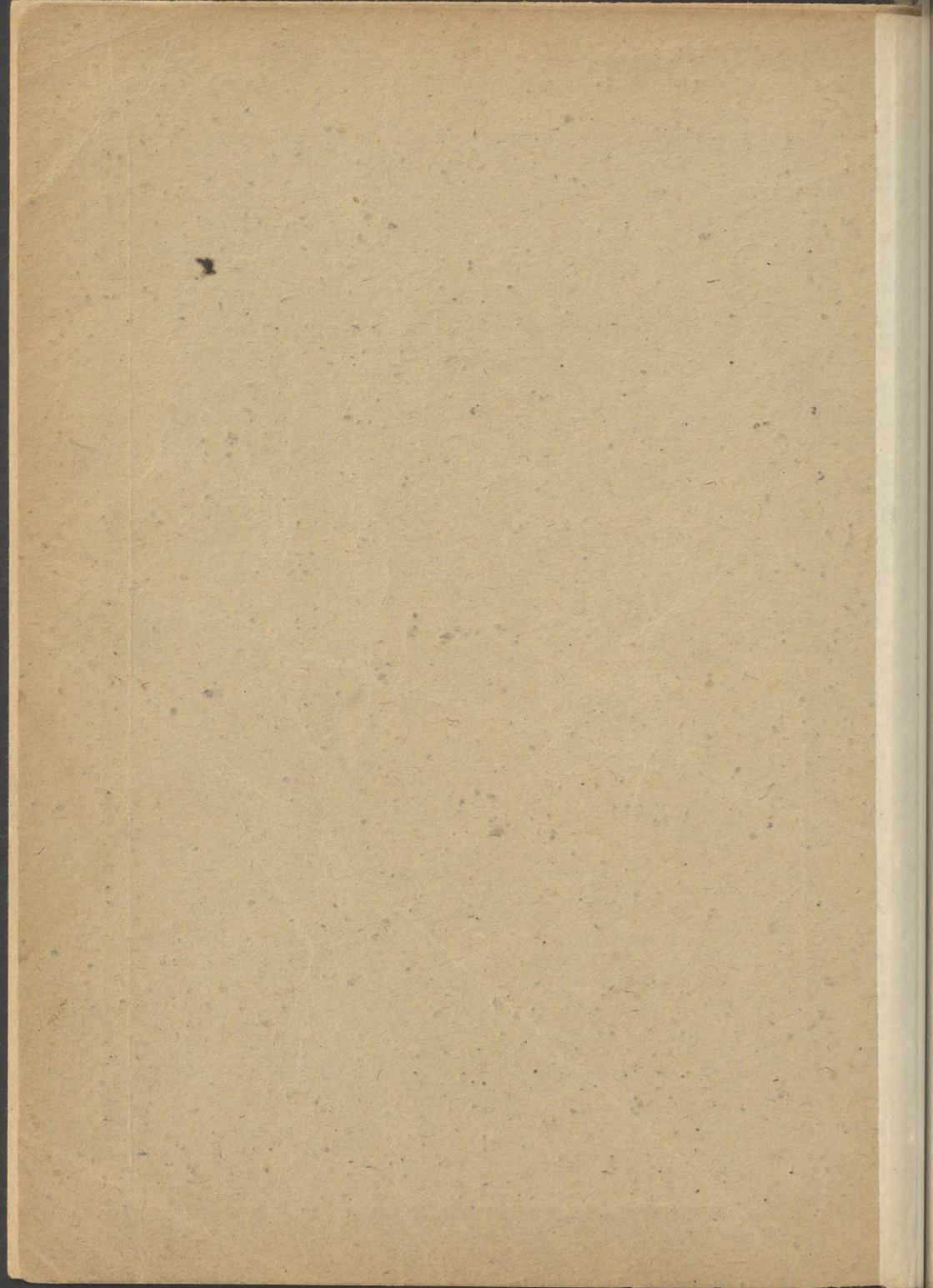
68 032

TADEUSZ BOROWSKI

pożegnanie z Marią

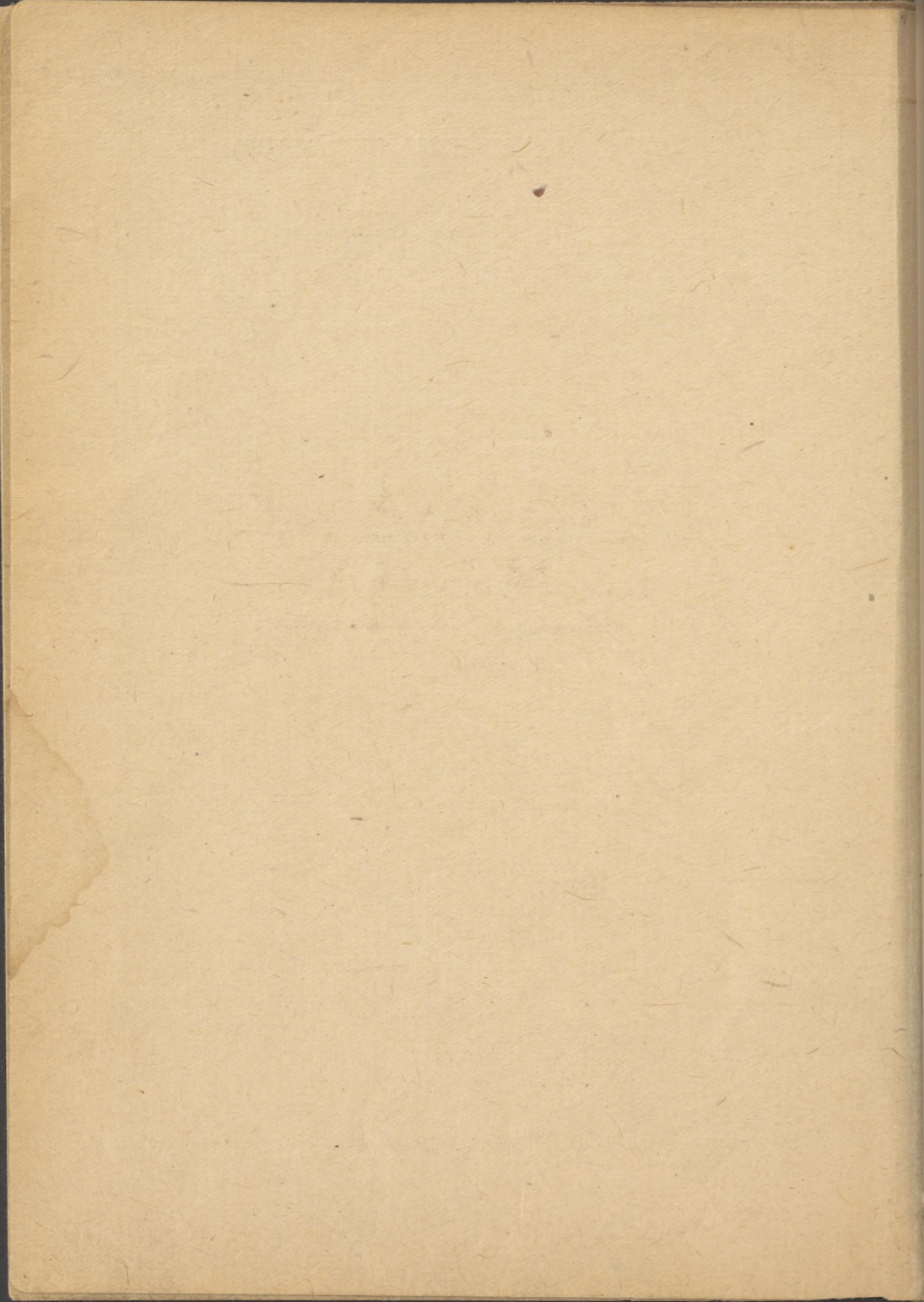


SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA · WIEDZA ·



T. BOROWSKI • POŻEGNANIE Z MARIA

12 XI



65232
53643

ni: obijana

TADEUSZ BOROWSKI

POŻEGNANIE
Z MARIĄ

OPOWIADANIA

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA”

WARSZAWA 1948

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁA
M. HISZPAŃSKA

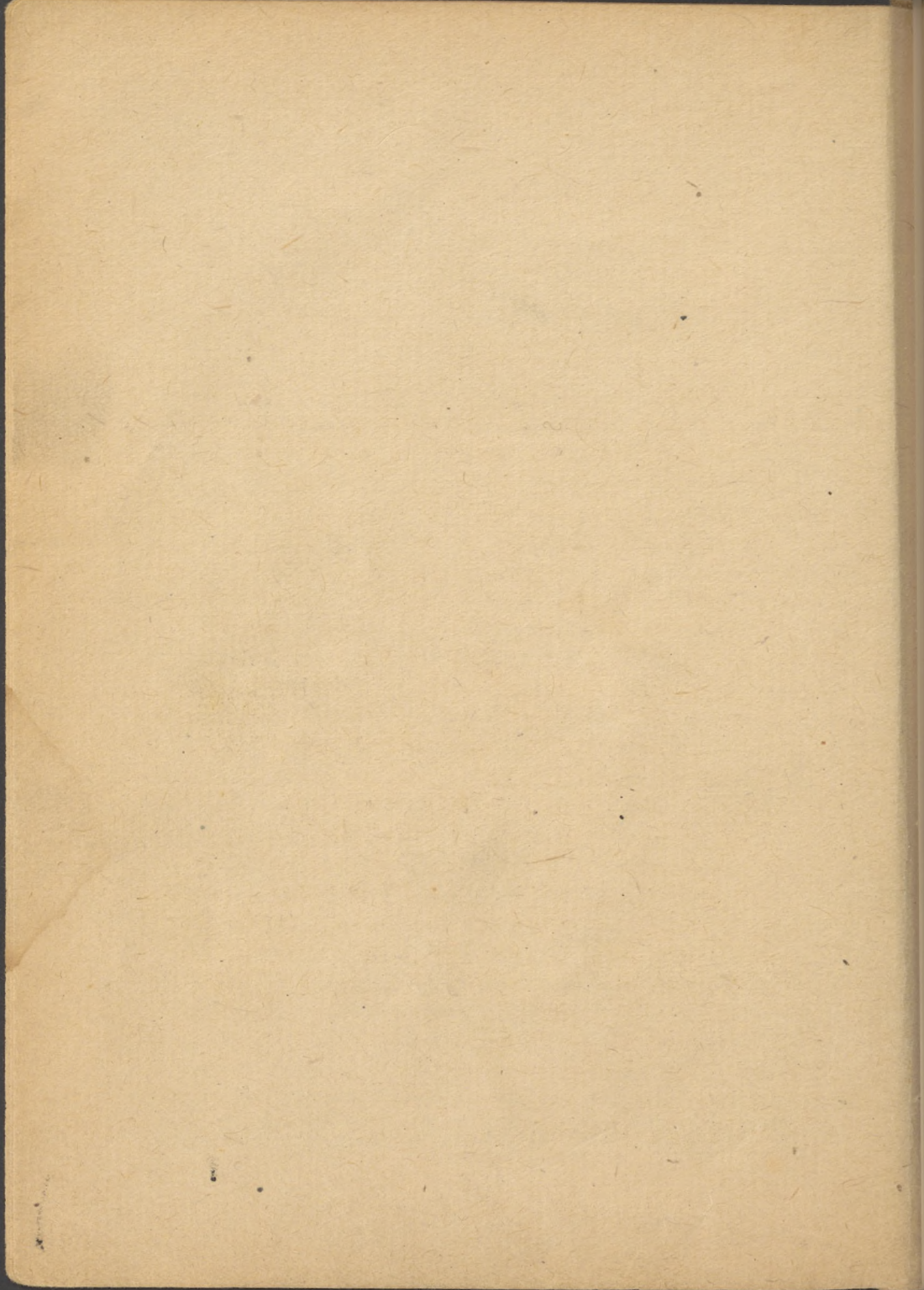
2.8.14/68



ALL RIGHTS RESERVED
COPYRIGHT BY
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„WIEDZA” WARSZAWA 1948 R.
PRINTED IN POLAND

Drukarnia Nr 5 „Wiedza”, Chorzów, Pl. 1 Maja 17. — R. 15054.
Nakład 5000 + 300. Papier dziełowy 80 gr. Data wykonania III. 48.

POŻEGNANIE Z MARIĄ



Za stołem, za telefonem, za sześcianem biurowych ksiąg — okno i drzwi. We drzwiach dwie tafle szklane, czarne, lśniące od nocy. I jeszcze niebo, tło okna, pokryte opuchłymi chmurami, które wiatr spycha w dół szyby, ku północy, poza mury spalonego domu.

Spalony dom czernieje po drugiej stronie ulicy na wprost furtki w ochronnej siatce zakończonej srebrzystym drutem kolczastym, po którym jak dźwięk po strunie ślizga się fioletowy odblask migocącej latarni ulicznej. Na tle burzliwego nieba, na prawo od domu, omotane mlecznymi kłęбами przelotnego dymu lokomotyw, patetycznie rysuje się bezlistne drzewo, nieruchome w wichrze. Naładowane towarowe wagony mijają je i z łoskotem ciągną na front.

Maria podniosła głowę znad książki. Smuga cienia leżała na jej czole i oczach i spływała wzdłuż policzka jak przejrzysty szal. Położyła ręce na grzybku stojącym wśród pustych butelek, talerzy z niedojedzoną sałatką, brzuchatych, karmazynowych kieliszków o granatowych podstawkach. Ostre ^{ciemne} światło, które załamywało się na granicy przedmiotów, wsiąkało jak w dywan w niebieski dym, zalegający pokój, odpryskiwało od kruchych, łamliwych krawędzi szkielek i migotało we wnętrzu kieliszków jak złoty liść na wietrze — nabiegło strugą w jej dłonie, a one rozświetloną, różową kopułą zamknęły się szczelnie nad nim i tylko bardziej różowe linie między palcami

pulsowały prawie niedostrzegalnie. Przyćmiony pokoik napęłnił się poufnym mrokiem, zbiegł się ku dłoniom i zmalował jak muszla.

— Patrz, nie ma granicy między światłem i cieniem — szepnęła Maria. — Cień jak przyływ podpełza do nóg, otacza nas i zacieśnia świat tylko do nas: jesteśmy ty i ja.

Pochyliłem się ku jej wargom, ku drobnym spękanom, ukrytym w ich kącikach.

— Pulsujesz poezją jak drzewo sokiem — powiedziałem żartobliwie, otrząsając głowę z natrętnego, pijackiego szumu. — Uważaj, żeby świat ciebie nie zranił toporem.

Maria rozchyliła wargi. Między zębami drżał leciutko ciemny koniuszek języka: uśmiechała się. Kiedy mocniej zacisnęła palce wokół grzybka, błysk leżący na dnie jej oczu zmatowiał i zgasł.

— Poezja! Dla mnie to rzecz tak niepojęta jak słyszenie kształtu albo dotyk dźwięku. — Odchyliła się w zadumie na poręcz kozetki. W półcieniu czerwony, obcisły sweter nabrał purpurowej soczystości i tylko na grzbietach fałd, gdzie ślizgało się światło, lśnił karminową, puszystą barwą. — Ale tylko poezja umie wiernie pokazać człowieka. Myślę: pełnego człowieka.

Zabębniłem palcami o szkło kieliszka. Odezwał się kruchym, nietrwałym dźwiękiem.

— Nie wiem, Mario — rzekłem, wzruszywszy z powątpiewaniem ramionami. — Sądzę, iż miarą poezji, a może i religii, jest miłość człowieka do człowieka, którą one budzą. A to jest najbardziej obiektywnym sprawdzeniem rzeczy.

— Miłość, oczywiście, że miłość! — powiedziała, mrugając oczu, Maria.

Za oknem, za spalonym domem, na szerokiej, podzielonej skwerem ulicy, jeździły ze zgrzytem tramwaje.

powieści
Credo →
Borowickiego

powieści
peron.

Spinka

1. kolwie

Elektryczne błyski rozświetlały fiolet nieba, jak odpryski z sinego pożaru magnezji przebijały się przez mrok, oblewały księżycowym światłem dom ulicę i bramę, ocierając się o czarne szyby okienne spływały po nich i bezszelestnie gasły. Chwilę po nich gasł również wysoki, cienki śpiew tramwajowych szyn.

Za drzwiami, w drugim pokoiku puszczone znowu patefon. Zdławiona, jakby grana na grzebieniu melodia zacierała się w natarczywym szuraniu tańczących nóg i gardłowych śmiechach dziewczęcych. *perno!*

perso. zdawia wprze 1900.

— Jak widzisz, Mario, oprócz nas jest jeszcze inny świat — roześmiałem się i wstałem z kozetki. — To widzisz jest tak. Gdyby można było rozumieć cały świat, czuć cały świat, widzieć cały świat, tak jak się rozumie swoje myśli, czuje się swój głód, widzi się okno, bramę za oknem i chmury nad bramą, gdyby można było widzieć wszystko jednocześnie i ostatecznie, wtedy — powiedziałem z namysłem, okrążywszy kozetkę i stanąwszy pod rozgrzanym piecem między Marią, a majolikowymi kafelkami i workiem z kartoflami, zakupionymi w jesieni na zimę — wtedy miłość byłaby nie tylko miarą, ale i ostateczną instancją wszystkich rzeczy. Niestety, zdani jesteśmy na metodę prób, na samotne, zwodnicze przeżycie. Jakże to niepełna, jakże fałszywa miara rzeczy!

rozważani. 1. 10.

Drzwi od pokoiku z patefonem otworzyły się. Chwiejąc się w takt melodii wszedł Tomasz, oparty o ramię żony. Jej lekko ciężarny, a od wielu miesięcy stateczny brzuch cieszył się nieustającym zainteresowaniem przyjaciół. Tomasz podszedł do stołu i chwiał się nad nim rozrosłym, pękatym, masywnym jak u wołu łbem.

— Źle się starasz, bo wódki nie ma — rzekł z miękkim wyrzutem, starannie zlustrowawszy naczynia, i odpłynął, popychany przez żonę, w kierunku drzwi. Patrzył w nią tępyim wzrokiem jak w obraz. Mówiło się, że to za-

wodowo, gdyż handlował fałszywymi Corotami, Noakowskimi i Pankiewiczami. Poza tym był redaktorem syndykalistycznego dwutygodnika i uważał się za radykalnego lewicowca. Wyszli na skrzypiący śnieg. Kłęby mroźnej pary przewinęły się po podłodze jak włochate motki białej bawełny.

W ślad za Tomaszem do kantoru majestatycznie woczyły się taneczne pary, pokręciły się sennie koło stołu, majolik i kartofli, starannie omijając zacieki pod oknem, i zostawiwszy czerwone ślady od świeżo pastowanej posadzki wróciły tam, skąd wyszły. Maria poderwała się od stołu, poprawiła automatycznym ruchem włosy i powiedziała:

— Muszę już iść, Tadeusz. Kierownik prosił, żeby zacząć wcześniej.

— Masz jeszcze dobrą godzinę czasu — odrzekłem.

Okrągły zegar firmowy o pociętej blaszanej tarczy tykał miarowo, zawieszony na długim sznurku między na wpół rozwiniętym plakatem, rysunkiem urojonego widnokregu, a węglową kompozycją, przedstawiającą dziurkę od klucza, przez którą widać fragment kubistycznej sypialni.

— Wezmę Szekspira, postaram się zrobić w nocy Hamleta na wtorkowy komplet.

Przeszedłszy do drugiego pokoju, kucnęła przy książkach. Półka zbita była prymitywnie z nieheblowanych desek. Deski uginały się pod ciężarem książek. W powietrzu leżały błękitne i białe pasma dymu oraz unosił się ciężki zapach wódki, zmieszany z odorem ludzkiego potu i wapienną wonią wilgotnych, gnijących ścian. Chwiały się na nich, jak bielizna na wietrze, jaskrawo malowane kartony i, jak morskie dno, przeświecały się kolorowymi liniami meduz i koralu poprzez błękitny opar. W czarnym oknie, odgradzony szybą od nocy, zaplątany w cienką

koronkę firanki, wyszachrowanej za psie pieniądze od złodziejki kolejowej, smętny, zapijaczony skrzypek (który uważał siebie za impotentą) na próżno usiłował jękiem instrumentu zagłuszyć charczenie patefonu. Zgarbiony jak pod workiem cementu wydobywał ze skrzypiec z ponurą zaciętością jeden tylko pasaż. Od dwu godzin ćwiczył się do niedzielnego koncertu poetycko-muzycznego. Występował wtedy umyty, w wizytowym garniturze w paski, miał twarz melancholijną i oczy senne, jakby czytał z powietrza nuty.

Na stole, na obrusie w czerwone kwiaty, wyszachrowanym od złodziejki kolejowej, między kieliszkami, książkami i nadgryzionymi kanapkami leżały gołe i brudne nogi Apoloniusza. Apoloniusz huśtał się na krzeselku i odwracając się do drewnianego, pomalowanego wapnem przed pluskwami tapczana, na którym, jak dżdżące się ryby na piasku, leżeli półpijani ludzie, donośnym głosem mówił:

— Czy Chrystus byłby dobrym żołnierzem? Nie, raczej dezterem. Przynajmniej pierwsi chrześcijanie uciekali z armii. Nie chcieli się sprzeciwiać złu.

— Ja się sprzeciwiam złu — rzekł leniwie Piotr. Leżał rozwalony między dwiema rozmamłanymi dziewczynami i gmerał rękoma w ich fryzurach. — Zdejm nogi ze stołu albo je umyj.

— Umyj nogi, Polek — rzekła dziewczyna spod ściany. Miała grube, rozlane uda i czerwone, mięsiste wargi.

— Ale! chcielibyście. Uważacie, był taki szczerp Wandaków, bardzo tchórzliwy — ciągnął Apoloniusz, zsunąwszy piętą talerze na kupę — wszyscy ich tłukli i z Danii czy z Węgier wygnali do Hiszpanii. Tam Wandale wsiedli na okręty, pojechali do Afryki i doszli piechotą pod Kartaginę, gdzie biskupem był św. Augustyn, ten od św. Moniki.

— A wtedy święty wyjechał na osle i nawrócił Wandalów — powiedział spod pieca młodzieniec, pyknawszy z fajki. Wydymał pulchne, różowe policzki, pokryte złocistym puszkciem jak owoc brzoskwini. Pod oczyma miał wielkie sińce. Pianista, dłuższy czas żył z pianistką o uroczych dołkach w buzi i drapieżnym, namiętym spojrzeniu. Latem ochrzciliśmy go (bo był wyznania narodowego) przy zapalonych świecach, wiechciach kwiatów i miednicy chłodnej, kaplicznej wody, którą zapobiegliwy ksiądz umył mu dokładnie głowę, a zaraz po chrzcie na najruchliwszym punkcie Grójeckiej wymigiwaliśmy się od łapanki ulicznej. Pożeniliśmy ich nierychło, bo dopiero późną zimą. Rodzice odmawiali błogosławieństwa ze względu na mezalians. Wprawdzie ustąpili i użyczyli muzykom pokoju do spania i fortepianu do ćwiczeń oraz kuchni do produkcji bimbru, ale nie zechcieli zaprosić na wesele przyjaciół, więc przyjaciele weselisko urządzili sami. Panna młoda w sztywnej, niebieskiej sukni siedziała w fotelu nieruchomo, jakby połknęła kij. Była senna, zmęczona i pijana.

— Miło tu u was, bardzo miło, wiesz? — Żydóweczka, która uciekła z ghetta i tej nocy nie miała gdzie spać, uklękła koło Marii przy książkach i objęła ją ramieniem. — To dziwne, tak dawno nie miałam w ręku szczoteczki do zębów, kanapki, filiżanki z herbatą, książki. Wiecie, to trudno nawet określić. I wciąż to uczucie, że trzeba odejść. Ja się panicznie boję!

Maria pogłaskała ją, milcząc, po ptasiej głowie, ozdobionej lśniącoymi falami przylizanych włosów.

— Przecież pani była pieśniarką? Chyba niczego pani nie brakowało. — Miała na sobie żółtą sukienkę w chryzantemy z wyzywającym dekoltem. Zza niego wychylała się żalotnie kremowa koronka koszulki. Na długim łańcuszku kołysał się między piersiami złoty krzyżyk.

— Brakowało? Nie, nie brakowało — odrzekła z błyskiem zdziwienia w zażawionych, krowich oczach. Miała szerokie, rozłożyste biodra, dobre do rodzenia. — Niech pan zrozumie, z artystkami nawet Niemcy inaczej... — urwała i zamyśliła się, patrząc tępo w książki. — Platon, Tomasz z Akwinu, Montaigne — dotykała polakierowanym na purpurowo paznokciem obszarpanych grzbietów kupionych na wózkach i wykradzonych z antykwariatu książek.

— Tylko, żeby pan widział to, co ja widziałam za murami...

— Augustyn napisał sześćdziesiąt trzy książki! Kiedy Wandalowie oblegli Kartaginę, robił właśnie korektę i przy niej umarł! — rzekł maniacko Apoloniusz. — Po Wandalach nie zostało nic, a Augustyna dzisiaj czytają. Ergo — wzniosł dłoń z rozczapierzonymi palcami ku sufitowi — wojna minie, a poezja zostanie, a wraz z nią zostaną moje winiety!

Pod sufitem suszyły się na sznurach okładki tomiku poetyckiego. Ciągnęło od nich tęgą farbą drukarską. Światło przebijało się przez czarne i czerwone płaszczyzny pakowego papieru i plątało się wśród kartek jak w gąszczu leśnym. Okładki szeleściły jak suche liście.

Zydóweczka podeszła do patefonu i zmieniła płytę.

— A ja myślę, że po aryjskiej stronie też będzie ghetto — powiedziała, patrząc z ukosa na Marię. — Tylko nie będzie z niego wyjścia. — Odplynęła w tańcu, zabrana przez Piotra.

— Ona jest zdenerwowana — rzekła cicho Maria. — Jej rodzina została za murami.

Igła trafiła na pęknięcie w płycie i zawodziła monotonnie. We drzwiach stanął zarumieniony Tomasz. Jego żona poprawiła sukienkę na lekko wypukłym brzuchu.

— Jeszcze tylko kilka ciężkich chmur nie porozpychanych nozdrzem konia — zadekklamował i wskazawszy ręką za okno, na bramę, krzyknął z uczuciem. — Koń, koń!

W kręgu złotawego światła znad drzwi śnieg oślepiąco biały i gładki leżał jak talerz na popielatym obrusie, dalej, w cieniu, szarzał i siniał, jakby odbijał niebo, aż dopiero przy furtce mienił się w blasku lampy ulicznej. Załadowana jak wóz z sianem platforma stała w ciemności nieruchoma jak góra. Czerwona latarnia kołysała się pod kołami, kładąc na śnieg rozchwiane cienie, oświetlając nogi i podbrzusze konia, który wydawał się wyższy i tęższy niż zazwyczaj. Szły od niego kłęby pary, jakby oddychał skórą. Zwiesił łeb, był zmęczony.

Furman stał obok wozu i cierpliwie czekał, zabijając rękoma o pierś. Kiedy odciągnęliśmy z Tomaszem skrzydła bramy, sięgnął bez pośpiechu po bat, machnął lejcami i cmoknął. Koń poderwał łeb, szarpnął się całym ciałem na boki, ale wóz nie ruszył. Przednie koła utkwily w rynsztoku.

— Za pysk cholere i do tyłu — rzekłem ze znawstwem. — Zaraz położę deskę do rynsztoka.

K'sobiel — krzyknął furman, napierając na dyszel.

Zandarm w niebieskim płaszczu, pilnujący sąsiedniego budynku byłej szkoły miejskiej, napakowanej jak więzienie ochotnikami, przeznaczonymi na roboty do Prus, bijąc tępo podkutymi butami o kamienie chodnika, nadszedł od strony latarni. Przez pierś miał przewieszony reflektor na rzemieniach. Podkreślił kontakt i uprzejmie zaświecił.

— Za dużo kłamoto w naładowane — rzekł rzeczowo. Spod okapu hełmu, z głębokiego cienia oczy jego błyszczały nad strugą światła ostro jak wilcze ślepie. Co dzień rano przychodził do kantoru telefonować po zmianę

warty i nieodmiennie meldował, że nic ważnego w ciągu nocy nie zaszło.

Koń chrapnął, osadził się na tylnych nogach, naparkł ciałem do tyłu i platforma dźwignęła się po kocich łbach. Teraz koń pociągnął ku przodowi. Wóz naładowany po wierzch jak krypa walizami, tłumokami, betami, meblami i brzęczącymi naczyniami z aluminium chwiejąc się wjechał po deskach na podwórze. Żandarm zgasił reflektor, poprawił na sobie pasy i miarowym krokiem oddalił się w stronę szkoły. Zwykle ją mijał, dochodził do małego kościółka księży pallotynów (częściowo spalonego we wrześniu i odnawianego pieczołowicie a nieustannie w ciągu całego sezonu materiałami z naszej firmy), skręcał pod gnijącym murem schroniska dla bezrobotnych, mieszczącego się w pofabrycznych halach tuż przy torze kolejowym. Był to ruchliwy port przeładunkowy, tędy bowiem płynęły belami i pojedynczo korce, kupony materiałów, ciepłe ubrania, skarpety, konserwy, serwisy, firanki, obrusy i ręczniki oraz wszelkie inne dobro, kradzione z pociągów towarowych, idących na front, a także kupowane od obsługi wagonów sanitarnych, które wracając z frontu z zegarkami, jedzeniem, rannymi, bielizną i częściami do maszyn, meblami i zbożem zatrzymywały się często na dworcu jak przy molu portowym.

Furman trzasnął jeszcze raz dla fantazji batem, cofnął konia i podjechał tyłem pod drewnianą szepę. Koń robił bokami i dymił parą. Odprężony z szorstką czułością przez woźnicę, postąpił chwilę w dyszlach jakby znużony ponad siły, wreszcie, podgoniony ostro, ruszył wolno pod kran i wetknął pysk w kubeł. Wypiwszy do dna, nadsiorbnął wody z drugiego i włócząc za sobą uprzęż poszedł w stronę otwartych drzwi stajni.

— Sporo przywiozłeś, Olek — rzekłem, rozejrzawszy się w zasobach platformy.

— Wszystko kazała zabrać — rzekł woźnica. — Patrz pan, załadowałem nawet taborety z kuchni i półki z łazienki. Stara stała nade mną, jak kat nad dobrą duszą.

— Nie bała się tak w biały dzień?

— Pozwolenie dla niej dostał zięć od swego kolegi — rzekł Olek. Twarz miał kościstą, wychudłą, ściągniętą mrozem. Zrzucił czapkę. Sztywne od wapna włosy rozmierzwiły mu się nad czołem.

— A córka?

— Została z mężem. Kłóciła się ze starą, że musi zostać jeszcze dzień. — Popluł w żylaste, wykrzywione dłonie, zżarte od cementu, wapna i gipsu.

— A no, będziemy zdejmować. — Wlazł na wóz, rozplątał sznury i począł podawać jedno po drugim krzeselka, wazon, poduszki, kosze z bielizną, pudła staroświeckie, osznurowane książki. Chwytałyśmy je z Tomaszem i na cztery ręce wnosiliśmy do zatęchłej, ciemnej szopy, układając towar na betonie między workami z na wpół skamieniałym cementem, stosem cuchnącej smołą czarnej papy a kupą suchego wapna przeznaczonego na detaliczną sprzedaż chłopom. Wapno cienkim pyłem unosiło się w powietrzu i gryzło nieznośnie nozdrza. Tomasz sapał spazmatycznie. Był chory na serce.

— Powiedz pan, po co ją kierownik wziął do siebie? — zapytał woźnica, skończywszy ładunek.

— Zrobiła go człowiekiem, to się jej wywdzięcza. — Zasunąłem drzwi szopy i zamknąłem je na kłódkę.

— Wdzięczność jest rzeczą piękną — rzekł Tomasz. Oddychał miarowo, wciągając głęboko powietrze. Chwytał w garście śnieg i mył nim dłonie. Wytarł je o spodnie.

— Taa... narobiłem się dzisiaj — powiedział furman, złażąc z platformy. Nie mógł się swobodnie ruszać w twardym kozuchu, pokrytym skorupą wapna, smoły i dziegciu. Oparł się o wóz, z ulgą pociągnął nosem i otarł ręką czoło. — Panie Tadku, panie Tadku, co ja tam widziałem, to byś pan nie uwierzył. Dzieciaki, kobity... Chociaż i żydowskie, ale wiesz pan...

— Ale pan jakoś wyjechałeś szczęśliwie?

— Inżynier nas widział po drodze. Będzie co z tego?

— Ale — rzekłem lekceważąco — co nam te ciapciaki mogą zrobić? Jak kierownik chce kupić filię, to muszą z nim dobrze, nie? Pojedziesz z rana z kursem. Metr wapna na lewo. Wrócisz przed siódmą.

— Ano, trzeba rano z dołu wyrzucić. Konia oporzadzę. — Powłókł się w ślad za zwierzęciem do stajni. Przechodząc koło kantoru uchylił czapki.

W złotym kręgu światła jak w aureoli, otoczona jak dłońmi siną nocą, połyskującą pierścieniem gwiazd, stała Maria. Przymknęła za sobą drzwi od muzyki i ludzi i wychekującą patrzyła w mrok. Otrzeptałem ręce z kurzu.

— A jak jutro z rozlewaniem i rozwiezieniem? — Ująłem ją pod ramię i po chrupiącym, czerstwym śniegu poprowadziłem wydeptaną ścieżką do furtki. — Może poczekasz do południa? Rozwieziemy razem.

Staliśmy w otwartej furtce. Po pustej ulicy, otwartej migocącym światłem latarni, tęnym krokiem spacerował żandarm w niebieskim płaszczu, pilnujący szkoły. Nad ulicą, nad światłem latarni, nad stromym dachem wtulonej w mur szopy, szedł z szumem wiatr, niósł dym pociągów, gnały pierzaste obłoki, a nad wiatrem i chmurami drżało niebo głębokie jak dno ciemnego potoku. Księżyc prześwitywał przez chmury jak złoty szmat piasku.

Maria uśmiechnęła się czule.



— Wiesz dobrze, że sama rozwiozę — rzekła z wyrzutem, podając mi usta do pocałunku. Wielki czarny kapelusz ocieniał jej twarz jak skrzydłem. Była o pół głowy wyższa ode mnie. Nie lubiłem przy obcych jej pocałunków.

— Widzisz solipsysto poetycki, co może miłość — rzekł pogodnie Tomasz. — Bo miłość to poświęcenie. Mówię z głębi doświadczenia, bom wiele miał kochanek.

Zmierch, który zaciera rysy człowieka, nadał mu bryłowatość i ciężar, jakby Tomasz był ociosanym z grubsza kamieniem. Pieprzyk pod lewym okiem czerniał filuternie na monumentalnej, jakby kutej z szarego piaskowca twarzy.

— Oczywiście, że miłość! — parsknęła beztroskim śmiechem Maria i dygnawszy nam dystyngowanie, odeszła ulicą wzdłuż siatki, naprzeciw chmurom, które wiatr gnał nad naszymi głowami. Minęła sklep paskarza, gdzie nabywałem chleb i kaszankę na śniadanie, a chłop swoje dzieci zamknięte w szkole. Znikła za rogiem nie obejrząwszy się. Patrzyłem za nią jeszcze chwilę, jakby tropiąc w powietrzu jej ślad.

— Miłość, oczywiście, że miłość! — powiedziałem uśmiechając się do Tomasza.

— Daj furmanowi wódki, jeżeli masz gdzie pod łóżkiem — rzekł Tomasz. — Chodź, trzeba zbratać się z ludem.

II

Nocą spadło trochę śniegu. Zanim otworzyłem oficjalnie bramę na znak rozpoczęcia dnia handlu, wyprawiwszy pijanych gości i sprzątnąwszy pokój, furman, który wstał przed świtem, zdążył wyrzucić wapno z dołu i zawieźć na budowę, a wróciwszy z kursu, wyprząc konia i usunąć z placu ślady kół. Tak wczesnym rankiem na dworze było jeszcze sinawo, a na ulicy — pusto. Z torów kolejowych dochodził grzechot pociągów. Patrolujący żandarm poszarzał i zmałał w odpywającym mroku, który go zostawił na wybrzeżu wyludnionej ulicy jak zapomniany wodorost. W oknach byłej szkoły zaczynały pojawiać się głowy uwieczonych ludzi. W pasarskim sklepiku przy składzie grzali się przy rożarżonym piecyku dwaj granatowi policjanci. Mrugający po pijacku czerwonymi oczyma sklepikarz rozkładał drżącymi rękoma na ladzie za szkłem ser, kaszę i chleb. Chłopka wyciągnęła z koszyka pęta kielbasy, które zniknęły pod ladą w podwójnej ścianie. Przez zamarzniete szyby sączył się szary świt. Po zardzewiałych kratkach spływały brudne krople, monotennie spadały na parapet i ciurkiem lały się na podłogę.

Latem, jesienią, zimą i wiosną — uliczka ślepa, wybrukowana kocimi łbami, śmierdząca zgnilizną otwartych rynsztoków, uliczka zagubiona między grząskim jak przegniły trup polem a szeregiem zmurszałych, parterowych domków, mieszczących pralnię, fryzjera, mydlar-

nię, parę sklepików spożywczych i obskurny bar — dzień w dzień pęczniała wzbierającym, rozfalowanym tłumem, który podpływał pod betonowe mury szkoły, wyciągał twarze ku nowoczesnym oknom, ku pokrytemu czerwoną karpiówką dachowi, podnosił głowy, wymachiwał rękoma i krzyczał. Z otwartych okien szkoły wołano i dawano białymi dłońmi znaki jak z odbijającego od brzegu okrętu. Ujęty jak w groble w dwa szeregi policjantów tłum odpływał korytem ulicy, odchodził aż do placu, leżącego u jej wylotu, skąd otwierala się miła oczom perspektywa na zapuszczone mielizny nad rzeką, porośłe kępkami postrzępionej wikliny i pokryte z rzadka liszajami śniegu, na most nad leżącą na migotliwym nurcie mgłą, na żółte, pastelowe domy miasta, roztopiające się w czystym, spokojnym, błękitnym niebie — kłębił się rozpaczliwie na placu i znowu powracał z krzykiem.

Paskarski sklepik był małą, zaciszną zatoką. Nad szklanką bimbrow z buraków bratali się przy ladzie policjanci z chłopami i handlowali ludźmi ze szkoły. Nocą policjanci wysadzali przez okno szkoły towar, który albo natychmiast znikał w zakamarkach ulicy, albo kalecząc się nieludzko przelazł przez druty kolczaste na plac najszej firmy budowlanej, gdzie wałęsał się aż do rana, gdyż kantor był oczywiście zamknięty. Zwykle były to dziewczęta. Łaziły bezradnie po podwórzu, oglądając kupy piasku, zwały gliny, sześciany cegieł, trocinówek, szpaltówek, ramsayek, zachodziły do sąsiadów z grysiem, którego różne odcienie i wielkości używane były na schody oraz nagrobki, i załatwiały się tam beztrudno. Obudziwszy się, wyrzuciłem je bardzo altruistycznie za bramę, a korzyści z procederu oprócz policjantów (i pewnie nieprzystępnego, obcego płaskim, ludzkim sprawom żandarma) ciągnął wyłącznie sąsiad, sklepikarz. Nie odczuwał jednak ani obowiązku, ani potrzeby wdzięczności.

Dzień w dzień wpadałem do niego po ćwiartkę razowego chleba, dziesięć deka kiszki kaszanej i dwa deka masła. Z reguły mi nie dowoził, a cenę wydatnie zaokrąglął. Uśmiechał się wstydliwie, ale ręka drżała mu przy zgarnianiu pieniędzy.

Zresztą. On nie dolewał do pełna setki bimbru, nie dowoził deka masła, ciął chleb na nierówne części i wyciskał z chłopów bezlitośnie forszę za każdą wypuszczoną na lewo dziewczynę, gdyż chciał żyć sam, miał żonę, synka w drugiej gimnazjalnej i dorastającą córkę, uczennicę kompletu licealnego, odczuwającą nęcące powaby stroju, urok chłopców, smak nauki i czar konspiracji; firma budowlana zaś sprzedawała, tak chłopom jak inżynierom, mokry ton, skamieniały cement, mieszała wapno z wodą, a lepek z piaskiem, a także odbierając wagony z towarem, stwierdzała przy cichym zrozumieniu magazyniera kolejowego poważne manco, co natychmiast wpisywało się w księgi. Dostawca urzędowy nabierał w usta wody, miał bowiem z firmą osobne rachunki, których nie księgowano nigdzie.

Firma budowlana! Ona jak dojna i cierpliwa krowa rozdawała wszystkim utrzymanie. Prawowity jej właściciel, brzuchacz opięty kraciastą kamizelką z brelokiem, patriarchalnie siwy, apoplektycznie nerwowy Inżynier z brodą w klin, na utrzymanie żony dewotki trwoniącej pieniądze na żebraków, kościoły i zakonników oraz syna erotomana ciągnął z niej w czasach wielkiego głodu (kiedy jedliśmy obierki i przydziałowy chleb z solą) grube tysiące jak mleko z wymion, rozbudował składy w centrali, wydzierżawił plac po spalonej we wrześniu firmie i założył na nim filię swojego przedsiębiorstwa, kupił dworski pojazd, cugowego konia ze strzyżonym ogonem, wynajął woźnicę, nabył za pół miliona majątek ziemski pod stolicą, wprowadził nieco zaniedbany i podupadły,

ale nadający się do polowań (miał bowiem spory kawał lasu) i uprzemysłowienia (posiadał glinę), wreszcie w trzecim roku wojny rozpoczął i pomyślnie poprowadził pertraktacje ze wschodnią koleją niemiecką o zakup i rozbudowę własnej boczniczy kolejowej i postawienie przy niej magazynów przeładunkowych.

Równie pomyślnie układały się losy pracowników Inżyniera. Wprawdzie ustawodawstwo okupacyjne zabroniło Inżynierowi wypłacać tygodniówki ponad 73 złote tygodniowo, jednak Inżynier kilkunastu swoim ludziom dawał z własnej inicjatywy prawie sto złotych tygodniowo bez odtrącenia kosztów, podatków i świadczeń. W wypadkach nagłych, jak wywózka rodziny do lagru, choroba albo łapówka, nie uchylał się wcale od obowiązku. Przez trzy miesiące finansował moje studia na podziemnym uniwersytecie, stawiając mi tylko jeden warunek: abym uczył się dla Ojczyzny.

Filia urzędowała się inaczej. Furmani sprzedawali wapno na ulicy, dowożąc na budowę niepełne metry. Odrabiali prywatne kursy. Kradli z kolei. Ja z początku wynosiłem ze składu ton i kredę koszykiem i sprzedawałem je w mydlarniach okolicznych, jednakże zżywszy się z kierownikiem serdeczniej, wszedłem z nim w spółkę, podzieliłem teren pracy i uzgodniłem sposób księgowania. Wiązała nas również produkcja bimbrowa, odbywająca się moim kosztem w mieszkaniu kierownika. Oddawszy mi łwi udział z detalicznej sprzedaży, kierownik pogrążył się w szerokich interesach, wykorzystując firmę, jako punkt przelotowy, a telefon składu jako niezawodny sposób komunikacyjny. Kierownik znał się na złocie i kosztownościach, sprzedawał i nabywał meble, znał adresy pośredników mieszkaniowych, a nawet sam handlował lokalami, miał stosunki ze złodziejami kolejowymi i ułatwiał im kontakty ze sklepami komisowymi, przyjaźnił

się z szoferami i sprzedawcami części samochodowych, prowadził także ożywioną wymianę z ghettem. Uprawiał handel z wielkim łękiem, jakby przez siłę, wbrew własnemu poczuciu prawa. Odczuwał dotkliwą nostalgię za bezpiecznymi czasami przedwojennymi. Pracował wtedy jako magazynier w przedsiębiorstwie żydowskim. Pod okiem czujnej właścicielki wyrabiał się uparcie na ludzi, kupił auto sportowe i zarabiał taksówką do trzystu złotych dziennie odliczywszy dniówkę szofera. Wkrótce nabył pod miastem przy autostradzie jedną parcelę budowlaną, a na parę miesięcy przed wojną — drugą na bliskim przedmieściu. Rozumiał, że czyni to w zgodzie z prawem ludzkim, i żył pełnią życia, bez dokuczliwych rozterek duchowych. Z dorobku tych czasów ocalał place i walutę oraz głębokie przywiązanie do starej doktorewej.

Stara siedziała na miejscu Marii w nogach drewnianego tapczanu. Twarz miała ziemistą, zrujnowaną, pustą jak wyludnione miasto. Ubrana była w czarną jedwabną suknię, wytartą i błyszczącą na łokciach. Na szyi miała aksamitną, szeroką wstążkę, a na głowie staroświecki kapelusz, ozdobiony bukietem fiołków, spod którego wyłykały się pasma rzadkich, siwych włosów. Na kolanach trzymała starannie złożone palto z wyleniałym kołnierzem. Odziana była zbyt biednie jak na przedwojenną właścicielkę ogromnego składu towarów budowlanych, paru ciężarowych samochodów, własnej odnogi kolejowej, dziesiątków robotników i niewyczerpanego konta w bankach krajowych i szwajcarskich, zbyt biednie nawet jak na posiadaczkę platformy wszelakiego bagażu, wielu precyzyjnych maszyn do liczenia, zapobiegliwie i przezornie oddanych na przechowanie do konsulatu szwajcarskiego, nie mówiąc już o złotych i brylantach, które — według wyobrażenia ludzi ze strony aryjskiej —

każdy Żyd przynosił z ghetta. Ubrana była biednie, siedziała skromnie w kącie. Wzrok utkwiała pod sufitem oglądając pajęczynę na górnej półce książek. Pajęczyna się kołysała, bo pajak piął się do góry.

— Jasienku, zatelefonują, co? — rzekła stara do kierownika po długim milczeniu. Ze zdziwieniem poderwał głowę znad książki o czasach i zabobonach średnio-wiecznych. Mówiła chropawym szeptem, jakby tarł kamieniem o kamień. Świszczący szept wydobywał się z gardła wraz z oddechem. Dwa masywne złote rzędy zębów błyszcząły w ustach, zdawało się, że kłapnęły, niemal że zadźwięczały. — Bo powinni dać znać, czy przyjdą. Prawda, że powinni? — Skierowała na niego wyblakłe, martwe, jakby zamarzłe oczy.

— A, to trzeba lepiej poczekać, pani doktorowo — rzekł stanowczo kierownik. Pracowicie wychuchał w oblodzonej szybie otwór i przechylając głowę jednym okiem spoglądał z ukosa na plac, na otwartą bramę, na ulicę, która wzbierała już tłumami, bębnił palcami po ramie okiennej, czekał na klienta.

— Przecież pan dyrektor obiecał telefonować. Wyjdzie pewnie dzisiaj razem z córeczką pani doktorowej.

— Jasio tylko tak mówi. A jeżeli im się nie uda, Jasienku? — Przeniosła znowu wzrok z sufitu na okno. Zwiędłe, pokurczone, robaczywe dłonie położyła na żółtej chustce, zacisnęła palce, jakby ją chciała zerwać z ramion, i bezwładnie opuściła na kolana.

— Co też pani doktorowa mówi! — gwizdnął niedowierzająco kierownik. Poglądał bujne, złociste, falujące włosy, odrzucając je niecierpliwym ruchem głowy. Spod mankietu popelinowej koszuli odsonił się przy tym ruchu złoty Longinus, podłużny, wygięty, dopasowany do okrągłości przegubu, pamiątka po dobrych czasach w firmie na Towarowej.

— Co pani doktorowa myśli! Zięć, dyrektor w szopach, może wyjść, kiedy zechce! Pozałatwia, co trzeba, portfel do kieszeni i — fiuuu! Tyle go zobaczy! Co pani się martwi, jak wyjdą? — przysunął sobie krzeselko i usiadł, wyciągając wygodnie nogi w długich oficerskich butach. — Tu trzeba myśleć, skąd kupić mieszkanie! Pani doktorowa wie, ile żądają? Pięćdziesiąt tysięcy! Dobrze, że człowiek w pierwszym roku wojny kupił sobie jaki kąt, bo co by robił? Na sublokatorce by żył? Do kwaterek by poszedł?

— Jasio sobie radę da! — szepnęła doktorowa i uśmiechnęła się lekko kącikami ust.

— Człowiek ma, chwalać Boga, ręce i nogi, myśli, jak gdzie może chapsnąć, i dlatego żyje! Panie Tadziku — przechylił się do mnie — pańska narzeczona wygotowała dwadzieścia pięć litrów. Oszczędna dziewczyna! Buzi dać! I węgla wypaliła o połowę mniej. Robotna, nie ma co!

— Telefonowała — bąknąłem znad książki. — Pojechała na miasto rozwozić bimber. Powinna wrócić niedługo.

Między piecem a wieszakiem było mrocznawo, ale ciepło. Rozgrzane plecy łaskotały rozkosznie. Głowa ciążyła mi i szumiała. Odbijało mi się wódką i jajkami. Książka o średniowiecznych klasztorach budziła na wpół senne marzenia o ciemnych celach, gdzie wśród zabobonów ludu, rzezi szczepów i pożarów miast dokonywała się praca ocalania ducha ludzkiego.

— Jasieńku, czy walizki są w porządku? — szepnęła stara głucho jak z dna studni. — Bo Jasio wie, że to jedyny teraz majątek córki. Ona jest taka niezaradna. Przyzwyczała się do opieki matki.

Wygrzewając się pod piecem, zapatrzyłem się w podłogę. Koc spuszczonej z tapczanu nie sięgał zapastowa-

nych na czerwono desek. Widać było spod niego czarną przykrywą Remingtona. Wziąłem maszynę z szopy, aby nie zamokła, i wstawiłem na wszelki wypadek pod łóżko.

— Pani doktorowo, u nas wszystko musi być w porządku — kierownik zatarł z przyzwyczajenia ręce i popatrzył chwilę na mnie — w porządeczku jak w ubezpieczalni. Cóż to, pani doktorowa mnie nie zna?

— A jak oni tu mnie nie znajdują? Uliczka jest taka mała i na peryferiach — zaniepokoiła się nagle stara. — Zatelefonuję — zdecydowała i poruszyła się na tapczanie.

— Zwariowała pani doktorowa na starość? — parsknął nagle kierownik i gniewnie zmrużył serdeczne, niebieskie oczy, przykrył je prawie rzęsami koloru słomy. — Niemców na głowę sprowadzić? Dać im podsłuchać? Owszem, ale nie od nas!

Stara nastraszyła się i nadęła jak obudzona zniecka sowa. Splotła ręce na piersiach, jakby jej było zimno. Machinalnie obracała w palcach broszkę przypiętą do sukni.

— Jakże się pani przedostała do nas? — zapytałem, aby podtrzymać rozmowę.

Drzwi kantoru trzasnęły. Klient zatupał nogami, obijając z butów śnieg. Kierownik kopnął krzesło i wyszedł do klienta. Stara podniosła na mnie puste oczy.

— Dwadzieścia siedem razy byłem w blokadzie ulic. Wie, co to blokada? Pewno nie bardzo wie? No nic — zachrypiała w przejęciu, kiwając przyjaźnie ręką. — Mieliśmy kryjówkę za szafą w takiej specjalnej niszy. Dwadzieścia osób! Małe dzieci się nauczyły, to jak żołnierze chodzili i bili kolbami o ściany, i jak strzelali, to małe dzieci tylko milczały i patrzyły takimi otwartymi oczyma, wie? Czy oni zdążą wyjść?

Podszedłem do półki z książkami. Włożyłem książkę między średniowiecze. Obejrzałem się na starą,

— Dzieci? — zdziwiłem się.

— Nie, nie, nie! Tam dzieci, co dzieci! Zięc i córka czy wyjdą! On żyje w wielkiej przyjaźni z szefem. Jeszcze z uniwersytetu w Heidelberg.

— Czemu nie wyszedł z panią?

— On tam ma interesa. Jeszcze dzień, jeszcze dwa... Tam się wszystko kończy. Ciągłe *aus, aus, aus!* Pusto w domach, pierze na ulicach, a ludzi wywożą, wywożą...

Zadyszała się i zamilkła.

Za drzwí dochodziły brzękliwe przekomarzające się głosy. Klient i kierownik ustalili cenę dostawy drzewa z pożydowskich domów z ghetta otwockiego, sprzedanych przez Kreishauptmanna hurtem polskiemu przedsiębiorcy. Skrzypnęły drzwi, wyszli do sklepiku przypięć transakcję. Kierownik był abstynentem, ale dawał się skusić przy szczególnie pomyslnych wydarzeniach.

— Ja bym chciała do swoich rzeczy — rzekła nagle stara. Odrzuciła palto z kolan i z pośpiechem podreptała na dwór.

Urzędniczka w kantorze uśmiechnęła się do mnie zza stołu. Drobna i sucha umieściła się wygodnie na kozetce. Cały dzień czytała brukowe romanse. Nasłał ją Inżynier, aby pilnowała kasy. Z jego kalkulacji wynikało, że firma daje zbyt niskie dochody. W drugim tygodniu jej urzędowania zabrakło w kasie tysiąca złotych. Kierownik pokrył niedobór z własnej kieszeni, a Inżynier stracił do urzędniczki zaufanie. Do kantoru przychodziła zresztą tylko na kilka godzin, nie zajrzała ani razu do magazynu, nie wiedziała, co to lepik, a co bitumina, ale za to z regularnością poczty zaopatrywała mnie w konspiracyjne gazetki, ozdobione godłem miecza i pługa. Zazdrościłem jej zejścia do podziemia, sam bowiem zadowalałem się półprywatnym powielaniem biuletynów, obfitą

lekturą, pisywaniem wierszy i produkowaniem się na porankach poetyckich.

— Cóż z tą starą? Mebli dużo? — zagadnęła ironicznie urzędniczka. Głowę miała ustrojoną w czub wysoko spiętych, zmierzwionych niesforne włosów.

— Każdy ratuje się, jak może.

— Przy pomocy bliźnich — zmrużyła złośliwie oczy. Była bardzo niestarannie upudrowana. Cienki nos świecił się jak wyczyszczony łojem. — Ej, panie magazynierze, jakże wiersze? Okładka wyschła?

Kierownik za rękę przyprowadził starą do kantoru. Przyszedł furman, aby się ogrzać. Kucnął przy piecu i sapiąc wystawił do ognia spękane od wiatru i mrozu dłonie. Kozuch parował na nim i śmierdział wilgotną skórą.

— Budy na mieście — rzekł woźnica. — Byłem w Centrali. Na ulicach pusto, aż strach jechać. Mówią, że jak z Żydami skończą, to nas będą wywozić. I u nas też łapią. Koło cerkwi i przy dworcu aż zielono od żandarmów.

— A to ładnie — prychnęła mała urzędniczka. Wstała nerwowo od stołu. Włóczyła nogami w zbyt głębokich kaptach, kręcąc z nieświadomym wdziękiem kościstymi, przebijającymi przez cienką sukieneczkę biodrami.

— Jakże ja wrócę do domu?

— *Per pedes* — rzekłem kwaśno i włożywszy pośpiesznie kurtkę wyszedłem z kantoru. Ostry wiatr zmieszany ze śniegiem zaciął mnie w twarz. Nad skrzynią z wapnem kiwał się rytmicznie robotnik. Przytupując z zimna nogami, jak śpiący koń, mieszał gracą lasujące się wapno. Klęby białej pary podnosiły się znad kipiącej mieszanki i owiewały mu twarz. Lasownik pracował całą zimę bez przerwy, szykując wapno na sezon letni. Dzieni przerabiał na mrozie do dwu ton wapna suchego.

Bramę składu kierownik przymknął. Gdy łapanka obejmowała uliczkę, zamykaliśmy ją na kłódkę. Pijani policjanci oczyszczali uliczkę z resztek tłumu, który przemykał się ku polom. Niemiecki żandarm, wyższy nad tłum i jego troski, ale baczny na każdy ruch policjanta, obojętnie bił żelaznymi butami o bruk. Na placu pod ścianami domów było jeszcze gwarno i tłoczno. Pod oknami i parapetami przekupnie trzęśli kolanami, tupali nogami w słomianych chodakach i darli się ochryple nad koszykiem z bułkami, papierosami, kaszanką, pączkami, białym i razowym chlebem. Wydawało się, że to czarna ściana domu trzęsie się i krzyczy. W bramach ważono na prymitywnych wagach świeże mięso wieprzowe i przelewano pośpiesznie bimber. Na posesji, leżącej na tyłach szkoły, trwała jeszcze zabawa. Karuzela z jednym ogłupiałym dzieckiem na koniu kręciła się majestatycznie przy wtórze wrzaskliwej muzyki. Puste drewniane auta, rowery, łabędzie z rozczapierzonymi skrzydłami płynęły łagodnie w powietrzu, kołysząc się jak na fali. Robotnicy zakryci deskami chodzili pod karuzelą w kieracie. Przy jaskrawo pomalowanej strzelnicy i w ogrodzie zoologicznym pod namiotem (w którym — jak głosił wyblakły od śniegu plakat, miały przebywać krokodyl, wielbłąd i wilk) świeciło beznadziejnie pustką. Kilku gazeciarzy ze schroniska z plikami gazet niemieckich pod pachą kręciło się na przystankach niezdecydowanie. Tramwaje bez ludzi okręcały się w pętli naokoło placu i dzwoniąc łańcuchami wlokły się wzdłuż alei. Drzewa stały ośnieżone, skrzące się w ostrym słońcu, jak wyrzeżane z łamliwego kryształu. Niebo leżało pogodne, blade, wysokie. Był zwykły targowy dzień.

W głębi ulicy przestrzeń zamykały kamienne bloki domów i kępy nagich wychudłych drzew. Za wiaduktem, chronionym kozłami hiszpańskimi, zasiekami i ta-

blicami na torach, otoczony kordonem żandarmów falo-
wał tłum i podpływał ku wiaduktowi. Z wnętrza tłumy
wynurzały się pękate, okryte brezentem ciężarówki i mie-
rząc kołami śnieg ciężko ciągnęły na most. Za ostatnim
wozem wybiegła z tłumy kobieta. Nie zdążyła. Samochód
nabrał szybkości. Kobieta podniosła ręce rozpaczliwym
gestem i byłaby upadła, gdyby nie pomocne ramię żan-
darma. Wepchnął ją w tłum.

— Miłość, oczywiście, że miłość — pomyślałem ze
wzruszeniem i uciekłem do składu, ponieważ plac pusto-
szał przed nadchodzącą łapanką.

— Telefonowała narzeczona — powiedział kierownik.
Był w dobrym humorze, podśpiewywał pod rudym wą-
sem i zataczał nogami taneczne półkola. — Jedzie
z Ochoty, ale nie może szybciej, bo wszędzie łapią. Pod
wieczór będzie.

Sucha, czubata urzędniczka rzuciła na mnie krótkie,
podszyte złośliwością spojrzenie.

— Pewnie zaczną z nami jak z Żydami? Pan się
martwi?

— Powinna dać sobie radę — rzekłem do kierownika.
Zziąbłem na kość. Pogrzebałem kociubą w piecu i doło-
żyłem torfu. Z otwartych drzwiczek buchnęło dymem na
całą izbę. — Chyba w tym miesiącu wagonów nie do-
staniemy? Pewnie zrobią szperę wagonową?

Kierownik skrzywił się niechętnie. Przysiadł na krze-
śle i delikatnymi jak u pianisty palcami stukał po stole.

— A co nam przyjdzie z tego, jak puszczą wagony? —
rzekł z goryczą. — Inżynier boi się trzymać cement
i gips, wapno ma tylko dla Niemców na roboty na forcie
Bema, to co pan chce? Żebyśmy kwitli? Grochowskie
zakłady dostały trzy wagony cementu, Borowik i Srebr-
ny ma co dusza zapragnie, a my co? Gąsiory, felcówki,
grysi, lepiki, maty trzcinowe!

— Niech pan nie przesadza — rzekła urzędniczka. — Gdyby pogrzebali w szopach, to by to i owo...

— Pewnie, że to i owo! Bo kombinuję na własną rękę! Inaczej przyszedłby kto do składu? Owszem, sklepikarz odważników pożyczyc!

Telefon zaterkotał. Kierownik zakręcił się na krześle i chwycił słuchawkę na pół sekundy przed małą urzędniczką. Oddał mi ją z niemą gestykulacją.

— Nasz samochód — szepnąłem, zasłaniając ręką tubę. — Co powiedzieć?

— Niech da pięćdziesiąt.

— *Fünftzig* — rzekłem do tuby. — *Abends?* Niech będzie wieczorem.

— Świetnie, chodźmy wobec tego coś zjeść — zatarł ręce kierownik.

Stara siedziała nieporuszona na tapczanie jak zapezdzone w kącie zwierzę. Kierownik zakrzętnął się po pokoju, nastawił bulion na maszynie i sprzątnął stolik.

— Jak Inżynier będzie miał mniej dochodu od nas, to raz — wyrzuci tę sikse, a dwa... No co, zdecydowałeś się pan?

— Cóż ja mam wobec pana? — rzekłem beznadziejnie. — Wszystko wpakowaliśmy w bimber. Wie pan, jak to jest; trochę książek się kupiło, trochę łachów i tak. Papier też kosztował.

— A sprzeda pan chociaż te wiersze?

— Nie wiem, czy sprzedam. Nie pisałem na sprzedaż. To nie cegła dziurawka ani nie smoła — odparłem urażony.

— Jeżeli dobre, to powinni kupować — rzekł ugodowo kierownik zagryzając bułkę. — Zbierzesz pan te parę tysięcy do spółki. Pan masz dobry łeb.

Stara zajadała powoli, ale z apetytem. Złoty masywny rząd zębów z lubością zanurzał się w miękiszu bułki.

Wpatrywałem się w ich połysk, oceniając istyktownie wagę i wartość całej szczęki.

Trzasnęły drzwi, wszedł klient. Pałotyn z sąsiedniego kościółka miał rogowe okulary i uśmiechnął się nieśmiało. Powiadomiwszy o łapance, zamówił parę worków cementu oraz żółty grysik: Zapłacił z góry samymi złotówkami powiązаныmi w paczki.

— Niech będzie pochwalony — rzekł i nałożywszy czarny kapelusz wyszedł szeleszcząc sutanną.

— Na wieki wieków — odparła urzędniczka. Zakreśliła piec i wytarła palce w skrawek gazety. — Jak pan myśli, co ta stara zrobi?

— Kierownik znajdzie dla niej mieszkanie. Stara ma za grubą forszę, żeby ją puścił z rąk — rzekłem półgłosem.

— Ale — prychnęła pogardliwie — więc pan nic nie wie? Kiedy kierownik wyszedł, stara telefonowała do córki. Nie mogą wyjść z ghetta. Już za późno. Szpera na całego.

— Stara pomartwi się trochę i przestanie.

— Bardzo być może.

Otuliła się w wytarte futro, umieściła się wygodniej na kozetce i powróciła do książki. Nie zdradzała ochoty do dalszej konwersacji.

III

Wieczorami zostawałem w składzie sam wśród suszących się jak mokra bielizna okładek tomu poetyckiego. Apoloniusz wyciął je z papieru w formacie in folio, dopasowawszy do rozmiarów siatki ręcznego powielacza, który wypożyczony mi do odbijania niezmiernie cennych komunikatów radiowych i wartościowych rad (wraz z wykresami), jak prowadzić walki uliczne w większych miastach, posłużył również do druku wzniośle metafizycznych heksametrów, wyrażających mój nieprzychylny stosunek do dmącego apokaliptycznie wiatru dziejów. Okładka była dwustronnie ozdobiona czarno-białymi winietami przy użyciu rewelacyjnie nowej techniki powielaczowej: pojedynczych kawałków matrycy białkowej, które nalepione na siatkę dawały białe plamy, sama zaś siatka — plamy czarne. Sposób był bardzo pomysłowy, ale pochłaniał zbyt wiele farby i okładki schły już tydzień — bez rezultatu. Zdjąłem je więc ostrożnie ze sznurów, obłożyłem w gruby pergamin, zapakowałem ciasno i wsadziłem pod drewniany tapczan. Spuszczony do podłogi koc zakrywał zepsute radio, oczekujące na mechanika, walizczkowy powielacz, płaski jak cygarница, solidną maszynę do pisania Remington, zabraną z szopy, aby nie zmokła, oraz komplet publikacji pewnej organizacji imperialistycznej, pozostawiony w składzie na przechowanie przez przyjaciela, który miał wynosić

się z domu, a nie miał siły pozbyć się kolekcjonerskich i antykwariackich zamiłowań.

Wieczorami także, nie żałując grzbietu ani kolan, szorowałem pracowicie podłogę, wycierałem stół i jako tako okno, a kiedy uznałem, że w pokoiku jest zacisznie i przytulnie jak w uchu, przykrywałem seledynowym kloszem jarzący się grzybek i zamykałem troskliwie pokój, aby nabrał ciepła. Siadywałem zazwyczaj przy piecu w kantorze. Robiłem drobiazgowo notatki bibliograficzne, którymi wypychałem specjalne pudła, zapisywałem na luźnych karteczkach głębokie sentencje i trafne aforyzmy, które znalazłem w książkach, i uczyłem się ich na pamięć. Tymczasem nadchodził zmierzch i zaproszał karty książki. Podnosiłem oczy ku drzwiom i czekałem na przyjście Marii.

Za oknem śnieg tracił błękit, mieszając się ze zmierzchem jak z szarym cementem. Wyniosła ściana spalonego domu, zrudziała jak wilgotna cegła, nabiegała czernią, nieruchomiała, jakby milkła, bezgłośny wiatr podnosił znad torów kłęby różowego dymu, rwał je na strzępy i rzucał na siniejące niebiosa jak płatki śniegu na przezroczystą wodę. Zwykle przedmioty, grząska jak zgniły melon góra piasku firmowego, kręta ścieżka, brama, trotuary, mury i domy ulicy nikły w mroku jak we wzbierającym przypływie. Został tylko nieuchwytny szum, którym tętni najgłębsza cisza, gorący puls, którym bije ciało człowieka, i głucha tęsknota do przedmiotów i uczuć, których człowiek nigdy nie zazna.

Na podwórzu krzątali się jeszcze ludzie. Woźnica wynosił z ciemnego wnętrza szopy pakunki jak z worka i cisnął je z rozmachem na platformę. Na platformie stał stary lasownik z rozkraczonymi nogami. Chwytał ze stękanieniem bagaż i ubijał go fachowo na wozie, jakby ukła-

dał torby gipsu albo hydratyzowanego wapna. Z wysiłku wypchnął językiem policzek.

Kierownik stał za wozem przy starej. Uchwycił się deski przy wozie i paznokciem bezmyślnie odłupywał drzazgę.

— Ja tam nie wiem, jestem inaczej nauczony — rzekł do starej gniewnie wydymając wargi. — Ale na mój rozum nie należało tak od razu. Gdzie tu głowa? Gdzie rozum? Po co był ten cały kłopot?

Stara przechyliła na ramię głowę w kapeluszu z kwiatkami. Na ziemistych policzkach dostała od mrozu buraczanych wypieków. Wargi jej drżały z zimna. Złote zęby błyszcząły zza warg.

— Niech bardzo uważa przy pakowaniu — powiedziała ostro do lasownika. Twarz jej drgała przy każdym ciskanym pakunku, jakby to ją rzucano na platformę. — Niech Jasio wybaczy — zwróciła się do kierownika — że mu sprawiłam kłopot. Jasiowi się przecież opłaciło, prawda?

— Co tam pani doktorowa ma myśleć — rzekł kierownik wzruszając ramionami. — Pieniądze, co je wzięłam, to dałam na mieszkanie, a tych parę ciuchów, które pani doktorowa zostawiła u mnie, to zawsze można... Ja tam się od tego nie wzbogacę.

Zgarbiona pod szarą ścianą szopy stara przebierała z zimna nogami w wytartych, przydeptanych pantofelkach, pociągała nosem i zwyczajem krótkowidzów mrużąc zaczerwienionymi powiekami patrzyła na kierownika oczyma zażawionymi. Milczała i uśmiechała się.

— Dużo ich tam pani doktorowa obroni. I tak i tak giemza — mówił dalej kierownik patrząc w ziemię na szprychy koła i na błoto pod kołami. — Co pani doktorowa nie wie, jak będzie? Zabijają, spalają, zniszczą, straszą i tyle. Nie lepiej żyć? Ja tam wierzę, że przyjdzie

taki czas, kiedy człowiekowi pozwolą spokojnie handlować.

Potężny Diesel z przyczepką wtoczył się w ulicę plując dymem i podjechał pod bramę. Kierownik uśmiechnął się z ulgą i pośpieszył otwierać drugą szopę, ja zaś podskoczyłem prosto przez śnieg do bramy. Traktor wepchnął się zadem na przeciwległy chodnik i jak żuk wypełznawszy przez rynsztok na podwórze podjechał pod rozwartą szopę. Z szoferki wyskoczył kierowca w brudnym kombinezonie i niemieckiej furażerze, zawadiacko osadzonej na kruczych, lśniących włosach.

— *Abend. Pieńdziesiąt?* — zapytał i plasnawszy z rozmachem w ręce wszedł kołysząc biodrami do szopy. Rozejrzył się z zainteresowaniem po kątach.

— O la, la! Wyprzedaliście wszystko? — rzekł, cmoknawszy ustami. — Duży obrót, duży zysk. Ale teraz o dziesięć złotych drożej na worku. Po trzydzieści pięć?

— Ten numer nie przejdzie — rzekł kierownik, rozkładając ręce wymownym gestem.

— Trzydzieści dwa. Na rynku jest pięćdziesiąt pięć i drożej — powiedział żołnierz bez zniecierpliwienia.

— Ma on ludzi do wyładowania? — zapytał mnie kierownik. — Trzeba brać.

— *Keine Leute* — roześmiał się szeroko żołnierz. Miał zdrowe końskie zęby i błyszczące, starannie wygolone policzki. Podeszedł do przyczepki i rozsznurowawszy plandekę zakomenderował:

— *Meine Herren, raus!* Proszę was bardzo — *ausladen!*

Dwaj drzemiący na workach cementu robotnicy odrzucili palta, którymi się przykrywali, wyskoczyli przerażeni krzykiem z głębi auta i opuścili pokrywę. Jeden wytaczał torby na krawędź podłogi; drugi chwycił je rękoma, przyciskał płaski worek do piersi; niósł do ma-

gazynu i rzucał z trzaskiem na podłogę. Wyjaśniłem mu, jak należy układać cement, wiążąc worki, by sterta nie przewaliła się k'czortu.

Drzemiący w szoferce pomagier kierowcy wychylił się z okienka.

— Oni mają się pośpieszyć, Peter. Musimy zaraz dalej.

Podparł się łokciami i patrzył sennie w głąb szopy. Złota damska bransoletka luźno zwisała na przegubie. Dłonie miał owłosione, twarz smagłą, czarną od zarostu.

— Prędzej, prędzej, *du alte Slavine* — mruczał przez zęby. Napotkawszy moje badawcze spojrzenie, uśmiechnął się przyjaźnie.

W szopie umączony cementem robotnik (jak kto nie umie obchodzić się z towarem, to zawsze przy przenoszeniu porwie parę worków i narobi szkody) podniósł ku mnie srebrzystą, unurzaną w cemencie twarz i zapytał szeptem, udając, że wierzchem dłoni ociera oczy:

— Jest pięć worków więcej. Weźmie pan dzisiaj?

— Po dwadzieścia — mruknąłem nie ruszając wargami. — *Komm* do kantoru. Obliczymy się — rzekłem do żołnierza. Zgasił zapalną, przydeptał troskliwie podszwą. Zaciągnął się z ochotą dymem. Nikły różowy blask rozjaśnił mu policzki i odbił się w oczach.

— *Fünftzig* sztuk? Pięćdziesiąt? — pokazał robotnikowi pięć rozczapierzonych palców.

— *Ja, ja, chef*, ja liczę! Ani jednego więcej! — wykrzyknął gorliwie podawacz spod planeki.

Furman kończył ładować wóz. Lasownik dobijał bagaż i podciągał sznury. Osnurowali platformę troskliwie jak paczkę ze szkłem. Znali się na pakowaniu. Ukryli w środku rzeczy cenniejsze, skórzane walizy i brezentowe worki z bielizną, na wierzch zaś i po bokach dali plecione kosze, stolki i klekocące naczynia. Platforma

stała cierpliwie jak arka. Stara dreptała pod szopą trzymając ręce w mufce. Ujrzawszy przechodzącego z bliska żołnierza, przestraszyła się i skryła za drzwi magazynu.

— Przeprowadzka? — zapytał mimochodem szofer.

— Przeprowadzka, oczywiście, że przeprowadzka, a cóż by innego?

Niebo ścieśniało się, osiadało nad mrokiem bezszelstnie jak opadający ptak. Bezlistne drzewo nad torem szamotało się z wiatrem zaciekle jak człowiek, który postanowił się nie dać.

— Wy ale żyjecie spokojnie — rzekł z dobroduszną pogardą żołnierz. — A nasi walczą za wasz spokój.

Kierownik poprosił siadać. Rozmawiał przez telefon z żoną.

— Więc udał się obiad czy nie? Buraczki — nie. Weź kapustę. — Uśmiechnął się wyrozumiale. — Dzieciak? Śpi? Obudź go, już śpi dwie godziny.

— Książek przybyło, co? — rzekł żołnierz, uchylivszy drzwi do pokoju.

— O, jaki nastrój! Tylko patefon nastawić! Panienska, co, panienska? — Pokazał palcem na czerwony szlafrok na wieszaku. Obejrzał obrazy Apoloniusza, żebraczkę pod chropawym murem trzymającą za rączkę dziecko z wylupiastymi oczyma oraz martwą naturę z złotym dzbankiem. Naniósł do pokoju błota i smrodu żołnierskiego.

Kierownik wydobyl z portfelu paczkę starannie powiazanych banknotów i przeliczywszy modlitewnym szeptem podał szoferowi.

— Znowu środa, następny tydzień, ja? — zapytał szofer.

— *Ist gut* — rzekł kierownik — *ist sehr gut*. Widzi pan, panie Tadziku, gdyby człowiek miał własny skład,

to by się nie krył z towarem. Przetrzymałby parę dni, zarobek pewny.

— Urzędniczka zaraz poleci do Inżyniera.

— Nie uwierzy, jak nic nie znajdzie. Odstąpimy od ręki czerniakowskim zakładom. Ale i tak Inżynier musi być dobrze z nami. Wpakował forszę w bocznice i robi bokami — powiedział chępliwie kierownik.

— Kombinuj pan kupić tę budę. Ja, co będę miał, dołożę.

— A jak zupełnie zabronią budować?

— Teraz też zabraniają, a ludzie budują. Wyżyć to pan wyżyje z tego, co pan ma w szufladzie. Plac i szopy zostaną na po wojnie. Jak znalazł. No, widzi pan, chodźmy odprowadzić starą.

— Zapomniała maszyny u pana — powiedział kierownik. Odcesał dłonią włosy i z pewną elegancją nałożył czapkę tramwajarską. Na ulicy udawał tramwajarza. Jeździł za darmo tramwajami i czuł się bezpieczny przed łapanką.

— Maszyna przyda się firmie.

— *Ja, ist gut.* — Żołnierz przeliczył pieniądze, schował je do kieszeni kombinezonu i uściskawszy nam serdecznie, ale nie wylewnie dłoń wyszedł chrześzcząc butami.

Furman odjął koniowi worek z obrokiem. Zapalił latarnię, podczepił ją pod wozem, zebrał w dłonie lejce, cmoknął uroczyście i platforma, oświetlona pelgającym krwawo blaskiem jak karnawałowy pojazd, ruszyła skrzypiąc za bramę, zanurzyła się w ulicę jak w ocienioną aleję.

Między purpurową jak spieczone usta kołdrą, ściągniętą białym sznurkiem od firanki, a pękatymi waliżami, zwinięta w kłębek jak pies, siedziała, podkułwszy pod siebie nogi, stara Żydówka, nakryta z góry

blatem ukośnie przechylonego stołu, którego nogi niczym martwe kikuty sterczały ku niebu i podskakując wraz z blatem za każdym poruszeniem wozu, zdawały się mściwie mu wygrażać. Stara miała oczy zamknięte, głowę wtuliła w futrzany kołnierz. Najwidoczniej drzemała. Parę obdartych dzieciaków pobiegło za platformą w nadziei, że uda się coś ukraść.

Ulica ożywała wieczorem. Na granatowym niebie złoty księżyc toczył się naprzeciw pierzastym obłokom jak krążek ananasa i metalicznym blaskiem opadał na dachy ulicy, w zasłony murów, na chrzęszczący jak srebrna blacha śnieg trotuaru. Przed szkołą chodził dorodny żandarm, cały niebieski od zmroku. Panny z pralni przesuwały się pod fioletową latarnią i znikwały w cieniu spalonego domu. Od sklepikarza wychodzili podocho-ceni policjanci na służbę nocną. Dzwonek w odnawianym naszym cementem i wapnem kościółku poczynał świegotać radośnie jak bawiące się dziecko, płosząc uśpione na parapecie dzwonnicy gołębie, które z łopotem skrzydeł wzbijały się nad wieżę i jak płaty chryzantem sen nie osuwały się na dach.

Traktor z cementem ostrożnie wyminał doły na wapno i zatrąbiwszy na pożegnanie, opuścił podwórze. Doskoczyłem do przyczepki i wsadziłem pieniądze w wyciągniętą rękę robotnika.

— Dziesięć było, dziesięć! — krzyknął. Plandeka zakryła się za nim.

— Oblatwiliśmy dzień — rzekł kierowca, przepasując rzemieniem tramwajarski płaszcz. Ściągnął pas rzetelnie, na siłę, gdyż lubił wydawać się szczupłym. — Zostajesz pan sam. Coś narzeczona nie przyjeżdża?

— Boję się o nią — odpowiedziałem. — Łapanka trwa cały dzień. Musieli sporo nałapać.

— Co robić — westchnął ciężko kierownik. — Narzeczona pewno nie może się dostać do pana. — Włożył do teczki kawał mięsa, które wybrał na jutrzejszy obiad.

— Czekał pan, pójdę coś kupić na kolację. Jeść się chce po tym głupim dniu. — Wyszliśmy na ulicę zatrzymując furtkę. Niemiecki traktor zamykał wylot ulicy, trząsał się i dymił. Przechodnie gromadzili się na chodniku i patrzyli na plac. Przy rynsztoku stała platforma z betami. Woźnica cierpliwie czekał na wolny przejazd.

Wieczór zapadał coraz głębszy. Za czarnym pasem pola nad srebrnym nurtem rzeki kamienny most napinał się na tle nieba jak łuk. Na drugim brzegu czarna bryła miasta zapadała w grząską ciemność. Nad nią wysokie słupy reflektorów wzbijały się rzęciowym światłem w niebo, przekreślały je i jak ramiona marionetek bezwładnie opadały wzdłuż ziemi. Świat na chwilę zwiężał się do jednej ulicy, tętniącej jak otwarta żyła.

Z chrzęstem, przy pełnych reflektorach, waliły jezdnią wypchane ludźmi ciężarówki, przelewając się na wybojach. Twarze ludzi ukazywały się spod brezentu białe, jakby posypane mąką i jak zdmuchnięte wiatrem nikiły w ciemności. Motocykle, obsadzone żołnierzami w hełmach, wynurzały się spod wiaduktu i, trzepocząc skrzydłem cienia jak potworne motyle, znikwały z hukiem za samochodami. Duszący dym spalinowych motorów stał się na jezdni. Kolumna szła w stronę mostu.

— Nałapali pod cerkwią — rzekł za mną sklepikarz. Położył mi ciężko ręce na ramionach. Biło od niego odorem wódki i śmierdziało machorką. — Żeby ich ziemia pochłoneła.

— Zabierają się do nas — rzekł ponuro policjant z paskiem zapiętym służbowo pod brodą. Zdjął czapkę i otarł czoło rękawem. Czerwona przęga, odcisnięta na

łysinie przez czapkę, bieląca na chłodzie. — Ano, tak — dodał przez zęby.

— Ta Żydówka wyprowadza się od was? — szepnął konfidencyjnalnie sklepikarz. — Tak szybko?

— Wyprowadza się gdzie indziej.

— To co będzie z mieszkaniem? — zaniepokoił się sklepikarz. Nachylił się do ucha. — Ja już z ludźmi gadałem. Pan kierownik miał dzisiaj dać zadatek.

— To szukaj pan kierownika — powiedziałem niecierpliwie i otrząsnąłem jego łapy.

— Przepraszam — szepnął sklepikarz. Światło reflektora przejechało po jego twarzy. Zamrugnął powiekami odpędzając się od blasku. Reflektor oświetlił wnętrze ulicy, twarz sklepikarza oblekła się w mrok.

— Ona wraca do ghetta. Ma tam córkę, która nie może się wydostać.

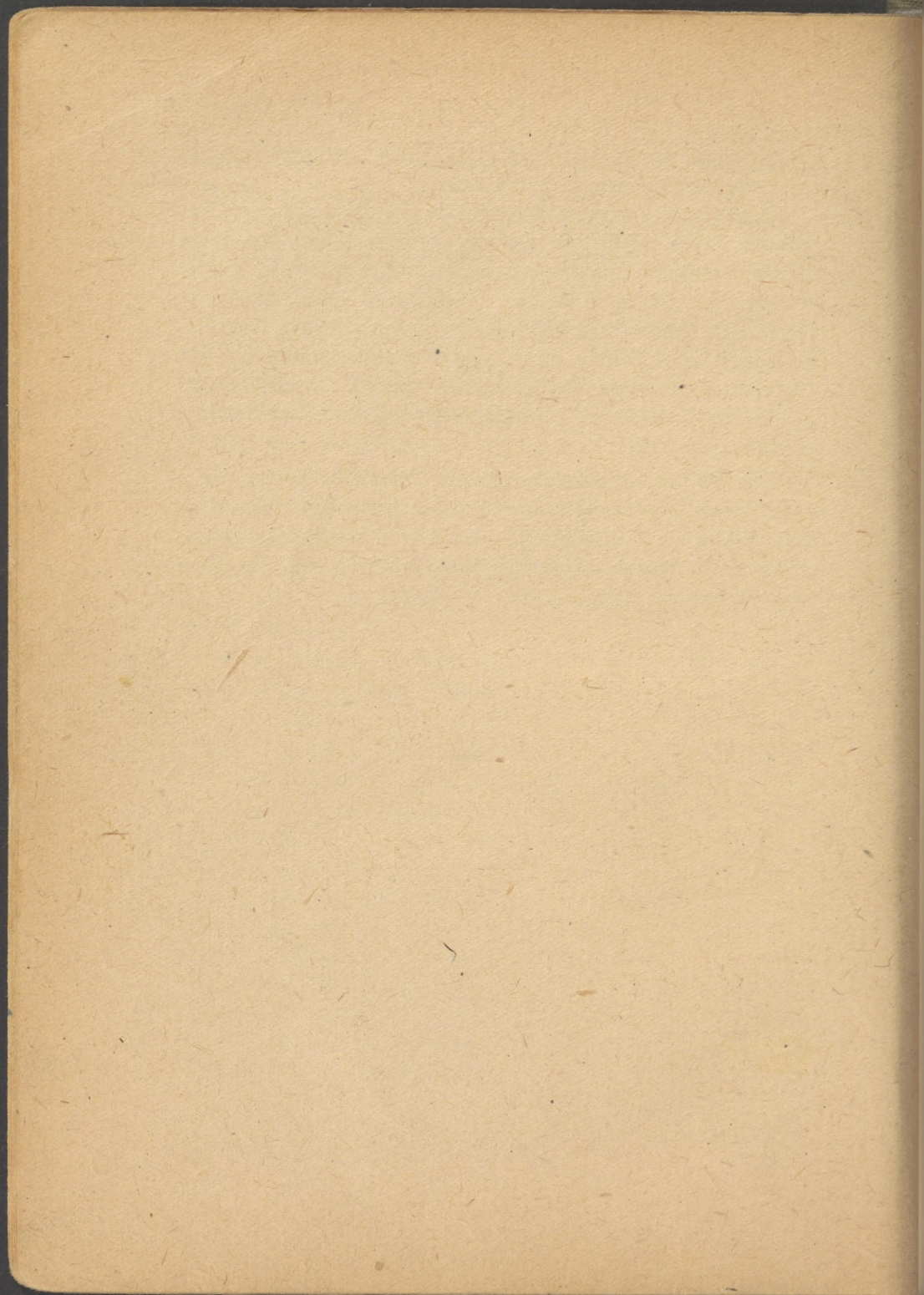
— No pewno — rzekł z przekonaniem sklepikarz. — Przynajmniej umrze z nią jak człowiek... — westchnął ciężko i zapatrzył się w ulicę.

Na zakręcie alei powstał zator. Kolumna zatrzymała się, samochody zbliżyły się do siebie. Padły gardłowe nawoływania. Motocykle wytoczyły się z za aut i oświetliły reflektorami jezdnię, tramwaje, trotuar i tłum. Reflektory prześliznęły się po twarzach ludzkich jak po zbiegających kościach; zajrzały w czarne, ślepe okna mieszkań; ogarnęły jarzącą się zielonymi lampionami zatrzymaną w pół taktu karuzelę z chwiejącymi się na linach pstrokatymi końmi na biegunach, łabędziami o łagodnie wygiętych szyjach, drewnianymi autami, rowerami; pomacały głąb placu końskiego; otarły się o namiot ogrodu zoologicznego z krokodylem, wilkiem i wielbłądem, zdały wewnątrz tramwajów, stojących ze zgaszonymi światłami, zawahały się na lewo i na prawo jak głowa roz-

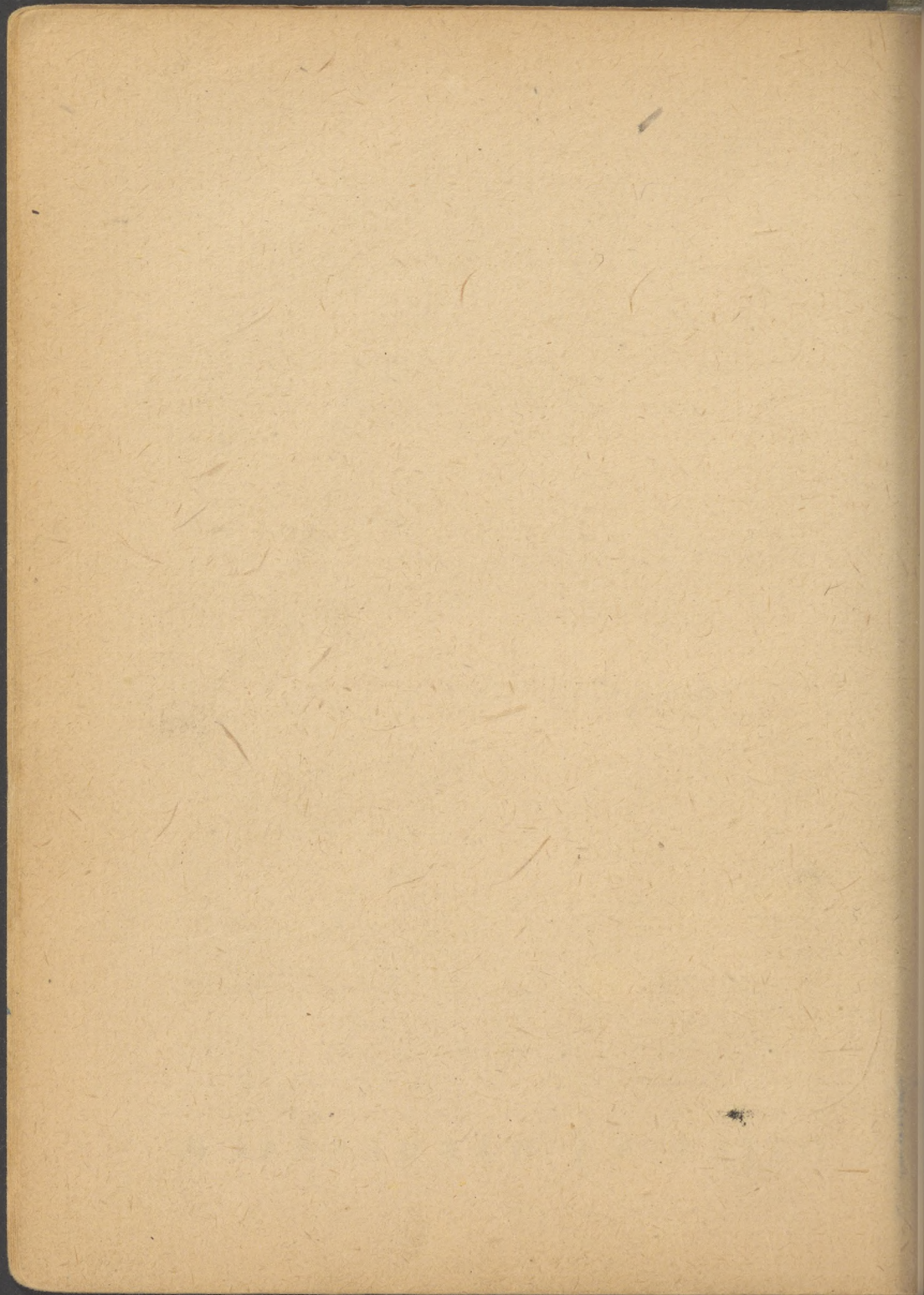
drażnionego węża, powróciły do ludzi, oślepiły jeszcze raz oczy i skierowały się na auta.

Twarz Marii, otoczona szerokim rondem czarnego kapelusza, była biała jak wapno. Trupio blade, kredowe dłonie podniosła spazmatycznie ku piersiom jak w geście pożegnania. Stała w aucie, wciśnięta w tłum, tuż przy żandarmie. Patrzyła z napięciem w moją twarz, jak ślepa prosto w reflektor. Poruszyła wargami, jakby chciała zawołać. Zachwiała się, omal nie upadła. Samochód zatrzęsł się, zawarczał i nagle szarpnął. Nie wiedziałem zupełnie, co robić.

Jak się później dowiedziałem, Marię, jako aryjsko-semickiego Mischlinga, wywieziono wraz z transportem żydowskim do osławionego obozu nad morzem, zagazowano w komorze krematoryjnej, a ciało jej zapewne przerobiono na mydło.



DZIEŃ NA HARMENZACH



I

Cień kasztanów jest zielony i miękki. Kołysze się lekko po ziemi jeszcze wilgotnej, bo świeżo skopanej, i wznosi się nad głową seledynową kopułą pachnącą poranną rosą. Drzewa tworzą wzdłuż drogi wysoki szpaler, a czuby ich rozplývają się w kolorycie nieba. Oduurzająca woń bagna ciągnie od stawów. Trawa zielona jak plusz srebrzy się jeszcze rosą, ale ziemia już paruje w słońcu. Będzie upał.

Lecz cień kasztanów jest zielony i miękki. Nakryty cieniem siedzę w piasku i wielkim francuskim kluczem dokręcam złączenia wąskotorowej kolejki. Klucz jest chłodny i dobrze leży w dłoni. Co chwila biję nim o szyny. Metaliczny, surowy dźwięk rozchodzi się po całych Harmenzach i powraca z daleka niepodobnym echem. Oparci na łopatach stoją koło mnie Grecy. Ale ci ludzie z Salonik i winnych stoków Macedonii boją się cienia. Stoją więc w słońcu, zdjawszy koszule, i opalają niezmiernie chude barki i ramiona, pokryte świerzbem i wrzodami.

— Ależ pilnie pracujesz dzisiaj, Tadku! Dzień dobry! Nie jesteś głodny?

— Dzień dobry, pani Haneczko! Absolutnie nie. A poza tym walę mocno w szyny, bo nasz nowy kapo... Przepraszam, że nie wstaje z szyn, ale pani rozumie: wojna, *Bewegung, Arbeit...*

Pani Haneczka uśmiecha się.

— Ależ naturalnie, że rozumiem. Nie poznałabym cię, gdybym nie wiedziała, że to ty. Pamiętasz, jak jadłeś kartofle w łupinach, które dla ciebie kradłam od kur?

— Jadłem! Ależ pani Haneczko, ja się nimi zażerałem! Uwaga, esman od tyłu.

Pani Haneczka sypnęła parę garści zboża z sita zbiegającym się ku niej kurczakom, ale obejrzawszy się machnęła lekceważąco:

— Ach, to tylko nasz szef. Mam go w tym palcu.

— W takim małym? Strasznie dzielna z pani kobieta. — I z rozmachem walnąłem kluczem w szyny, wybijając na jej cześć melodię: „*La donna e mobile*”.

— Ależ człowieku, nie hałasuj! Może byś jednak naprawdę coś zjadł? Właśnie idę do dworu, to ci przyniosę.

— Pani Haneczko, najczulej dziękuję. Myślę, że dosyć mnie pani dokarmiła, jak byłem biedny...

— ...ale uczciwy — rzuciła z lekką ironią.

— ...a co najmniej niezaradny — odparowałem, jak umiałem. — Ale *à propos* niezaradności: miałem dla pani dwa piękne mydła z najśliczniejszą, jaka może być, nazwą „Warszawa”, i...

— i... ukradli jak zwykle?

— I ukradli jak zwykle. Jak nie miałem nic, to spałem spokojnie. Teraz, żeby nie wiedzieć jak owiazał paczki sznurkami i drutem, zawsze rozwiążą. Parę dni temu zorganizowali mi butelkę miodu, a teraz znów to mydło. Ale biedny będzie złodziej, jak go złapię.

Pani Haneczka roześmiała się na głos.

— Wyobrażam sobie. Aleś dziecko! co do mydła, masz się wcale nie martwić, dostałam dziś od Iwana dwa ładne kawałki. Ach, byłabym zapomniała, oddaj ten pakunczek dla Iwana, to słonina — rzekła, kładąc pod

drzewem małe zawiniątko. — A tu patrz, jakie ładne mydła.

Odwinęła papier, dziwnie znajomy. Podeszedłem i przyjrzałem się dokładnie: na obu wielkich jak od Schichta kawałkach wytłoczona była kolumna i napis *Warszawa*.

Milcząc, oddałem jej zawiniątko.

— Rzeczywiście, ładne mydło.

Spojrzałem na pole ku rozrzuconym grupom pracujących ludzi. W ostatniej, aż koło kartofli, dostrzegłem Iwana: jak pies owczarek naokoło trzody czujnie obchodził swoją grupę ludzi, pokrzykiwał coś, czego z odległości nie było słyhać, i wymachiwał wielkim, odartym z kory kijem.

— Ale biedny będzie złodziej — rzekłem, nie spstrzegłszy, że mówię w przestrzeń, bo pani Haneczka odeszła już i tylko z daleka rzuciła mi, odwracając na moment głowę:

— Obiad, jak zwykle, pod kasztanami.

— Dziękuję!

I począłem znów dzwonić kluczami o szyny i dokręcać zluzowane śruby.

Pani Haneczka wzbudziła pewną sensację wśród Greków, gdyż przynosi im czasem kartofle.

— Pani Haneczka *gut, extra prima*. To twoja *madonna*?

— Ależ gdzie *madonna*! — obruszam się, tłukąc przez pomyłkę kluczem w palec — to znajoma, no, *camerade, fillos, compris, Greco bandito*.

— *Greco niks bandito. Greco gut* człowiek. Ale dlaczego ty nic od niej jeść? Kartofel, *patatas*?

— Nie jestem głodny, mam co jeść.

— Ty *niks gut, niks gut* — kręci głową stary Grek, tragarz z Salonik, który zna dwanaście języków z południa — my jesteśmy głodni, wiecznie głodni, wiecznie, wiecznie...

Kościste ramiona przeciągają się. Pod oparszywiąłą świerzbem i wrzodami skórą grają dziwnie wyraźnie jakby oddzielone osobno mięśnie, uśmiech łagodzi napięte rysy twarzy, ale czającej się gorączki w oczach nie może zagasić.

— Jak jesteście głodni, to ją poproście. Niech wam przyniesie. A teraz pracujcie, *laborando, laborando*, bo nudno z wami. Idę gdzie indziej.

— A właśnie, Tadeusz, że źle zrobiłeś — rzekł wysuwając się zza innych stary, gruby Żyd. Oparł łopatę o ziemię i stanąwszy nade mną ciągnął:

— Przecież i ty byłeś głodny, więc umiesz nas zrozumieć. Nic by ciebie nie kosztowało, żeby tak przyniosła z kubał kartofli.

Słowo kubał przeciągnął długo i marząco.

— Ty się, Beker, odczep ode mnie ze swoją filozofią i zajmij się lepiej ziemią i łopatą, *compris?* Ale żebyś wiedział: będziesz zdychał, to cię jeszcze dobiję, rozumiesz? A wiesz za co?

— Za cóż to?

— Za Poznań. A może to nieprawda, że byłeś Lagerältesterem w żydowskim lagrze pod Poznaniem?

— No to co, że byłem?

— A zabijałeś ludzi? A wieszaleś ich na słupku za głupią ukradzioną kostkę margaryny albo za bochenek chleba?

— Wieszaleś złodziejów.

— Beker, mówią, że jest na kwarantannie twój syn.

Ręce Bekera kurczowo ujęły trzon od łopaty, a wzrok jego począł uważnie obejmować mój tułów, szyję, głowę.

— Ty, puść tę łopatę, nie patrz tak bojowo. Może to nieprawda, że to syn kazał ciebie zabić za tamtych z Poznania?

— Prawda — rzekł głucho. — A drugiego syna powiesiłem w Poznaniu, ale nie za ręce, tylko za szyję, bo ukradł chleb.

— Bydle! — wybuchnąłem.

Ale Beker, starszy, siwawy Żyd, skłonny nieco do melancholii, był już spokojny i opanowany. Popatrzył na mnie z góry, prawie z pogardą:

— Jak długo siedzisz w obozie?

— O... parę miesięcy.

— Wiesz, Tadeusz, bardzo ciebie lubię — rzekł niespodziewanie — ale ty głodu to tak naprawdę nie znałeś, co?

— Zależy, co to jest głód.

— Głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka jako na obiekt do zjedzenia. Ja już miałem taki głód. Rozumiesz? — A gdy milczałem i tylko od czasu do czasu stukałem kluczem o szyny i machinalnie oglądałem się na lewo i na prawo, czy nie idzie kapo, ciągnął:

— Nasz lager — tam — był mały... Tuż obok drogi. Droga chodzili ludzie ładnie ubrani, takie kobiety. Na przykład w niedzielę do kościoła. Albo młode pary. A dalej wieś, taka zwykła wieś. Tam ludzie mieli wszystko, o pół kilometra od nas. A myśmy brukiew... człowieku, u nas ludzie żywcem chcieli się zjadać! I co, miałem nie zabijać kucharzy, co za masło kupowali wódkę,

a za chleb papierosy? Mój syn kradł, to go też zabiłem. Ja jestem tragarz, to znam życie.

Przyglądałem mu się ciekawie, jak nowemu człowiekowi.

— A ty, a ty też tylko swoją porcję jadłeś?

— To co innego. Ja byłem Lagerältesterem.

— Uważaj! *Laborando, laborando, presto!* — wrzasnąłem nagle, zza zakrętu drogi bowiem wynurzył się esman na rowerze i przejeżdżał obok nas, przyglądając się uważnie. Natychmiast pochyliły się niżej karki, wzniosły się ciężko trzymane w pogotowiu łopaty, uderzył o szyny francuski klucz.

Esman zniknął za drzewami, łopaty opadły i znieruchomiały, Grecy zapadli w zwykłe odrętwienie.

— Która godzina?

— Nie wiem. Do obiadu jeszcze daleko. A wiesz, Becker, powiem ci coś na odchodnym: dziś będzie na lagrze wybiórka. Mam nadzieję, że razem ze swoimi wrzodami pójdziesz do komina.

— Wybiórka? Skąd wiesz, że będzie...

— Cóżes się tak wystraszył? Będzie i tyle. Boisz się, co? Nosił wilk... — Uśmiecham się złośliwie, rad z pomysłu, i odchodzę nucąc modne tango, zwane „krematoryjnym”. Puste oczy człowieka, z których nagle uciekła wszelka treść, patrzą nieruchomo przed siebie.

II

Szyny mojej kolejki ciągną się wzdłuż i wszerz po całym polu. Tu doprowadziłem je jednym końcem do kupy spalonych kości, przewożonych przez auta z „kremo”, a drugi utopiłem w stawie, gdzie ostatecznie kości te lądują, ówdzie wjechałem nimi na górę piasku, który będzie równomiernie rozprowadzony po polu, żeby dać suchy podkład zbyt bagnistej glebie, tam znów położyłem je wzdłuż wału trawiastej ziemi, która pójdzie na piasek. Tory chodzą tak i siak, a tam gdzie się krzyżują, jest olbrzymia żelazna płyta obrotowa, którą przenosi się raz tu, raz tam.

Tłum półnagich ludzi otoczył ją, pochylił się i wczepił w nią palce.

— *Hoooch*, do góry! — wrzasnąłem, dla lepszego efektu podnosząc sugestywnie rękę jak dyrygent. Ludzie szarpnęli raz i drugi, ktoś przewalił się ciężko przez płytę, sam nie mogąc za bardzo ustać na nogach. Skopany przez towarzyszy wyczołgał się z kręgu i podnosząc piaskiem i łzami uwalaną twarz znad ziemi jęknął:

— *Zu schwer, zu schwer...* Za ciężkie, kolego, za ciężkie... — Wsadził rozharataną dłoń w usta, ssał chciwie.

— *Do roboty, auf!* Wstawaj! Ano jeszcze raz! *Hooch!* Do góry!

— *Doguri!* — zgodnym chórem powtarza tłum, pochyła się jak najniżej, wypina zębate jak u ryb łuki krę-

gosłupów, wypręża mięśnie tułowia. Ale ręce, przytknięte do płyt, zwisają luźne i bezwładne.

— Do góry!

— *Doguri!*

Nagle na ten krąg wyprężonych grzbietów, na zgięte karki, na pochylone aż ku ziemi głowy, na sflaczałe ręce posypał się grad uderzeń. Trzon łopaty bębnił o łby, obijał skórę na kościach i głucho stękał po brzuchu. Zakotłowało się naokoło płyty. Okropny wrzask ludzki buchnął nagle i urwał się, a płyta dzwignęła się do góry i chybotając się ciężko zawisała nad głowami ludzi i ruszyła, grożąc w każdej chwili upadkiem.

— Wy psy — rzucił odchodzącym kapo — ja będę wam ale pomagał.

Dysząc ciężko, przecierał ręką czerwoną obrzękłą twarz o żółtych plamach i wodził za nimi roztargnionym, bezmyślnym spojrzeniem, jakby tych ludzi widział po raz pierwszy. Potem zwrócił się do mnie:

— Ty, kolejarz, gorąco dzisiaj?

— Gorąco. Kapo, tę płytę trzeba położyć przy trzecim inkubatorze, prawda? A szyny?

— Poprowadzisz prosto do rowu.

— Ale tam jest wał ziemi po drodze.

— To go przekop. Do południa musi być zrobione. A na wieczór zrobisz mi cztery pary noszy. Może się kogoś poniesie na lager. Gorąco dziś, co?

— Gorąco. Ale, kapo... Dalej, dalej z tą płytą! Do trzeciego domku! Kapo się patrzy!

— Kolejarz, daj mi cytrynę.

— Niech kapo przyśle do mnie pipła. Nie mam w kieszeni.

Kiwa kilkakrotnie głową i odchodzi kulejąc. Idzie na dwór, na wyzerkę. Ale wiem, że tam mu nic nie dadzą —

bije ludzi. Kładziemy płytę. Straszliwym wysiłkiem do-
ciąga się szyny, podważa kilofem, gołymi palcami dokre-
ca się śruby. Głodne, gorączkowe postacie łażą, niepo-
radne, zgonione, pokrwawione. Słońce wychodzi wysoko
na niebo i grzeje coraz dokuczliwiej.

— Która godzina, kolego?

— Dziesiąta — mówię, nie podnosząc oczu od szyn.

— Boże, Boże, jeszcze dwie godziny do obiadu. Czy
to prawda, że dziś będzie w obozie wybiórka, że pójdzie-
my do krematorium?

Już wszyscy wiedzą o wybiórce. Ukradkiem opatru-
ją sobie rany, żeby były czystsze i mniejsze, zrywają
bandaże, masują mięśnie, spryskują się wodą, żeby być
świeższymi i raźniejszymi na wieczór. Walczą o byt cięż-
ko i bohatersko. Innym jest wszystko jedno. Ruszają się,
żeby uniknąć bicia, żrą trawę i lepką glinę, aby nie czuć
głodu, chodzą osowiali, jeszcze żywe trupy.

— My wszyscy — krematorium. Ale wszyscy Niem-
cy będą *kaput*. Wojna *fini*, wszyscy Niemcy — krema-
torium. Wszyscy: kobiety, dzieci. Rozumiesz?

— Rozumiesz, *Greco gut*. Ale to nieprawda, wybiór-
ki nie będzie, *keine Angst*.

Przekopuję wał. Lekka, poręczna łopata „sama” cho-
dzi w dłoniach. Grudy wilgotnej ziemi poddają się łatwo
i miękko wylatują w powietrze. Dobrze jest pracować,
jak się zjadło na śniadanie ćwierć boczku z chlebem
i czosnkiem i zapiło się puszką skondensowanego mleka.

W skąpym cieniu murowanego inkubatora kucnął
Kommandoführer, mały wysuszony esmanek w rozcheł-
stanej koszuli. Zmęczył się łażeniem wśród kopiących.
Umie boleśnie smagać szpicrutą. Wczoraj ciął mnie dwa
razy przez plecy.

— Gleisbauer, co tam nowego słychać?

Śmigam łopatą i przybijam ziemię na wierzchu.

— Pod Orłem padło trzysta tysięcy bolszewików.

— To dobrze, nie? Jak myślisz?

— Pewnie, że dobrze. Bo tam zginęło drugie tyle Niemców. A bolszewicy będą za rok tutaj, jak tak dalej pójdzie.

— Tak myślisz? — uśmiecha się złośliwie i zadaje sakramentalne pytanie:

— Daleko do obiadu?

Wyciągam zegarek, stary, srebrny grat ze śmiesznymi rzymskimi cyframi. Lubię go, bo jest podobny do zegarka ojca. Kupiłem go za paczkę fig.

— Jedenasta.

Cherlak wstał spod muru i spokojnie wyjął mi go z ręki.

— Daj mi go. Bardzo mi się podoba.

— Nie mogę, bo to mój własny z domu.

— Nie możesz? To nie.

Zamachnął się i cisnął zegarek o ścianę. Po czym siada znów w cieniu i podkula nogi. — Gorąco dzisiaj, co?

Milcząc podnoszę zegarek i zaczynam gwizdać ze złości. Najpierw fox o wesołej Joannie, potem stare tango o Rebecce, potem „Warszawiankę” i „Rotę”, a wreszcie repertuar z lewej strony.

Właśnie gwizdałem „Międzynarodówkę”, wtórując w myśli — *Eto budiet poślednij i rieszitielnyj boj*, gdy nagle przestonił mnie wysoki cień i ciężka dłoń spadła mi na kark. Podniosłem głowę i zamarłem. Rozpościerała się nade mną olbrzymia, czerwona, obrzękła twarz, a trzon od łopaty niepokojąco chwiał się w powietrzu. Nieskazitelnie białe pasiaki odcinały się ostro od dalekiej zieleni drzew. Mały czerwony trójkąt z cyferką

„3277” przyszyty do piersi chwiał się dziwnie i rozrastał się w oczach.

— Co gwizdzesz — spytał kapo, patrząc mi prosto w oczy.

— To taki bardzo międzynarodowy slogan, panie kapo.

— A znasz ten slogan?

— No... trochę... z rozmaitych stron — dodałem przezornie.

— A to znasz? — spytał.

I ochryplym głosem zaczął śpiewać *Rote Fahne*. Odrzucił trzon od łopaty, oczy zalsniły mu niespokojnie. Nagle urwał, podniósł kij i pokiwał głową, pół z pogardą a pół z politowaniem:

— Żeby to prawdziwy SS słyszał, już byś nie żył. Ale ten...

Cherlak pod murem śmieje się szeroko i dobrodusznie:

— I wy to nazywacie katorgą! Trzeba było być jak ja na Kaukazie!

— Kommandoführer, już zasypaliśmy jeden staw kośćcami ludzkimi, a ile zasypano przedtem, a ile poszło do Wisły, tego ani pan, ani ja nie wiemy.

— Trzymaj pysk, świński psie — i wstał spod muru, sięgając po upuszczoną szpicrutę.

— Bierz ludzi i idź po obiad.

Rzucam łopatę i znikam za węglem inkubatora. Z daleka słyszę jeszcze głos kapa, ochrypli i dychawiczny:

— Tak, tak, to są świńskie psy. Trzeba ich wszystkich wybić do nogi. Ma pan rację, panie Kommandoführerze.

Rzuciłem na nich nienawistne spojrzenie.

III

Wychodzimy drogą prowadzącą przez Harmenze. Wysokie kasztany szumią, cień jest jeszcze zieleńszy, ale jakby suchszy. Jak wyschłe liście. Jest to cień południa.

Po wyjściu na drogę trzeba koniecznie przejść obok małego domku o oknach z zielonymi okiennicami, które w środku mają niezgrabnie wycięte serduszka, i o białych, w pół zesuniętych firaneczkach. Pod oknami pną się delikatne róże o bladym, matowym kolorze, a w skrzyneczkach rosną jakieś dziwne, fioletowe kwiateczki. Na schodach z ganeczkiem oplecionym ciemnozielonym bluszczem bawi się mała dziewczynka z wielkim, mrukliwym psem. Pies, widocznie znudzony, daje się ciągnąć za uszy, tylko przekręca łbem, oganiając się od much. Dziewczynka jest w białej sukieneczce, ma opalone brązowe ramiona. Pies jest rasy „doberman” o brązowym podgardlu, a ta dziewczynka, to córka Unterscharführera, gospodarza w Harmenze. A ten dworek z różyczkami i firaneczkami, to jego dom.

Zanim się wyjdzie na drogę, trzeba przebyć parę metrów grząskiego, lepkiego błota, ziemi zmieszanej z trocinami i polewanej odkażającą substancją. To żeby nie przywlec żadnej zarazy na Harmenze. Obchodzę ostrożnie z boku to świństwo i wyłazimy razem na drogę, gdzie rzędem poustawiane stoją kotły z zupą. Przywiózł

je samochód z obozu. Każde komando ma swoje kotły
pозnaczone kredą. Obchodzę je dookoła. Zdążyliśmy na
czas, nikt nam jeszcze nie ukradł. Trzeba samemu
spróbować.

— Pięć naszych, dobrze, zabierać, te dwa rzędy na-
leżą do kobiet, nie wolno grandy robić. Aha, jest — mo-
nologuję głośno i ciągnę kocioł sąsiedniego komanda,
a na jego miejsce podstawiam nasz, o połowę mniejszy,
i kreślę nowe znaki kredą.

— Zabierać! — gromko wołam na Greków, którzy ga-
pią się na proceder, pełni zrozumienia.

— Te, coś kotły zamienił! Czekał, stój! — wołają
tamci, z drugiego komanda, którzy też już idą po obiad,
tylko się spóźnili.

— Kto ci zamienił? Trzymaj pysk, człowieku!

Tamci biegną, ale Grecy, ciągnąc kotły po ziemi, stę-
kając, klnąc po swojemu „putare” i „porka”, popycha-
jąc i poganiając się wzajemnie, znikają za żerdzią, od-
dzielającą świat od Harmenze. Przełazę za nimi ostatni,
słyszę, jak tamci są już przy kotłach i klną mnie w żywy
kamień, a moją rodzinę rozstawiają z uporem po kątach.
Ale wszystko jest w porządku: dziś ja, jutro oni, kto
pierwszy, ten lepszy. Nasz patriotyzm komandowy nie
wychodzi nigdy poza ramy sportu.

Zupa bulgocze w kotłach. Grecy co parę kroków sta-
wiają kotły na ziemi. Oddychają ciężko jak ryby wyrzu-
cone na brzeg i ukradkiem zlizują palcami ciekącą wą-
ziutkimi strugami spod niedokręconych pokryw lepka,
gorącą maż. Znam jej smak, zmieszany z kurzem, brudem
i potem rąk, bo sam te kotły nie tak dawno nosiłem.

Stawiają kotły i wyczekująco patrzą mi w twarz. Pod-
chodzę uroczyście do środkowego kotła, wolno odkre-
cam śruby, przez nieskończenie długie pół sekundy trzy-

mam dłoń na pokrywie i — podnoszę. Kilkanaście par oczu gaśnie w zniechęceniu: pokrzywa. Rzadka, biała ciecz chlupie w kotle. Na powierzchni pływają żółte oka margaryny. Ale wszyscy poznają po kolorze, że pod spodem leżą całe, nieposiekane, włókniste łądygi pokrzyw, o zgniłym kolorze i ohydny zapachu, że zupa do samego dna jest taka sama: woda, woda, woda... Na moment świat ciemnieje w oczach dźwigających ludzi. Kładę pokrywę na kocioł. W milczeniu znosimy kotły na dół.

Wielkim łukiem obchodzę teraz pole ku grupie Iwana, który zdiera nawierzchnię łąki przy kartoflach. Długi rząd ludzi w pasiakach stoi nieruchomo przy czarnym wale ziemi. Od czasu do czasu ruszy się łopata, ktoś przegnie się, zamrze na chwilę w tym ruchu, wyprostuje się z wolna, dźwignie łopatę i zastygnie na długo w półobrocie, w niedokończonym geście jak zwierzę, zwane leniwcem. Za chwilę poruszy się ktoś inny, machnie łopatą i zapadnie tak samo w bezwładne otepienie. Nie pracują rękoma, lecz oczami. Gdy pojawi się na horyzoncie esman lub kapo albo spod wnęki, gdzie panuje wilgotny cień świeżej ziemi, ciężko wygramoli się dozorca, łopaty szczękają żywiej, choć póki się da, latają puste, członki poruszają się jak w kinie: śmiesznie, kanciasto.

Włazę wprost na Iwana. Siedzi w swej wnęcie i kozikiem wyrzyna na korze grubego drąga ozdoby: kwadraty, wężyki, serduszka, ukraińskie napisy. Obok klęczał stary, zaufany Grek i pakował coś do jego torby. Zdążyłem jeszcze dostrzec białe pierzaste skrzydło i czerwoną głowę gęsi, dziwnie wygiętą na grzbiet, gdy Iwan, zobaczywszy mnie, rzucił na worek marynarkę. Słonina przemiękła mi w kieszeni i mam brzydką plamę na spodniach.

— Od pani Haneczki — rzekłem krótko.

— Nie mówiła nic? Miała przynieść jajka.

— Kazała ci podziękować za mydło. Bardzo się jej podobało.

— To *horoszo*. Ja je wczoraj kupił od Żyda z Kanady. Dałem trzy jajka.

Iwan rozwija słoninę. Jest wymiętoszona, rozparzona i żółta. Mdło mi się robi na jej widok, może dlatego, że zbyt wiele boczku zjadłem z rana i jeszcze mi się odbija.

— O, *blad'*! Za takie dwa kawałki tylko tyle dała? Ciasta ci nie dała? — Iwan patrzy na mnie podejrzliwie.

— A wiesz, Iwan, rzeczywiście dała ci za mało. Widziałem to mydło.

— Widziałeś je? — Iwan poruszył się niespokojnie we wnęce. — Trzeba iść ludzi pognać do roboty.

— Widziałem. I za mało ci dała. Więcej ci się należy. Zwłaszcza ode mnie. Postaram ci się oddać. — Chwilę patrzymy sobie twardo w oczy.

IV

Nad samym rowem wyrósł tatarak, a po drugiej stronie, gdzie stoi głupi, wąsaty post z paru trójkątami wysłużonych lat na ramieniu, rosną maliny o bladych, jakby zakurzonych liściach. Dnem rowu biegnie mętna woda, panoszą się w niej jakieś zielone, oślizgłe dziwotwory, czasem ze szlamem wygarnie się czarnego wijącego się węgorza. Grecy zjadają go na surowo.

Rozkraczam się nad rowem i łopata powoli przesuwam po dnie. Stoję ostrożnie, by nie zamoczyć butów. Post podchodzi bliżej, przygląda się w milczeniu.

— Co to będzie tu robione?

— Grobla, a potem oczyścimy rów, panie post.

— Skąd masz takie ładne buty?

Buty mam istotnie ładne: na podwójnej podeszwie, ręcznie szytej, półbuty bardzo wymyślnie na modę węgierską dziurkowane. Przynieśli mi je przyjaciele z rampy.

— Dostałem w obozie razem z tą koszulą — odrzekłem wskazując mu na jedwabną koszulę, za którą dałem chyba z kilo pomidorów.

— Takie buty dają u was? Patrz, w jakich ja chodzę.

Pokazuje mi buty zmarszczone i popękane. Na nosie prawego łąta. Kiwam w zrozumieniu głową.

— A nie sprzedałbyś mi tych swoich butów?

Podniosłem na niego wzrok pełen bezgranicznego zdziwienia.

— Jakżeż ja mogę sprzedać panu własność obozu? Jakżeż ja mogę?

Post opiera karabin o ławkę i podchodzi bliżej do mnie, przechylając się nad wodą, która odbija jego postać. Sięgnąłem łopata i zmąciłem obraz.

— Wszystko wolno, jak nikt nie widzi. Dostaniesz chleba, mam w chlebaku.

Chleba dostałem w tym tygodniu szesnaście bochenków z Warszawy. Poza tym za takie buty pół litra wódki murowane. Uśmiecham się więc wyrozumiale.

— Dziękuję, dostajemy w obozie takie porcje, że nie jestem głodny. Chleba i słoniny mam dosyć. Ale jeśli pan post ma chleba za dużo, to niech da tym Żydom, którzy pracują tam, przy wale. O, ten, co nosi darń — rzekłem, wskazując na małego, chudego Żydkę o kaprawych, zażawionych oczach — to bardzo porządny chłopak. Zresztą te buty nie są dobre: zelówka się odrywa. — W zelówce istotnie jest szpara: chowa się tam czasem parę dolarów, czasem parę marek, czasem jakiś list. Post zagryza wargi i patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami.

— Za co ciebie zamknęli?

— Szedłem ulicą, była łapanka. Złapali, zamknęli i przywieźli. Zupełnie niewinnie.

— Wy wszyscy tak mówicie!

— O, nieprawda, nie wszyscy. Mego przyjaciela aresztowali za to, że fałszywie śpiewał, rozumie pan post *falsch gesungen*.

Łopata, którą bez przerwy poruszam po dnie mulistego rowu, zaczęła się o coś twardego. Szarpnię: drut.

Klnę brzydko pod nosem, a post ogłupiały patrzy na mnie.

— *Was, falsch gesungen?*

— O, to cała historia. Raz w Warszawie, gdy podczas nabożeństwa śpiewano pieśni kościelne, mój przyjaciel zaczął śpiewać hymn narodowy. A że śpiewał bardzo fałszywie, więc go zamknęli. I powiedzieli, że dotąd nie wypuszczą, aż się nauczy nut. Bili go nawet, ale nic z tego, będzie pewnie siedział aż do końca wojny, bo jest zupełnie niemuzykalny. Raz nawet pomylił marsz niemiecki z marszem Chopina.

Post syknął coś i odszedł w stronę ławki. Usiadł, podniósł w zadumie karabin i bawiąc się zamkiem, zarepetował. Podniósł głowę, jakby coś sobie przypominając.

— Ty, warszawiak, chodź, dam ci chleb, oddasz go Żydom — rzekł sięgając po torbę.

Uśmiecham się najprzyjemniej, jak tylko umiem.

Po tamtej stronie rowu ciągnie się linia wart i postom wolno strzelać do ludzi. Za łebek dostają trzy dni urlopu i pięć marek.

— Niestety, nie wolno nam tam chodzić. Ale jeśli pan post chce, to proszę rzucić chleb, ja naprawdę złapię.

Staję w wyczekującej pozycji, ale post odkłada nagle torbę na ziemię, zrywa się i melduje przechodzącemu dowódcy warty, że „wszystko bez szczególnych wydarzeń“.

Janek, który pracuje obok mnie, takie miłe dziecko Warszawy, które nic z obozu nie rozumie i chyba do końca nie zrozumie, wygarnia pracowicie szlam, układając go równo i starannie po drugiej stronie, prawie wprost pod nogi posta. Dowódca warty podszedł bliżej

i popatrzył na nas tak, jak się patrzy na parę koni, które ciągną wóz, albo na pasące się bydło. Janek uśmiecha się szeroko w jego stronę i kiwa porozumiewawczo głową.

— Rów oczyszczamy, panie Rottenführer, bardzo dużo błota.

Rottenführer ocknął się i spojrział na mówiącego więźnia ze zdziwieniem takim, jak patrzy się na pociągowego konia, który nagle przemówi, albo na pasącą się krowę, która zacznie śpiewać modne tango.

— Chodź no tu — rzekł do niego.

Janek odłożył łopatę, przeskoczył rów i podszedł. Wtedy Rottenführer podniósł rękę i trzasnął go z całej siły w twarz. Janek potoczył się, chwycił się krzaków malin i wjechał do szlamu. Zabułgotała woda, ja zakrzusiałem się śmiechem. Rottenführer zaś rzekł:

— G... mnie obchodzi, co ty tu robisz nad rowem! Możesz nic nie robić. Ale jak mówisz do SS-manna — to masz czapkę zdjąć ze łba i opuścić ręce. — Rottenführer odszedł. Pomogłem Jankowi wyleźć z błota.

— Ale za co ja dostałem, za co, za co? — spytał zdumiony, nic nie rozumiejący.

— Nie pchaj się na ochotnika — odrzekłem — a teraz się oczyść.

Kończymy właśnie szlamowanie rowu, gdy nadszedł pipel od kapa. Sięgam po chlebak, przekładam bochenek chleba, słoninę i cebulę. Wyciągam cytrynę. Post z drugiej strony przygląda się milcząco.

— Pipel, chodź tu. Mam. Wiesz dla kogo.

— Dobra, Tadek. Słuchaj, nie masz co do jedzenia? Ale wiesz, coś słodkiego. Albo jajek. Nie, nie, ja nie jestem głodny, jadłem na dworze. Dostałem od pani Ha-

neczki trochę jajecznicę. Morowa kobieta! Tylko chcia-
łaby wszystko wiedzieć o Iwanie. Ale wiesz, jak kapo
pójdzie na dwór, to mu nic nie dają.

— Niech nie bije ludzi, to mu dadzą.

— Powiedz mu to.

— Od czego jesteś pipel. Nie umiesz organizować.
Przypatrz się, jak tu niektórzy gęsi łąpią i wieczorem
smażą w bloku, a twój kapo zupę je. Smakowały mu
wczorajsze pokrzywy?

Pipel patrzy na mnie badawczo. Jest to młody, ale
bardzo sprytny chłopak. Niemiec, był w wojsku, choć ma
dopiero szesnaście lat. Szmuglował.

— Tadek, mów od razu, przecie się rozumiemy. Na
kogo chcesz mnie napuścić?

Wzruszam ramionami.

— Na nikogo. Ale przypatrz się dobrze gęsiom.

— A wiesz, że wczoraj znowu zginęła jedna gęś,
a Unterscharführer zbił kapę po pysku i zabrał mu ze
złości zegarek? No, idę i popatrzę.

Idziemy razem, bo jest już przerwa na obiad. Gwiżdżą
przeraźliwie od strony kotłów i machają rękoma. Jak
kto stoi, rzuca narzędzia. Łopaty sterczą na wałach. Z ca-
łego pola idą powoli ku kotłom zmęczeni ludzie, chcąc
przeciwną chwilę przedobiedną, głód, który za-
raz będą nasycać. Spóźniona ciągnie za wszystkimi gru-
pa Iwana. Iwan zatrzymał się nad rowem przy „moim”
poście i rozmawia z nim długo. Post pokazuje ramieniem.
Iwan kiwa głową. Wrzaski i nawoływania przynagliły
go do pośpiechu. Przechodząc koło mnie, rzuca:

— Zdaje się, że dziś nic nie upolujesz.

— Dzień się jeszcze nie skończył — odparłem.

Rzuca mi z ukosa złośliwe i wyzywające spojrzenie.

V

W pustym inkubatorze pipel rozstawia naczynia, wyciera stołki i nakrywa stół do obiadu. Pisarz komanda, grecki lingwista, kurczy się w kącie, żeby wydać się jak najmniejszym i najbardziej niepozornym. Przez wywalone drzwi widać jego twarz koloru gotowanego raka o oczach wodnistych jak żabi skrzek. Na dworze, na placyku otoczonym naokoło wysokim wałem ziemi, posadzono więźniów. Siedli tak, jak stali, po pięciu, szeregiem i w grupach. Siedzą ze skrzyżowanymi nogami, wyprostowani, ręce opuszczone są do bioder. Podczas wydawania obiadu nie wolno im się ruszyć. Później będą mogli przegiąć się w tył i położyć się na kolanach towarzysza, ale biada, jeśli złamią szyk szeregów. Z boku, w cieniu nasypu, niedbale siedzą esmani, maszynowe pistolety położywszy nonszalancko na kolanach, wyciągają z toreb i chlebaków chleb, smarują uważnie margaryną, jedzą powoli i odświeżnie. Do jednego przysiadł się Rubin, Żyd z Kanady, i cicho z nim rozmawia. Załatwia interes — dla siebie i dla kapy. Sam kapo, olbrzymi i czerwony, stoi przy kotle.

Biegamy z miskami w ręku niczym najwytrawniejsi kelnerzy. W całkowitym milczeniu podajemy zupę, w całkowitym milczeniu wrywamy przemocą menażki z rąk, które chcą coś z pustego dna jeszcze wygrzebać, jeszcze przedłużyć chwilę jedzenia, jeszcze raz oblizać miskę,

ukradkiem przeciągnąć palcem po dnie. Kapo odskoczył od kotła, wpadł w szeregi: dojrzał. Kopniakiem w twarz obala liżącego miszkę, kopie raz i drugi w podbrzusze i odchodzi, depcząc po kolanach i rękach, ale ostrożnie omijając jedzących.

Wszystkie oczy patrzą z wysiłkiem w twarz kapy. Jeszcze dwa kotły: dolewka. Co dzień kapo rozkoszuje się tą chwilą. Za dziesięć lat obozu należy mu się ta pełnia władzy nad ludźmi. Końcem chochli wskazuje, kto zasłużył na dolewkę: nie pomyli się nigdy. Dolewkę dostaje lepiej pracujący, silniejszy, zdrowszy. Chory, osłabiony, wyschły człowiek nie ma prawa do drugiej miski wody z pokrzywą. Nie wolno marnować pokarmu dla ludzi, którzy niedługo pójdą do komina.

Vorarbeiterom należą się z urzędu dwie pełne miski zupy z kartoflami i mięsem, wygrzebanej z dna kotła. Z miską w ręku oglądam się niezdecydowany, czuję na sobie czyjś uporczywy wzrok. W pierwszym rzędzie siedzi Beker, wylupiaste oczy utkwili pożądliwie w zupie.

— Masz, zjedz, może to ci nareszcie zaszkodzi.

W milczeniu chwyta miszkę z rąk i zaczyna łapczywie jeść.

— A miszkę postaw koło siebie, żeby pipel pozbiarał, bo dostaniesz od kapy w mordę.

Drugą miszkę oddaję Andrzejowi. Przyniesie mi za to jabłek. Pracuje w sadzie.

— Rubin, co post mówił? — pytam półgłosem, mijając go, aby pójść do cienia.

— Post mówi, że Kijów zajęli — odpowiada cicho.

Zatrzymuję się zdziwiony. Kiwa mi niecierpliwie ręką. Odchodzę w cień, podkładam pod siebie marynarkę, aby nie pobrudzić jedwabnej koszulki, układam się wygodnie do snu. Odpoczywamy jak kogo na to stać.

Kapo poszedł do inkubatora i po zjedzeniu dwóch misek zupy zasnął. Wtedy pipel wyciągnął z kieszeni kawał gotowanego mięsa, pokroił go na chlebie i zaczął jeść ostentacyjnie na oczach głodnego tłumu, zagryzając mięso cebulą jak jabłkiem. Ludzie porozkładali się w ciasnych szeregach jeden za drugim i zakrywszy głowę marynarkami zapadli w ciężki, niespokojny sen. My leżymy w cieniu. Naprzeciw rozłożyło się komando dziewcząt w białych chusteczkach. Z daleka pokrzykują coś do nas i na migi układają całe historie. Ten i ów kiwa porozumiewawczo. Jedna z dziewcząt klęczy całym z boku, a w wyprostowanych nad głową rękach trzyma belkę, wielką i ciężką. Co chwila esman, pilnujący komanda, popuszcza smycz psa. Pies rwie się do jej twarzy, ujadając wściekle.

— Złodziejka? — domyślam się leniwie.

— Nie. Złapali ją w kukurydzy z Petrem. Petro uciekł — odrzekł Andrzej.

— Wytrzyma pięć minut?

— Wytrzyma. To twarda dziewczka.

Nie wytrzymała. Ugięła ręce, rzuciła belkę i upadła na ziemię, głośno zanosząc się płaczem. Andrzej odwrócił się i spojrzał na mnie:

— Nie masz Tadik, papierosa? Szkoda, ot życie!

Po czym owinał głowę w marynarkę, wyciągnął się wygodniej i zasnął. Układałem się i ja do snu, gdy szarpnął mnie pipel:

— Kapo cię woła. Uważaj, bo zły.

Kapo obudził się, ma czerwone oczy. Przeciera je i patrzy nieruchomo w przestrzeń.

— Ty — dotknął mi grożąco palcem piersi — dlaczego oddałeś zupę?

— Mam co innego jeść.

— Co on ci dał za tó?

— Nic.

Kiwa głową niedowierzająco. Porusza ogromnymi zuchwami jak krowa żująca pokarm.

— Jutro w ogóle zupy nie dostaniesz. Dostaną ci, co nic innego nie mają do jedzenia. Rozumiesz?

— Dobrze, kapo.

— Dlaczego nie zrobiłeś czterech trag, jak ci kazałem? Zapomniałeś?

— Nie miałem czasu. Kapo widział, co robiłem przed południem.

— Zrobisz je po południu. I uważaj, żebyś sam na nich nie leżał. Ja ci to mogę zrobić.

— Czy mogę już odejść?

Dopiero teraz spojrział na mnie. Utkwił we mnie martwy, pusty wzrok człowieka wyrwanego z głębokiego zamyślenia.

— Czego ty tu chcesz? — zapytał.

VI

Spod kasztanów doszedł mnie zdławiony krzyk człowieka. Zbieram klucze i zakrętki, układam tragi jedną na drugiej, rzucaam Jankowi:

— Janek, weź skrzynkę, bo się mamusia będzie gniewała — i podchodzę w stronę drogi.

Na ziemi leżał Beker, charczał i pluł krwią, a Iwan kopał go, gdzie popadło: w mordę, w brzuch, w podbrzusze...

— Patrz, co ten *hadiuka* zrobił! Cały obiad ci wyżarł! Złodziej przeklęty!

Na ziemi leży menażka pani Haneczki z resztą kaszy. Beker jest cały umazany w kaszy.

— Wsadziłem mu ryło do menażki — rzekł ciężko dysząc Iwan. — Dokończ go, bo muszę iść.

— Umyj menażkę — rzekłem do Bekera — i postaw pod drzewem. Uważaj, żeby cię kapo nie złapał. Właśnie zrobiłem czworo noszy. Wiesz, co to znaczy?

Na drodze Andrzej ćwiczy dwóch Żydów. Nie umieli maszerować, kapo połamał im na łbach dwa kije i zapowiedział, że się muszą nauczyć. Andrzej przywiązał im po kiju do nogi i tłumaczy, jak może „*czortowe wy diety, taj dywyś, ce lewa a ce prawa links, links*”. Grecy otwierają szeroko oczy i maszerują w koło, ze strachu szurając nogami po ziemi. Ogromny tuman kurzu wzbija się wysoko w górę. Koło rowu, gdzie stoi post, ten od bu-

tów, pracują nasi chłopcy, „planują” ziemię, delikatnie ubijając ją i głaszcząc łopatami, jakby była ciastem. Wrzeszczą, gdy idą na przelaj, zostawiając głębokie ślady.

— Tadek, co słyhać?

— A nic, Kijów zajęli.

— A czy to prawda?

— Śmieszne pytanie!

Tak drąc się na cały głos omijam ich z boku i idę wzdłuż rowu. Nagle słyszę za sobą wołanie:

— *Halt, halt, du, Warschauer!* — i za chwilę niespodziewanie po polsku: — Stój, stój!

Po drugiej stronie rowu dobiega do mnie pędem „mój post”, karabin pochylił jak do szturmu. Jest bardzo podniecony. — Stój, stój!

Stoję. Post przedziera się przez krzaki jeżyn, repetuje karabin.

— Coś ty teraz mówił? o Kijowie? Wy tu plotki polityczne rozpuszczacie! Wy tu tajną organizację macie! Numer, numer, podaj swój numer!

Dygocąc ze złości i wzburzenia wyciąga świstek papieru, długo szuka ołówka. Uczułem, jak ze mnie coś odpływa. Ale trochę ochłonąłem.

— Przepraszam, pan post nie zrozumiał. Pan post słabo po polsku rozumie. Ja mówiłem o kijach, które Andrzej przywiązał Żydom na drodze. I że to jest bardzo śmieszne. — „Tak, tak, panie post, właśnie to on mówił” — potwierdza zgodny chór.

Post zamierzył się karabinem, jakby chciał mnie sięgnąć kolbą przez rów.

— Ty jesteś ale zwariowany! Ja jeszcze dzisiaj zamelduję na polityczny! Numer, numer!

— Sto dziewiętnaście, sto dzie...

— Pokaż na ręce.

— Patrz.

Wyciągam ramię z wytatuowanym numerem i jestem pewien, że z daleka nie widzi.

— Chodź bliżej.

— Nie wolno mi. Może post robić meldunek, ale ja nie jestem „biały Wańka”.

„Biały Wańka” parę dni temu wlaźł na brzozę rosnącą na linii postów, żeby naciąć gałęzi na miotły. Za miotły można dostać w obozie chleb lub zupę. Post złożył się i strzelił, kula przeszła na ukos przez pierś i wyszła tyłem przez kark. Przynieśliśmy chłopca do obozu. Odchodzę zły, ale tuż za węglem dogania mnie Rubin.

— Tadek, cóżes ty zrobił? I co to będzie?

— A co ma być?

— Przecież ty wszystko powiesz, że to ja... Oj, coś ty najlepszego zrobił. Jak można tak głośno krzyczeć? Ty mnie zniszczyć chcesz.

— Czego ty się boisz? U nas nie sypią.

— Ja wiem i ty wiesz, ale *sicher ist sicher*. Pewne jest pewne. Ty, a może dasz te buty dla posta. On się na pewno zgodzi? Nu, ja spróbuję z nim pogadać. Niech mnie to kosztuje. Ja z nim handlowałem.

— A to świetnie, powie się i o tym.

— Tadek, ja czarno widzę przed nami. Ty daj buty, a ja z nim obgadam. To morowy chłop.

— Tylko za długo żyje. Butów nie dam, bo mi szkoda. Ale mam zegarek. Nie chodzi i ma pęknięte szkło, ale od czego ty jesteś. Zresztą daj swój, nic cię nie kosztował.

— Oj, Tadek, Tadek...

Rubin chowa zegarek, słyszę z daleka:

— Kolejarz!

Biegnę na przelaj przez pole. Oczy kapo nabrały złowieszczonego wyrazu, a w kącikach ust pojawiła się piana. Ręce, olbrzymie goryle ręce kołyszą się miarowo, a palce nerwowo się kurczą:

— Coś handlował z Rubinem?

— Kapo przecież widział. Kapo wszystko widzi. Dałem mu zegarek.

— Coo? — Ręce powoli poczęły się podnosić ku mojemu gardłu.

Skamieniałem ze strachu. Bez najmniejszego ruchu (to dzikie zwierzę — przemknęło mi w myśli), nie spuszczając z niego oczu wypaliłem jednym tchem:

— Dałem zegarek, bo post chce mi robić meldung na polityczny za to, że prowadzę tajną robotę.

Ręce kapo rozprężyły się z wolna i opadły wzdłuż boków. Szczęka zwisała lekko jak u psa, któremu jest zbyt gorąco. Słuchając opowiadania, niezdecydowanie macha trzonkiem od łopaty.

— Idź do roboty — zdaje się, że ciebie dziś poniosą do obozu.

W tej chwili czyni błyskawiczny ruch, podrywa się na baczność i ściąga czapkę z głowy. Odskakuje, uderzony z tyłu rowerem. Zrywam czapkę. Unterscharführer, gospodarz z Haimenze, zeskakuje z roweru czerwony ze zdenerwowania:

— Co się tu dzieje na tym zwariowanym komandzie? Dlaczego ci ludzie chodzą tam z poprzywiązywanymi kijami? To jest czas pracy!

— Oni nie umieją chodzić!

— Jak nie umieją, to ich zabić! A wie pan, że znowu zginęła gęś?

— Czego stoisz jak głupi pies? — wrzasnął kapo na mnie — Andrej ma zrobić z nimi porządek. Los!

Poleciałem ścieżką.

— *Andrej, konczaj ich!* Kapo kazał!

Andrzej chwycił kij i uderzył na odlew. Grek zasłonił się ręką, zaskowyczał i upadł. Andrzej położył mu kij na gardło, stanął na kiju i zakołysał się.

Odszedłem prędko w swoją stronę.

Z daleka widzę, jak kapo z esmanem idą do mego posta i długo z nim gadają. Kapo gestykuje gwałtownie trzonkiem łopaty. Czapkę ma nasadzoną na łbie. Gdy odeszli, podszedł do posta Rubin. Post wstał z ławki, zbliżył się nad rów, wreszcie wszedł na groblę. Po chwili Rubin kiwa na mnie.

— Podziękuj panu postowi, że ci nie zrobi meldunku.

Rubin nie ma zegarka na rękę.

Dziękuję i odchodzę w stronę warsztatu. Stary Grek, ten od Iwana, zatrzymuje mnie po drodze.

— *Camerade, camerade*, ten esman to z obozu, prawda?

— Albo co?

— To dziś już naprawdę będzie wybórka?

I w dziwnej egzaltacji siwy, wysuszony Grek, kupiec z Salonik, odrzuca łopatę i podnosi do góry ręce:

— *Nous sommes les hommes misérables. O Dieu, Dieu!*

Blade, niebieskie oczy patrzą w niebo, które jest tak samo niebieskie i blade.

VII

Podnosimy wagonik. Naładowany do pełna piaskiem wykoleił się na samej „scheibie“. Cztery pary wychudłych ramion pchają wóz raz do przodu, raz do tyłu, huśtają. Rozkołysali, podnieśli przednią parę kół, wstawili na szyny. Podkładamy kolek, lora już, już włazi na szyny, nagle puszczamy ją i wyprostowujemy się.

— Zbiórka! — drę się i gwiżdżę z daleka.

Lora bezwładnie opada i kołami zarywa się w ziemię. Ktoś odrzuca niepotrzebny drąg, wysypujemy piasek z lory wprost na „scheibę“. I tak się jutro sprzątnie.

Idziemy na „antreten“. Dopiero po chwili orientujemy się, że przecież za wcześnie. Słońce stoi jeszcze wysoko. Do czuba drzewa, o które opiera się nosem w porze zbiórki, jest jeszcze kawał drogi. Najwyżej trzecia. Twarze ludzkie są niespokojne i pytające. Stajemy w piątkach, równamy, dociągamy torby i pasy.

Pisarz liczy nas nieustannie.

Od strony dworu idą esmani i te nasze posty. Obstawiają nas wokoło. Stoimy. Na końcu komanda nosze z dwoma trupami.

Na drodze uczynił się większy ruch niż zwykle. Ludzie z Harmenz chodzą tu i tam, zaniepokojeni naszym wczesnym odejściem. Ale dla starych „lagrowców“ rzecz jest jasna: w lagrze będzie naprawdę wybiórka.

Parę razy mignęła jasna chusteczka pani Haneczki.

Kobieta zwraca ku nam pytające oczy. Stawia koszyk na ziemi i opiera się o stodołę, patrzy. Idę za jej wzrokiem. Patrzy niespokojnie na Iwana.

Zaraz za esmanami nadszedł kapo i cherlak komandoführer.

— Rozstąpić się i podnieść ręce do góry — rzekł kapo.

Wtedy wszyscy zrozumieli: rewizja. Rozpinamy kurtki, otwieramy torby. Esman jest wprawny i szybki. Przejeżdża rękoma po ciele, sięga do torby. Obok reszty chleba, paru cebul i jakiejś zestarzałej słoniny — jabłka, niewątpliwie z sadu.

— Skąd to masz?

Podnoszę głowę: „mój” post.

— Z paczki, panie post.

Przez chwilę patrzy mi ironicznie w oczy.

— Te same jabłka jadłem dzisiaj po obiedzie.

Wypaproszają z kieszeni kawały słoneczników, kaczany kukurydzy, ziele, szczaw, jabłka, raz po raz podrywa się krótki, ludzki wrzask: biją.

Nagle Unterscharführer wszedł w sam środek szeregu i wyciągnął na bok starego Greka z dużą, wypchaną torbą.

— Otwórz — rzekł krótko.

Trzęsącymi się rękoma Grek otworzył torbę. Unterscharführer zajrzał do środka i zawołał kapa:

— Patrz, kapo, nasza gęś.

I wyciągnął z torby gęś o olbrzymich, rozłożystych skrzydłach.

Pipel, który też podbiegł do worka, krzyknął tryumfująco do kapy:

— Jest, jest, a nie mówiłem!

Kapo zamachnęła się kijem.

— Nie bij — rzekł, wstrzymując mu rękę, esman. Wyciągnął z pochwy rewolwer i zwrócił się wprost do Greka, wymownie gestykułując bronią:

— Skąd to masz? Jak nie odpowiesz, to cię zastrze lę. — Grek milczał. Esman podniósł pistolet. Spojrza-łem na Iwana. Był zupełnie blady. Spojrzenia nasze spotkały się. Zacisnął usta i wystąpił z szeregu. Podszedł do esmana, zdjął czapkę i rzekł:

— To ja mu dałem.

Wszystkie spojrzenia zawisły na Iwanie. Unterscharführer wolno podniósł pejcz i ciał go po twarzy raz, drugi, trzeci. Potem zaczął bić po głowie. Pejcz świszczą, twarz więźnia pokryła się krwawymi pręgami, ale Iwan nie padał. Stał z czapką w ręce, wyprostowany, z rękoma wzdłuż bioder. Nie uchylał głowy, chwiał się tylko całym ciałem.

Unterscharführer opuścił rękę.

— Zapisać numer i złożyć meldunek. Komando — odmarsz.

Odchodzimy równym, wojskowym krokiem. Zostaje za nami kupa słoneczników, kępy ziela, szmaty i torby, pogniecione jabłka, a za tym wszystkim leży wielka gęś o czerwonym łbie i rozłożystych białych skrzydłach. Na końcu komanda idzie Iwan, nie podtrzymywany przez nikogo. Za nim na noszach niosą dwa trupy, przykryte gałęziami.

Gdy przechodziliśmy koło pani Haneczki, zwróciłem głowę w jej stronę. Stała blada i wyprostowana z rękoma przyciśniętymi do piersi. Wargi jej drżały nerwowo. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Wtedy zobaczyłem, że jej duże czarne oczy pełne były łez.

Po apelu wpędzili nas na blok. Leżymy na pryczy, wyglądamy przez szpary i czekamy na koniec wybiórki.

— Czuję się, jakbym zawinił w tej całej wybiórce. Ten dziwny fatalizm słów. W tym przeklętym Oświęcimiu nawet złe słowo ma moc stawania się.

— Nie przejmuj się — odrzekł Kazik — daj lepiej coś do tego pasztetu.

— Pomidorów nie masz?

— Nie co dzień świętego Jana.

Odsunąłem przygotowane kanapki.

— Nie mogę jeść.

Na dworze kończą wybiórkę. Lekarz-esman, zabrawszy liczbę i numery zapisanych, odchodzi do następnego bloku. Kazik zabiera się do odejścia.

— Idę kupić papierosów. Ale wiesz, Tadek, jesteś frajer, bo jakby mi kto kaszę wyjadł, to bym go zbił na marmoladę.

W tej chwili na krawędzi buksy wylazła z dołu jakaś siwa, ogromna czaszka i spojrzały na nas zeżenowane, mrugające oczy. Potem ukazała się twarz Bekera, zmięta i jeszcze bardziej postarzała.

— Tadek, ja mam do ciebie prośbę.

— Gadaj — rzekłem, przechylając się ku niemu.

— Tadek, idę do komina.

Pochyliłem się jeszcze niżej i zajrzałem mu z bliska w oczy: były spokojne i puste.

— Tadek, ale ja byłem tyle czasu taki głodny. Daj mi co zjeść. Na ten ostatni wieczór.

Kazik uderzył mnie dłonią po kolanie.

— Znasz tego Żyda?

— To Beker — odrzekłem cicho.

— Te, Żyd, włóż tu na buksę i zażeraj. Jak się nażresz, to resztę zabierz ze sobą do komina. Włóż na buksę. Ja tu nie śpię, to możesz mieć wszy.

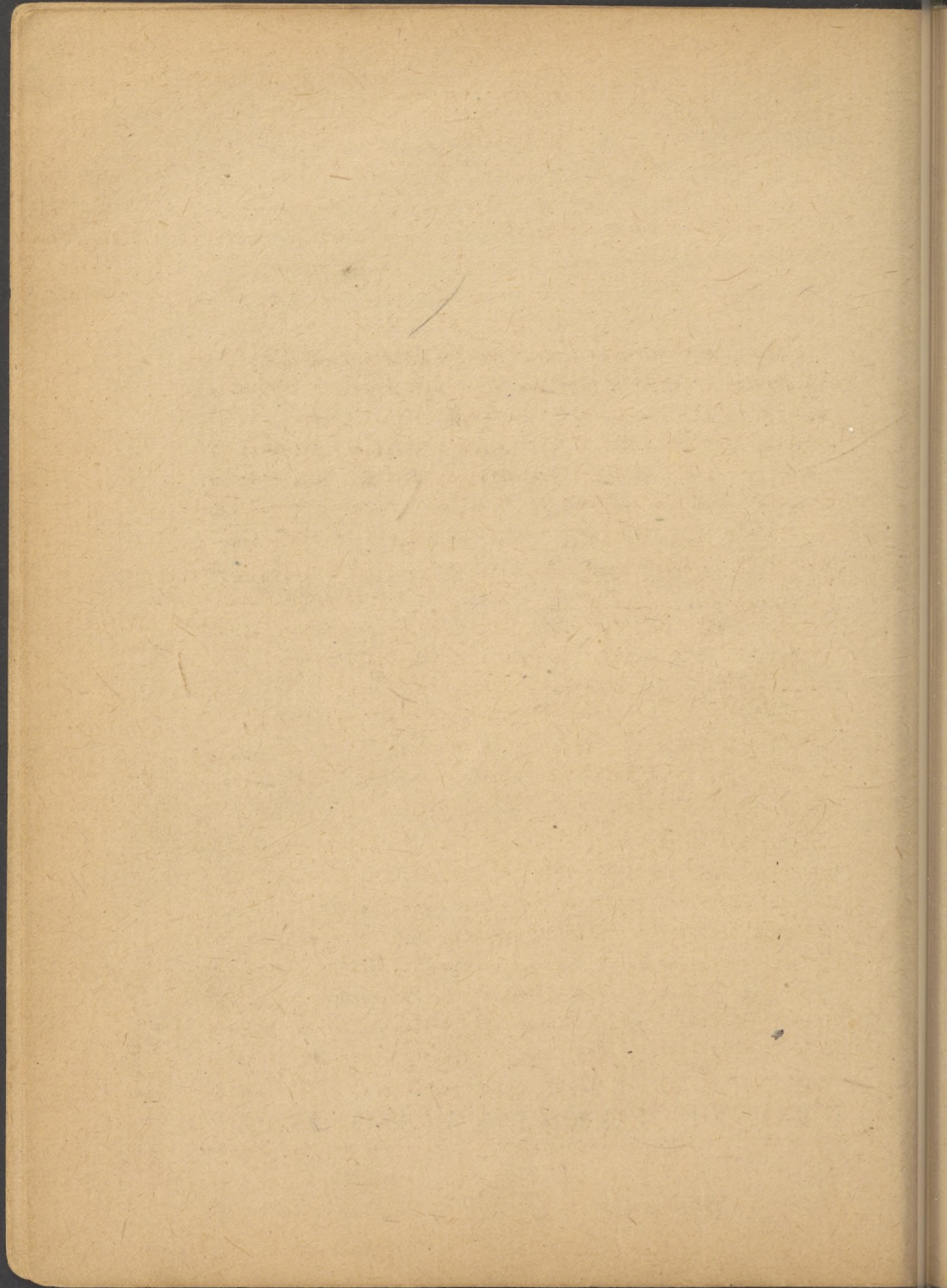
— Tadek — chwycił mnie za ramię — chodź. Mam
na bloku świetną szarlotkę, wprost od mamy.

Złaząc z buksy, trącił mnie ramieniem.

— Patrz — rzekł szeptem.

Spojrzałem na Bekera. Miał przymknięte powieki
i jak ślepiec próżno szukał dłonią deski, żeby wleźć
na górę.

PROSZE PAŃSTWA DO GAZU



I

Cały obóz chodził nago. Wprawdzie przeszliśmy już odwszenie i ubrania dostaliśmy z powrotem z basenów, napełnionych rozpuszczonym w wodzie cyklonem, który znakomicie truł wszy w ubraniach i ludzi w komorze gazowej, a tylko bloki, odgrozione od nas hiszpańskimi kozłami, nie „wyfasowały” jeszcze ubrań, to jednak i ci i tamci chodzili nago: upał był okropny. Obóz ściśle zamknięto. Żaden więzień, żadna wesz nie śmie się przedostać przez jego bramę. Ustała praca komand. Cały dzień tysiące nagich ludzi przewalało się po drogach i placach apelowych, leżakowało pod ścianami i na dachach. Spano na deskach, gdyż sienniki i koce były w dezynfekcji. Z ostatnich bloków widać było FKL — tam też odwszawiali. Dwadzieścia osiem tysięcy kobiet rozebrano i wypędzono z bloków — właśnie kotłują się na „wizach”, drogach i placach.

Od rana czeka się na obiad, je się paczki, odwiedza się przyjaciół. Godziny płyną wolno, jak to w upale. Nawet zwykłej rozrywki nie ma: szerokie drogi do krematoriów stoją puste. Od paru dni nie ma już transportów. Część *Kanady* zlikwidowano i przydzielono na komando. Trafili na jedno z najcięższych, na Harmenze, jako że byli wypasieni i wypoczęci. W obozie bowiem panuje zawistna sprawiedliwość: gdy można upadnie, przyjaciele starają się, by upadł jak najniżej. *Kanada*, nasza *Kanada*, nie pachnie wprawdzie jak fiedlerowska żywica, tylko francuskimi perfumami, lecz chyba nie rośnie

tyle wysokich sosen w tamtej, ile ta ma ukrytych brylantów i monet, zebranych z całej Europy.

Właśnie siedzimy w kilku na buksie, beztriosko machając nogami. Rozkładamy biały, przemyślnie wypieczony chleb, kruchy, rozsypujący się, drażniący trochę w smaku, ale za to nie pleśniejący tygodniami. Chleb przysłany aż z Warszawy. Jeszcze tydzień temu miała go w rękach moja matka. Miły Boże, miły Boże...

Wyciągamy boczek, cebulę, otwieramy puszkę skondensowanego mleka. Henri, wielki i ociekający potem, marzy głośno o francuskim winie przywożonym przez transporty ze Strassburga, spod Paryża, z Marsylii...

— Słuchaj, *mon ami*, jak pójdziemy znów na rampę, przyniosę ci oryginalnego szampana. Pewnie nigdy nie piłeś, nieprawda?

— Nie. Ale przez bramę nie przeniesiesz, więc nie bujaj. Zorganizuj lepiej buty, wiesz, takie dziurkowane z podwójną podeszwą. A o koszulce już nie mówię, dawno mi obiecałeś.

— Cierpliwości, cierpliwości, jak przyjdą transporty, przyniosę ci wszystko. Znów pójdziemy na rampę.

— A może już nie będzie transportów do komina? — rzuciłem złośliwie. — Widzisz, jak zelżało na lagrze, nieograniczona ilość paczek, bić nie wolno. Pisaliście przecież listy do domu... Rozmaicie mówią o rozporządzeniach, sam przecież gadasz. Zresztą, do cholery, ludzi zabraknie.

— Nie gadałbyś głupstw — usta otyłego, o uduchowionej jak z miniatur Coswaya twarzy marsylczyka (jest moim przyjacielem, ale imienia jego nie znam) zapchane są kanapką z sardynkami — nie gadałbyś głupstw — powtórzył, przelykając z wysiłkiem („poszło, cholera!”) — nie gadałbyś głupstw, ludzi nie może zabraknąć,

bobyśmy pozdychali w lagrze. Wszyscy żyjemy z tego, co oni przywiozą.

— Wszyscy, nie wszyscy. Mamy paczki...

— To masz ty i twój kolega, i dziesięciu twoich kolegów, macie wy, Polacy, i to nie wszyscy. Ale my, Żydki, ale ruskie? I co, gdybyśmy nie mieli co jeść, *organisation* z transportów, to byście tam te swoje paczki tak spokojnie jedli? Nie dalibyśmy wam.

— Dalibyście albo byście zdychali z głodu jak Grecy. Kto ma żarcie w obozie, ten ma siłę.

— Wy macie i my mamy, o co się sprzeczać?

Pewnie, nie ma o co się sprzeczać. Wy macie i ja mam, jemy wspólnie, śpimy na jednej buksie. Henri kroi chleb, robi sałatkę z pomidorów. Świetnie smakuje z kantynową musztardą.

W bloku, pod nami, kotłują się ludzie, nadzy, ociekający potem. Łążą między buksami w przejściu, wzdłuż ogromnego, inteligentnie zbudowanego pieca, między ulepszeniami, które stajnię końską (na drzwiach wisi jeszcze tabliczka, że *versuchte Pferde*, zarażone konie, należy odstawiać tam a tam) przemieniają w miły (*gemütlich*) dom dla ponad pół tysiąca ludzi. Gnieźdzą się na dolnych pryzkach po ośmiu, dziewięciu, leżą nadzy, kościści, cuchnący potem i wydzielinami, o zapadniętych głęboko policzkach. Pode mną, na samym dole — rabin; nakrył głowę kawałkiem szmaty odartej z koca i czyta z modlitewnika hebrajskiego (tej lektury tu jest...), zadowolony głośno i monotonicznie.

— Może by się tak zdało go uspokoić? Drze się, jakby Boga za nogi złapał.

— Nie chce mi się z buksy złazić. Niech się drze, prędzej do komina pójdzie.

— Religia jest opium dla narodu. Bardzo lubię palić opium — dodaje z lewej sentencjonalnie marsylczyk, który jest komunistą i rentierem. — Gdyby oni nie wierzyli w Boga i w życie pozagrobowe, już by dawno rozwalili krematoria.

— A dlaczego wy tego nie zrobicie?

Pytanie ma sens metaforyczny, lecz marsylczyk odpowiada:

— Idiota — zapycha usta pomidorem i czyni ruch, jakby chciał coś powiedzieć, ale zjada i milczy. Kończyliśmy właśnie wyzerkę, gdy u drzwi bloku uczynił się większy ruch, odskoczyli *muzułmani* i rzucili się uciekając między buksy, do budy blokowego wleciał goniec. Za chwilę majestatycznie wyszedł blokowy.

— *Kanada! Antreten!* Ale szybko! Transport przychodzi!

— Wielki Boże! — wrzasnął Henri, zeskakując z buksy.

Marsylczyk zadławił się pomidorem, chwycił marynarke, wrzasnął „*raus*” do siedzących na dole i już byli we drzwiach. Zakotłowało się na innych buksach. *Kanada* odchodziła na rampę.

— Henri, buty! — krzyknąłem na pożegnanie.

— *Keine Angst!* — odkrzyknął mi już z dworu.

Opakowałem żarcie, owiązałem sznurami walizę, w której cebula i pomidory z ojcowskiego ogródka w Warszawie leżały obok portugalskich sardynek, a boczek z lubelskiego „*Bacutilu*” (to od brata) mieszał się z najautentyczniejszymi bakaliami z Salonik. Owiązałem, naciągnąłem spodnie, zląłem z buksy.

— *Platz!* — wrzasnąłem, przeciskając się między Grekami. Odsuwali się na bok. We drzwiach natknąłem się na Henriego.

— *Allez, allez, vite, vite!*

— *Was ist los?*

— Chcesz iść z nami na rampę?

— Mogę pójść.

— To jazda, bierz marynarkę! Brakuje paru ludzi, rozmawiałem z kapem — i wypchnął mnie z bloku.

Stanęliśmy w szeregu, ktoś spisał nam numery, ktoś od czoła wrzasnął „marsz, marsz” i pobiegliśmy pod bramę, odprowadzani okrzykami różnojęzycznego tłumu, który już zapędzano bykowcami do bloków. Nie każdy może iść na rampę... Już żegnano ludzi, już jesteśmy pod bramą. — *Links, zwei, drei, vier! Mützen ab!* — Wyprostowani, z rękami sztywno przyłożonymi do bioder, przechodzimy przez bramę rażno, sprężyście, nieomal z gracją. Zaspany esman, z wielką tabliczką w ręku, liczy ospale, oddzielając w powietrzu palcem każdą piątkę.

— *Hundert!* — krzyknął, gdy minęła go ostatnia.

— *Stimmt!* — odkrzyknięto ochryple od czoła.

Maszerujemy szybko, prawie biegiem. Postów dużo, młodzi z automatami. Mijamy wszystkie odcinki obozu II B: niezamieszkały lager C, czeski, kwarantanna, zagłębiają się między grusze i jabłonie truppenlazarettu; wśród nieznamym, jakby z księżycy zieleni, dziwnie w tym kilkudniowym słońcu wybujałej, omijamy łukiem jakieś baraki, przechodzimy linie wielkiej postenketty, biegiem wpadamy na szosę — jesteśmy na miejscu. Jeszcze kilkadziesiąt metrów — wśród drzew rampa.

Była to sielankowa rampa, jak zwykle na zagubionych, prowincjonalnych stacjach. Placyk, obramowany zielenią wysokich drzew, wysypany był żwirem. Z boku, przy drodze, kucnął maleńki, drewniany baraczek, brzydszy i tandetniejszy od najbrzydszej i najtandet-

niejszej budy stacyjnej, dalej leżały wielkie stopy szyn, podkłady kolejowe, zwały desek, części baraków, cegły, kamienie, kłęgi studzienne. To stąd ładują towar na Birkenau: materiał do rozbudowy obozu i ludzi do gazu. Zwyczajny dzień roboczy: zajeżdżają samochody, biorą deski, cement, ludzi...

Rozstawiają się posty na szynach, na belkach, pod zielonym cieniem śląskich kasztanów, ścisłym kołem otaczają rampę. Ocierają pot z czoła, piją z manierek. Upał ogromny, słońce stoi nieruchomo na zenicie. — Rozejść się. — Siadamy w skrawkach cienia pod szynami. Głodni Grecy (zapłatało się ich paru, diabli wiedzą jakim sposobem) myszkują wśród szyn, ktoś znajduje puszkę konserw, spleśniałe bułki, niedojedzone sardynki. Jedzą.

— *Schweinedreck* — spluwa na nich młody, wysoki post, o bujnych płowych włosach i niebieskim marzącym spojrzeniu — przecież zaraz będziecie mieli tyle do żarcia, że nie przeżrecie. Odechce się wam na długo. — Poprawił automat, otarł twarz chustką.

— To bydło — potwierdzamy zgodnie.

— Te, gruby — but posta dotyka lekko karku Henriego — *Pass mal auf*, chce ci się pić?

— Chce, ale nie mam marek — odpowiedział fachowo Francuz.

— *Schade*, szkoda.

— Ależ *Herr Posten*, czy moje słowo nic już nie znaczy? Nie handlował *Herr Posten* ze mną? *Wieviel?*

— Sto. *Gemacht?*

— *Gemacht*. — Pijemy wodę, mdła i bez smaku, na konto pieniędzy i ludzi, których jeszcze nie ma.

— Te, uważaj — mówi Francuz, odrzucając pustą butelkę, aż pryska gdzieś dalej na szynach — forsy nie

bierz, bo może być rewizja. Zresztą na cholere ci forsa, i tak masz co jeść. Ubrania też nie bierz, bo to jest podejrzenie o ucieczkę. Koszulę bierz, ale tylko jedwabną i z kołnierzykiem. Pod spód gimnastyczna. A jak znajdziesz coś do picia, to mnie nie wołaj. Dam sobie rady i uważaj, żebyś nie oberwał.

— Biją?

— Rzecz normalna. Trzeba mieć oczy w plecach. *Arschaugen*.

Wokół nas siedzą Grecy, ruszają łapczywie żuchwami, jak wielkie nieludzkie owady, żrą łakomie zbutwiałe grudy chleba. Są zaafęrowani, nie wiedzą, co będą robić. Niepokoją ich belki i szyny. Nie lubią dźwigania.

— *Was wir arbeiten?* — pytają.

— *Niks. Transport kommen, alles Krematorium, compris?*

— *Alles verstehen* — odpowiadają w krematoryjnym esperanto. Uspokajają się: nie będą ładować szyn na auta ani nosić belek.

Tymczasem na rampie robiło się coraz gwarniej i tłoczniej. Vorarbeiterzy dzielili sobie grupy przeznaczając jednych do otwierania i rozładowywania wagonów, które przyjąć mają, innych pod drewniane schodki i wyjaśniając im celowe działanie. Były to przenośne, wygodne, szerokie schodki, jakby wejście na trybunę. Zajeżdżały z warkotem motocykle, wiozące obsypanych srebrem odznak podoficerów SS, tęgich, spasionych mężczyzn, o wypolerowanych, oficerskich butach i błyszczących, chamskich twarzach. Niektórzy przyjechali z teczkami, inni mieli giętkie, trzciniowe kije. Nadawało im to służbowy i sprężysty wygląd. Wchodzili do kantyny, bo ów mizerny barak był ich kantyną, gdzie latem pili wodę mineralną — *Sudetenquelle*, a zimą ogrzewali się gorą-

cym winem, witali się państwowo wyciągniętym po rzymsku ramieniem, a potem kordialnie potrząsali prawicę, uśmiechali się serdecznie do siebie, rozmawiali o listach, o wiadomościach z domu, o dzieciach, pokazywali sobie fotografie. Niektórzy dostojnie przechadzali się po placu, żwir chrzęścił, buty chrzęściły, srebrne kwadraty błyszcząły na kołnierzach, a bambusowe laseczki świstały niecierpliwie.

Różnopasiasty tłum leżał pod szynami w wąskich pasach cienia, oddychał ciężko i nierówno, gadał po swojemu leniwie i obojętnie patrzył na majestatycznych ludzi w zielonych mundurach, na zielen drzew, bliską i nieosiągalną, na wieże dalekiego kościołka, z której dzwöniono właśnie na spóźniony „Anioł Pański”.

— Transport idzie — rzekł któryś i wszyscy unieśli się w oczekiwaniu. Zza zakrętu wychodziły towarowe wagony: pociąg pchał się tyłem, kolejarz stojący na breku wychylił się, zamachał ręką, gwizdnął. Lokomotywa przeraźliwie odgwiszdnęła, sapnęła, pociąg potoczył się wolno wzdłuż stacji. W małych zakratowanych okienkach widać było twarze ludzkie blade, zmięte, jakby niewyspane, rozczochrane — przerażone kobiety, mężczyzn, którzy, rzecz egzotyczna, mieli włosy. Mijali powoli, przyglądali się stacji w milczeniu. Wtedy wewnątrz wagonów zaczęło się coś kotłować i dudnić w drewniane ściany.

— Wody! Powietrza! — zerwały się głuche, rozpaczliwe okrzyki.

Z okien wychylały się twarze ludzkie, usta chwytały rozpaczliwie powietrze. Zaczernąwszy kilka łyków powietrza ludzie z okien nikli, na ich miejsce wdzierali się inni i tak samo znikali. Krzyki i rżenia stawały się coraz głośniejsze.

30

Człowiek w zielonym mundurze, bardziej niż inni ob-
sypany srebrem, skrzywił usta z niesmakiem. Zaciągnął
się papierosem, odrzucił go nagłym ruchem, przełożył
teczkę z prawej do lewej i skinął na posta. Ten powoli
ściągnął automat z ramienia, złożył się i przeciągnął se-
rią po wagonach. Ucichło. Tymczasem podjeżdżały cięż-
arówki, podstawiono pod nie stołki, rozstawiono się fa-
chowo przy wagonach. Olbrzym z teczką skinął ręką.

— Kto weźmie złoto albo cokolwiek innego nie do
jedzenia, będzie rozstrzelany, jako złodziej własności
Rzeszy. Zrozumiano? *Verstanden?*

— *Jawohl!* — wrzaśnięto nierówno i indywidualnie,
aczkolwiek z dobrą wolą.

— *Also loos!* Do pracy!

Szczękneły rygle, wagony otwarto. Fala świeżego
powietrza wdarła się do środka, uderzając ludzi jakby
czadem. Niezmiernie zbici, przytłoczeni potworną ilo-
ścią bagażu, waliz, walizek, walizeczek, plecaków, tłu-
moków wszelkiego rodzaju (wieźli bowiem to wszystko,
co stanowiło ich dawne życie, a miało rozpocząć przy-
szłe), gnieździli się w strasznej ciasnocie, mdleli od upa-
łu, dusili się i dusili innych. Teraz skupili się przy otwa-
rtych drzwiach, dysząc jak ryby wyrzucone na piasek.

— Uwaga: Wysiadać z rzeczami. Zabierać wszystko.
Wszystkie te swoje klamoty składać koło wagonu na
kupe. Palta oddawać. Jest lato. Maszerować na lewo.
Zrozumiano?

— Panie, co z nami będzie? — zeskakują już na
żwir, niespokojni, roztrzęsieni.

— Skąd jesteście?

— Sosnowiec, Będzin. Panie, co to będzie? — uparcie
powtarzają pytania, wpatrując się żarliwie w cudze zmę-
czone oczy.

— Nie wiem, nie rozumiem po polsku.

Jest prawo obozu, że ludzi idących na śmierć oszukuje się do ostatniej chwili. Jest to jedyna dopuszczalna forma litości. Upał ogromny. Słońce osiągnęło zenit, rozpalone niebo dygoce, powietrze faluje, wiatr, który chwilami przewiewa przez nas, to rozparzone, ciekłe powietrze. Wargi już są popękane, czuje się w ustach słony smak krwi. Od długiego leżenia na słońcu ciało jest słabe i oporne. Pić, och, pić.

Wylewa się z wagonu różnobarwna fala, objuczona, podobna do oglupiałej, ślepej rzeki, która szuka nowego koryta. Ale zanim oprzytomnieją, uderzeni świeżym powietrzem i zapachem zieleni, już im pakunki wyrывa się z rąk, ściąga się palta, kobietom wyrывa się torebki, odbiera parasole.

— Panie, panie, ale to od słońca, ja nie mogę...

— *Verboten* — szczęka się przez zęby, sycząc głośno.

Za plecami stoi esman, spokojny, opanowany, fachowy.

— *Meine Herrschaften*, moi państwo, nie rozrzucajcie tak rzeczy. Trzeba okazać trochę dobrej woli. — Mówi dobrotliwie, a cienka trzcina gniewa się nerwowo w rękach.

— Tak jest, tak jest — odpowiadają wielogłośnie przechodząc i raźniej idąc wzdłuż wagonów. Jakaś kobieta schyla się szybko podnosząc torebkę. Świsnęła trzcina, kobieta krzyknęła, potknęła się i upadła pod nogi tłumu. Dziecko biegnące za nią pisnęło „mamele” — taka mała, rozczochrana dziewczynka...

Rośnie kupa rzeczy, walizek, tłumoków, plecaków, pledów, ubrań, torebek, które padając otwierają się

5
i wysypują barwne, tęcze banknoty, złoto, zegarki; przed drzwiami wagonów piętrzą się stosy chleba, gromadzą słoiki różnobarwnych marmolad, powideł, pęcznieją zwały szynek, kiełbasy, rozsypuje się po zwirze cukier. Zapchane ludźmi auta odjeżdżają z piekielnym warkotem, wśród zawodzenia i wrzasku kobiet oplakujących dzieci i oglupiałego milczenia nagle osamotnionych mężczyzn. To ci, co poszli na prawo — młodzi i zdrowi — ci pójdą na lager. Gaz ich nie minie, ale wprawdzie będą pracować. 6

Auta odjeżdżają i wracają, bez odpoczynku, jak na potwornej taśmie. Bez przerwy jeździ karetka czerwonego krzyża. Olbrzymi krwawy krzyż wymalowany na masce motoru roztopia się w słońcu. Niezmordowanie jeździ karetka czerwonego krzyża: to właśnie w niej wozi się gaz, gaz, którym trują tych ludzi.

Ci z Kanady, którzy są przy schodkach, nie mają chwili wytchnienia, oddzielają tych do gazu od tych, co idą na lager, wypychają pierwszych na schody, ubijają na aucie, na każde sześćdziesiąt, tak plus-minus.

Z boku stoi młody, gładko wygolony pan, esman z notatnikiem w rękę; każde auto to kreska, jak odjedzie szesnaście aut, to jest tysiąc, tak plus-minus. Pan jest zrównoważony i dokładny. Nie odjedzie auto bez jego wiedzy i jego kreski: *Ordnung muss sein*. Kreski pęcznieją w tysiące, tysiące w całe transporty, o których mówi się krótko „z Salonik“, „ze Strassburga“, „z Rotterdamu“. O tym będzie się już dziś mówiło „Będzin“. Ale na stałe uzyska nazwę „Będzin-Sosnowiec“. Ci, którzy pójdą z tego transportu na lager, dostaną numery „131-132“. Rozumie się tysiące, lecz w skrócie będzie się mówiło właśnie tak „131-132“.

Transporty rosną w tygodnie, miesiące, lata. Gdy skończy się wojna, będą liczyć spalonych. Naliczą cztery i pół miliona. Najkrwawsza bitwa wojny, największe zwycięstwo solidarnych i zjednoczonych Niemiec. *Ein Reich, ein Volk, ein Führer* — i cztery krematoria. Ale krematoriów będzie w Oświęcimiu szesnaście, zdolnych spalić pięćdziesiąt tysięcy dziennie. Obóz rozbuduje się, aż się oprze naelektryzowanym drutem o Wisłę, zamieszka go trzysta tysięcy ludzi w pasiakach, będzie się zwał *Verbrecher-Stadt*, „miasto przestępców”. Nie, ludzi nie zabraknie. Spalą się Żydzi, spalą się Polacy, spalą się Rosjanie, przyjdą ludzie z zachodu i południa, z kontynentu i wysp. Przyjdą ludzie w pasiakach, odbudują zburzone miasta niemieckie, zaorzą odłogiem leżącą ziemię, a gdy osłabną w bezlitosnej pracy, w wiecznym *Bewegung, Bewegung*, otworzą się drzwi gazowych komór. Komory będą ulepszone, oszczędniejsze, sprytniej zamaskowane. Będą jak te w Dreźnie, o których już chodzą legendy.

Już się opróżniły wagony. Chudy, ospowaty esman spokojnie zagląda do środka, kiwa głową z niesmakiem, ogarnia nas spojrzeniem i wskazuje wewnątrz.

— *Rein*. Oczyszczyć!

Wskakuje się do środka. Porzucane po kątach wśród kału ludzkiego i pogubionych zegarków leżą poduszone, podeptane niemowlęta, nagie potworki o ogromnych głowach i wydętych brzuchach. Wynosi się je jak kurczaki, trzymając po parę w jednej garści.

— Nie nieś ich na auto. Oddaj kobietom — mówi zapalając papierosa esman. Zapalniczka mu się zacięła, jest nią bardzo zaafierowany.

— Bierzcie te niemowlęta, na litość boską — wybucham, bo kobiety z przerażeniem uciekają ode mnie, wtulając głowy w ramiona.

Dziwnie niepotrzebnie pada imię Boga, bo kobiety z dziećmi idą na auto, wszystkie, nie ma wyjątku. Wiemy wszyscy dobrze, co to znaczy, i patrzymy na siebie z nienawiścią i przerażeniem.

— Co, brać nie chcecie? — powiedział jakby ze zdziwieniem i wyrzutem ospowaty esman i począł odpinać rewolwer.

— Nie trzeba strzelać, ja wezmę.

Siwa, wysoka pani wzięła ode mnie niemowlęta i przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy.

— Dziecko, dziecko — szepnęła uśmiechając się. Odeszła, potykając się na żwirze.

Oparłem się o ścianę wagonu. Byłem bardzo zmęczony. Ktoś szarpie mnie za rękę.

— Chodź, dam ci się napić. Wyglądasz, jakbyś miał rzygać. *En avant*, pod szyny, chodź!

Patrę, twarz ta skacze mi przed oczyma, rozplywa się, miesza się, olbrzymia, przezroczysta, z drzewami nieruchomymi, nie wiadomo dlaczego czarnymi, z przelewającym się tłumem... Mrugam ostro powiekami: Henri.

— Słuchaj, Henri, czy my jesteśmy ludzie dobrzy?

— Czemu się głupio pytasz?

— Widzisz, przyjacielu, wzbiera we mnie zupełnie niezrozumiała złość na tych ludzi, że przez nich muszę tu być. Nie współczuję im wcale, że idą do gazu. Żeby się ziemia pod nimi wszystkimi rozstąpiła. Rzuciłbym się na nich z pięściami. Przecież to jest patologiczne chybą, nie mogę zrozumieć.

— Och, wprost przeciwnie, to normalne, przewidziane i obliczone. Męczy cię rampa, buntujesz się, a złość najłatwiej wyładować na słabszym. Pożądane jest nawet, abyś ją wyładował. To tak na chłopski rozum, *compris*? — mówi nieco ironicznie Francuz, wygodnie układając się pod szynami. — Patrz na Greków, ci umieją korzystać! Żrą wszystko, co im pod rękę wliwie; przy mnie zjadł jeden słoik marmolady.

— Bydło. Jutro połowa z nich zdechnie na sraczkę.

— Bydło? Ty też byłeś głodny.

— Bydło — powtarzam zawzięcie. — Zamykam oczy, słyszę krzyki, czuję drzenie ziemi i parne powietrze na powiekach. W gardle zupełnie sucho.

Ludzie płyną i płyną, auta warczą jak rozjuszony psy. W oczach przesuwają się trupy wynoszone z wagonów, zdeptane dzieci, kaleki poukładane razem z trupami, i tłum, tłum, tłum... Wagony podtaczają się, stosy łachów, waliz i plecaków rosną, ludzie wychodzą, przyglądają się słońcu, oddychają, żebrzą o wodę, wchodzą na auta, odjeżdżają. Znow podchodzą wagony, znow ludzie... Czuję, jak obrazy mieszają się we mnie, nie wiem, czy to się naprawdę dzieje, czy mi się śni. Widzę nagle jakąś zieleń drzew, które kołyszą się wraz z całą ulicą, z barwnym tłumem, ale — to Aleje! Szumi mi w głowie, czuję, że będę wymiotował.

Henri szarpie mnie za ramię.

— Nie śpij, idziemy ładować klamoty.

Już nie ma ludzi. Ostatnie auta suną daleko po szosie wzniesając olbrzymie tumany kurzu, pociąg odjechał, po opustoszałej rampie chodzą dostojnie esmani, świecąc srebrem na kołnierzach. Połyskują glansem buty, błyszczą czerwono nalane twarze. Wśród nich kobieta, teraz dopiero uświadamiam sobie, że była tu cały

czas, wysuszona, bezpierzna, koścista. Rzadkie bezbarwne włosy gładko przyczesala w tył i związała w „nordycki” węzeł, ręce wsunęła w szerokie spodnie-spódnice. Chodzi z kąta w kąt rampy z przyklepionym na wyschłe wargi szczurzym, zawziętym uśmiechem. Nienawidzi urody kobiecej nienawiścią kobiety obrzydliwej i zdającej sobie z tego sprawę. Tak, już ją nieraz widziałem i dobrze zapamiętałem: to komendantka FKL-u, przyszła oglądać swój nabytek, bo część kobiet odstawiono od aut i te pójdą piechotą — „na lager”. Nasi chłopcy, fryzjerzy z Sauny, pozbawiają je całkowicie włosów i będą mieli wiele uciechy z ich wolnościowego wstydu.

Ładujemy więc klamoty. Dźwigamy ciężkie walizy, pakowne, zasobne, rzucamy je z wysiłkiem na auto. Tam układa się je w stosy, ubija się, upycha, rżnie co się da nożem — dla przyjemności i w poszukiwaniu wódki i perfum, które wylewa się wprost na siebie. Jedna z waliz otwiera się, wypadają ubrania, koszule, książki... Chwytam jakieś zawiniątko: ciężkie; rozwijam: złoto, dwie dobre garście: koperty, bransolety, pierścionki, kolie, brylanty...

— *Gib her* — spokojnie mówi esman, nadstawiając otwartą teczkę, pełną złota i barwnej, obcej waluty. Zamyka ją, oddaje oficerowi, bierze inną pustą i czatuje przy innym samochodzie. To złoto pójdzie do Rzeszy.

Upał, ogromny upał. Powietrze stoi nieruchomym, rozżarzone słupem. Gardła są suche, każde wymówione słowo wywołuje ból. Och, pić. Gorączkowo, byle prędzej, byle do cienia, byle odpocząć. Kończymy ładować, ostatnie auta odjeżdżają, zbieramy skrzętnie znad toru wszelkie papierki, wygrzebujemy spomiędzy drobnego żwiru nietutejszy, transportowy brud, „żeby śladu po tym obrzydliwstwie nie zostało”, i w chwili gdy ostatnia ciężarówka znika za drzewami, a my idziemy —

nareszcie! — w stronę szyn odpocząc i napić się (może Francuz kupi znów od posta?), z za zakrętu słychać gwizdek kolejjarza. Powoli, niezmiernie powoli wtaczają się wagony, przeraźliwie odgwisduje lokomotywa, z okien patrzą twarze wymięte i blade, płaskie, jakby wycięte z papieru, o ogromnych płonących gorączką oczach. Już są auta, już jest spokojny pan z notatnikiem, już z kantyny wyszli esmani z teczkami na złoto i pieniądze. Otwieramy wagony.

Nie, już nie można nad sobą panować. Wirywa się ludziom brutalnie walizki z rąk, szarpiąc ściąga się palta. Idźcie, idźcie, przemińcie. Idą, przemijają. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Niektórzy z nich wiedzą.

Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem — „Mamo, mamo!”

— Kobieto, weźże to dziecko na ręce!

— Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! — krzyczy histerycznie kobieta i ucieka zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojadą autem, które pójdą pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

— Mamo, mamo, nie uciekaj!

— To nie moje, nie moje, nie...!

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym, zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością.

— Ach, ty, *jebit' twoju mat', blad' jewrejskaja!* To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! — Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało

krzyżeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

— Masz! Weź i to sobie! Suko! — i cisnął jej dziecko pod nogi.

— *Gut gemacht*, tak należy karać wyrodne matki — rzekł esman, stojący przy samochodzie. — *Gut, gut* Ruski.

— *Małczy!* — warknął przez zęby Andrej i odszedł od wagonów. Spod kupy szmat wyciągnął ukrytą manierkę, odkręcił, przytknął do ust sobie, potem mnie. Parzy gardło, spirytus. Głowa szumi, nogi uginają się, zbiera się na torsje.

Raptem spośród tej całej fali ludzkiej, która parła ślepo w stronę aut jak rzeka pchana niewidzialną siłą, wynurzyła się dziewczyna, zeskoczyła lekko z wagonu na żwir i spojrzała dokoła badawczym okiem, jak człowiek, który czemuś bardzo się dziwi.

Bujne jasne włosy rozsypały się miękką falą na ramiona, strząsnęła je niecierpliwie. Przesunęła odruchowo rękoma po bluzeczce, poprawiła nieznacznie spódniceczkę. Stała tak chwilę. Wreszcie oderwała wzrok od tłumu i przesunęła spojrzeniem po naszych twarzach, jakby kogoś szukając. Nieświadomie szukałem jej wzroku, oczy nasze spotkały się.

— Słuchaj, słuchaj, powiedz, dokąd oni nas powiozą?

Patrzyłem na nią. Oto stoi przede mną dziewczyna, o cudnych jasnych włosach, o ślicznych piersiach, w białystowej, letniej bluzeczce, o mądrym, dojrzałym spojrzeniu. Stoi, patrzy mi prosto w twarz i czeka. Oto komora gazowa: wspólna śmierć, ohydna i obrzydliwa. Oto obóz z ogoloną głową, watowane, sowieckie spodnie na upał, wstrętny, mdły zapach brudnego, rozparzonego ciała kobiecego, zwierzęcy głód, nieludzka praca i ta sama komora, tylko śmierć jeszcze ohydniejsza, jeszcze

obrzydliwsza, jeszcze straszniejsza. Kto raz tu wszedł, nic, nawet popiołów swoich nie wyniesie za postenkettę, nie wróci do tamtego życia.

— Po cóż ona to przywiozła, przecież i tak jej zabiorą — pomyślałem mimo woli, dostrzegłszy na przegubie ręki śliczny zegarek o drobniutkiej złotej bransoletce. Taki sam miała Tuśka, tylko na czarnej, wąskiej tasiemce.

— Słuchaj, odpowiedz.

Milczałem. Zacisnęła usta.

— Już wiem — rzekła z odcieniem pańskiej pogardy w głosie odrzucając w tył głowę; śmiało poszła w stronę samochodów. Ktoś ją chciał zatrzymać, odsunęła go śmiało na bok i wbiegła po schodkach na wypełnione już prawie auto. Zobaczyłem tylko z daleka bujne, jasne włosy, rozwiane w pędzie.

Wchodziłem do wagonów, wynosiłem niemowlęta, wyrzucałem bagaże. Dotykałem się trupów, ale nie mogłem przemoć wzbierającego dzikiego strachu. Uciekałem od nich, ale leżały wszędzie; poukładane pokotem na żwirze, na cementowym skraju peronu, w wagonach. Niemowlęta, ohydne nagie kobiety, poskręcani w konwulsjach mężczyźni. Uciekam jak najdalej. Ktoś mnie smaga trzcina po plecach, kątem oka dostrzegam klnącego esmana, wymykam mu się i mieszam się w grupie pasiastej *Kanady*. Wreszcie znów włączę pod szyny. Słońce pochyliło się głęboko nad horyzontem i krwawym, zachodzącym światłem oblało rampę. Cienie drzew wydłużały się upiornie; w ciszy, która w naturze zapada pod wieczór, ludzki krzyk bił w niebo coraz głośniej i natarczywiej.

Dopiero stąd, spod szyn, widać całe piekło kotłującej się rampy. Oto para ludzi padła na ziemię, spleciona rozpaczliwym uściskiem. On wbił kurczowo palce w jej cia-

ło, zębami chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni, aż przyduszona butem rzezi i milknie. Rozszczepiają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto. Oto czterech z *Kanady* dźwiga trupa: olbrzymią, opuchniętą babę, klną i pocą się z wysiłku, kopniakami odganiają zabłąkane dzieci, które płaczą się po wszystkich kątach rampy wyjąc przeraźliwie jak psy. Chwytają je za karki, za łby, za ręce i wrzucają na kupe, na ciężarówki. Tamtych czterech nie da rady dźwignąć baby na auto, wołają innych i zbiorowym mozołem wpychają górę mięsa na platformę. Z całej rampy znosi się trupy wielkie, nabrzmiałe, opuchnięte. Między nie ciska się kaleki, sparaliżowanych, przyduszonych, nieprzytomnych. Góra trupów kotłuje się, skowyczy, wyje. Szofer zapuszcza motor, odjeżdża.

— *Halt, halt!* — wrzeszczy z daleka esman. — Stój, stój, do cholery!

Włoką starca we fraku, z opaską na ramieniu. Starzec głową tłucze o żwir, o kamienie, jęczy i bezustannie, monotonnaie zawodzi: „*Ich will mit dem Herrn Kommandanten sprechen* — chcę mówić z panem komendantem”. Powtarza to ze starczym uporem całą drogę. Wrzucony na auto, przydeptany czyjąś nogą, przyduszony wciąż rzezi: „*Ich will mit dem...*”

— Człowieku, uspokój siebie, ale! — woła do niego młody esman, zaśmiewając się głośno — za pół godziny będziesz gadał z największym komendantem! Tylko nie zapomnij powiedzieć mu „*Heil Hitler!*”

Inni niosą dziewczynkę bez nogi; trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy ciekną jej po twarzy, szepce żałości: „Panowie, to boli, boli...” Ciskają ją na auto, między trupy. Spali się żywcem wraz z nimi.

Zapada wieczór chłodny i gwiazdzisty. Leżymy na

szynach. Jest niezmiernie cicho. Na wysokich słupach
palą się anemiczne lampy za kręgiem światła.

— Wymieniłeś buty? — pyta mnie Henri.

— Nie.

— Czemu?

— Człowieku, ja mam dosyć, kompletnie dosyć!

— Już po pierwszym transporcie? Pomyśl, ja: — od
Bożego Narodzenia przewinęło się przez moje ręce chy-
ba z milion ludzi. Najgorsze są transporty spod Paryża:
zawsze człowiek spotyka znajomych.

— I co im mówisz?

10
— Że idą się kąpać, a potem spotkamy się w obozie.
A ty byś co powiedział?

Milczę. Pijemy kawę zmieszaną ze spirytusem, ktoś
otwiera puszkę kakao, miesza z cukrem. Czerpie się to
dłonią, kakao zalepia usta. Znów kawa, znów spirytus.

— Henri, na co my czekamy?

— Będzie jeszcze jeden transport. Ale nie wiadomo.

— Jeżeli przyjdzie, to ja nie pójdę go rozładowywać.
Nie dam rady.

— Wzięło cię, co? Dobra Kanada?! — Henri uśmie-
cha się dobrotliwie i znika w ciemności. Po chwili wraca.

— Dobrze. Tylko uważaj, żeby cię esman nie złapał.
Będziesz tu cały czas siedział. A buty ci skombinuję.

— Daj mi spokój z butami.

Chce mi się spać. Jest głęboka noc.

Znów *Antreten*, znów transport. Z ciemności wynu-
rzają się wagony, przechodzą przez pas światła i znów
znikają w mroku. Rampa jest mała, ale krąg światła jest
jeszcze mniejszy. Będziemy wyładowywać kolejno.
Gdzieś warczą auta, podjeżdżają pod schodki upiornie
czarne, reflektorami oświetlają drzewa. *Wasser! Luft!*
Znów to samo, spóźniony seans tego samego filmu: strze-
lają serią automatu, wagony uspokajają się. Tylko jakaś

dziewczynka wychyliła się do pół ciała z okienka wagonu i straciwszy równowagę upadła na żwir. Chwilę leżała ogłuszona, wreszcie podniosła się i zaczyna chodzić w kółko, coraz prędzej i prędzej, sztywno wymachując rękoma jak na gimnastyce, łapiąc głośno powietrze i wyjąc monotennie, piskliwie. Dusząc się — dostała obłędu. Działa na nerwy, więc podbiegł do niej esman, okutym butem kopnął w plecy: upadła. Przydeptał ją nogą, wyjął rewolwer, strzelił raz i drugi: została, kopiąc nogami ziemię, aż znieruchomiała. Poczęto otwierać wagony.

Byłem znów przy wagonach. Buchnął ciepły, słodki zapach. Góra ludzka zapełniała wagon do połowy, nieruchoma, potwornie poplątana, ale jeszcze parująca.

— *Ausladen!* — rozległ się głos esmana wynurzającego się z ciemności. Na piersiach miał zawieszony przenośny reflektor. Zaświecił do wnętrza.

— Co stoicie wy tak głupio? Wyładować — i świsnął kijem przez plecy. Chwyciłem rękę trupa: dłoń jego kurczowo zawarła się wokół mojej ręki. Szarpnąłem z krzykiem i uciekłem. Serce mi łomotało, dławiło gardło. Mdłości zgniotły mnie naraz. Wymiotowałem, skulony pod wagonem. Chwiejąc się przekradłem się pod szyny.

Leżałem na dobrym, chłodnym żelazie i marzyłem o powrocie do obozu, o pryczy, na której nie ma siennika, o odrobinie snu wśród towarzyszy, którzy w nocy nie pójdą do gazu. Naraz obóz wydał mi się jakąś zatoką spokoju. Wciąż umierają inni, samemu się jeszcze jakoś żyje, ma się co jeść, ma się siły do pracy, ma się ojczyznę, dom, dziewczynę...

Światła migocą upiornie, fala ludzi płynie bez końca, mętna, zgorączkowana, ogłupiała. Wydaje się tym ludziom, że rozpoczynają nowe życie w obozie i psychicznie przygotowują się na ciężką walkę o byt. Nie wiedzą, że zaraz umrą i że złoto, pieniądze, brylanty, które

13
zapobiegliwie ukrywają w fałdach i szwach ubrania, w obcasach butów, w zakamarkach ciała — już im nie będą potrzebne. Fachowi, rutynowani ludzie będą im grzebać we wnętrznościach, wyciągną złoto spod języka, brylanty z macicy i kiszki odchodowej. Wyrwą im złote zęby. W zabitych szczelnie skrzyniach odeślą do Berlina.

Czarne postacie esmanów chodzą spokojne, fachowe. Pan z notatnikiem w ręku robi ostatnie kreski, dopełnia liczby: piętnaście tysięcy.

Dużo, dużo aut pojechało do krematorium.

Już kończą. Trupy porozkładane na rampie zabiera ostatnie auto, kłamoty są załadowane. *Kanada* objuczona chlebami, marmoladą, cukrem, pachnąca perfumami i czystą bielizną, ustawia się do odmarszu. Kapo kończy ładowanie kotła od herbaty złotem, jedwabiami i czarną kawą. To na bramę dla wachmanów: puszcza komando bez kontroli. Parę dni obóz będzie żył z tego transportu: zjadał jego szynki i kiełbasy, konfitury i owoce, pił jego wódki i likiery, będzie chodził w jego bieliźnie, handlował jego złotem i tłumokami. Wiele wyniosą cywile za obóz, na Śląsk, do Krakowa i dalej. Przywiozą papierosy, jajka, wódkę i listy z domu.

Parę dni będzie obóz mówił o transporcie „Sosnowiec — Będzin”. Był to dobry, bogaty transport.

Gdy wracamy do obozu, gwiazdy poczynają blednąć, niebo staje się coraz bardziej przezroczyście, podnosi się nad nami, noc przejaśnia się. Zapowiada się pogodny, upalny dzień.

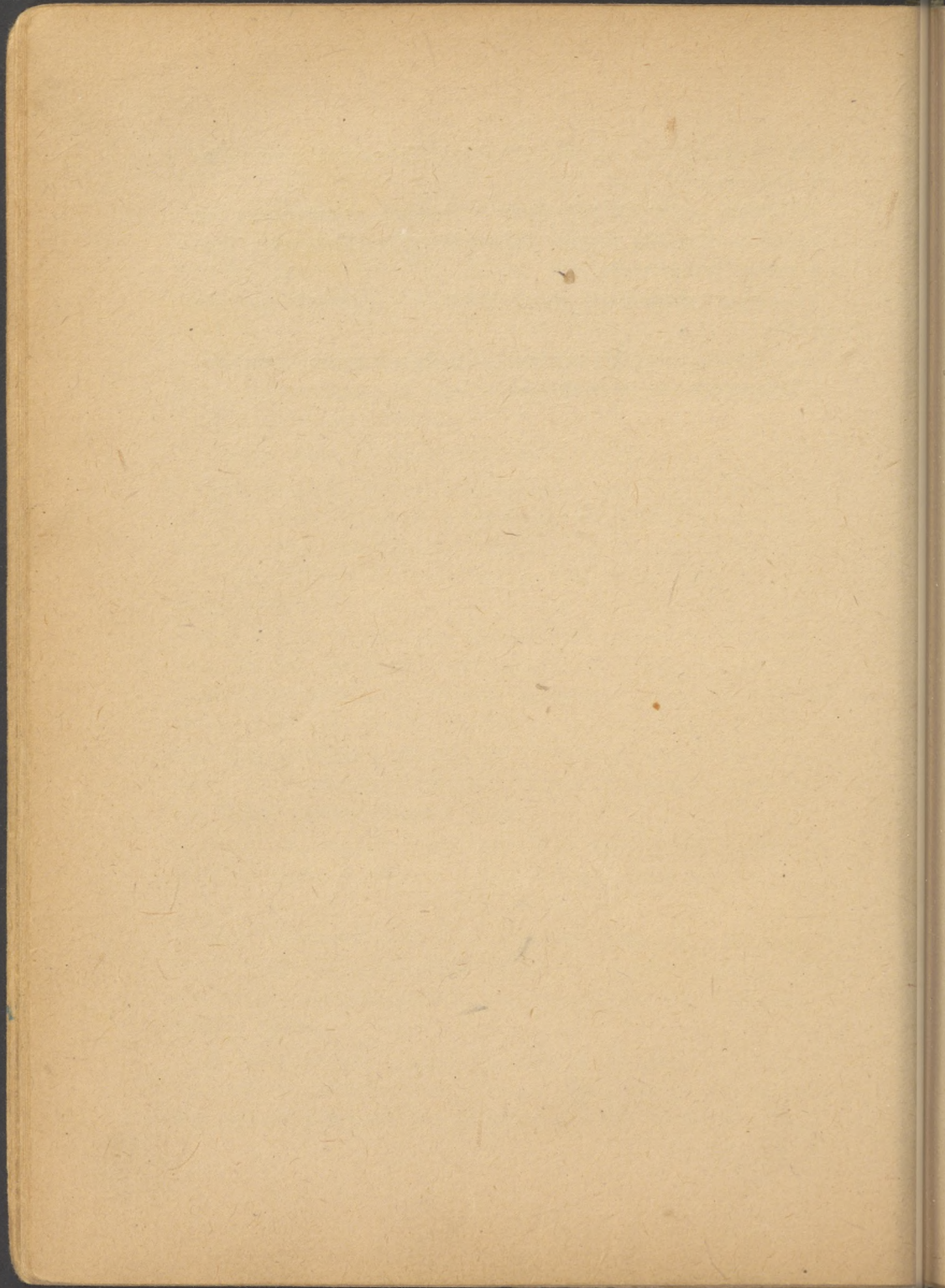
Z krematoriów ciągną potężne słupy dymów i łączą się w górze w olbrzymią, czarną rzekę, która niezmiernie powoli przewala się przez niebo nad Birkenau i ni-

kanie za lasami w stronę Trzebini. Transport sosnowiecki już się pali.

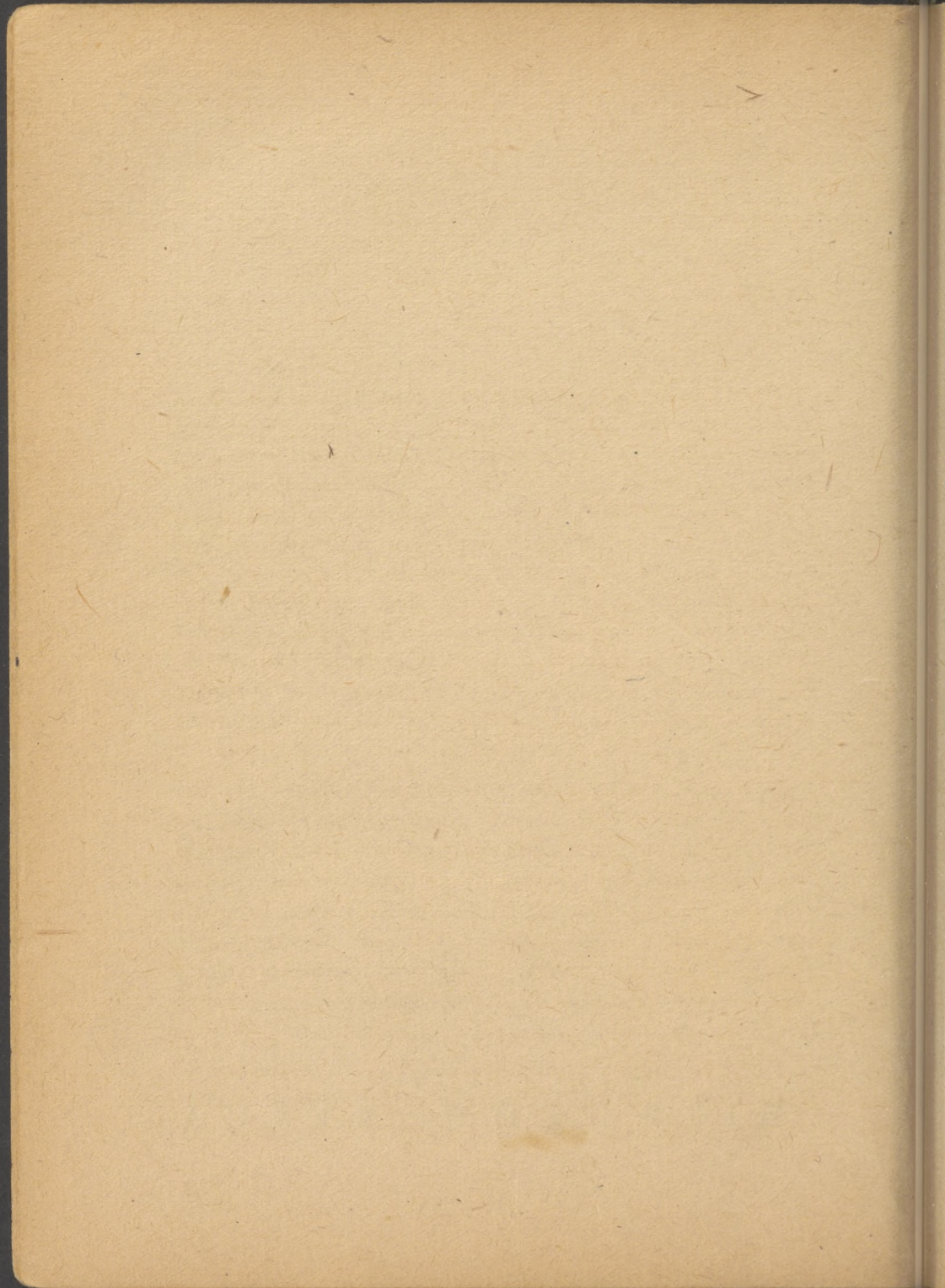
Mijamy oddział SS idący z bronią maszynową na zmianę warty. Idą równo, człowiek przy człowieku, jedna masa, jedna wola.

— *Und morgen die ganze Welt...* — śpiewają na całe gardło.

— *Rechts ran!* Na prawo! — pada od czoła komenda. Usuwamy się im z drogi.



Ś M I E R Ć P O W S T A Ń C A



I

Obok rowu, za wąskim pasem łąki, leżało pole zasadzone burakami. Wychyliwszy się za brunatny nasyp świeżo wyrzuconej, lepkiej gliny, widziało się prawie że osiągalne zielone, mięsiste liście, a pod nimi białe o różowych żyłach końskie buraki, rozparte w mokrej ziemi. Pole ciągnęło się zboczem pod górę i urywało się pod ścianą czarnego lasu, rozmazanego w rzadkiej mgle. Na skraju lasu stał post. Sterczała z niego jak kopia śmieszna tyczka długiego, podobno duńskiego, karabinu. O kilkadziesiąt metrów na lewo, pod rachitycznymi śliwami, rozsiadł się drugi post i owinąwszy się szczelnie w lotniczy szary płaszcz patrzył spod nasuniętej na uszy i czoło furażerki w dolinę jak na dno wanny.

Dalej na zboczach, tam gdzie las schodził w dół kępami młodych wierzb, między niespodziewanie żywotną rzeczka a szosą przecinającą w poprzek dolinę, jeździły olbrzymie traktory równając pługami ziemię, rwaną przez bagry i podwożoną z dołu przez szeregi wagoników, pchanych przez ludzi. Było tam niebezpiecznie gwarno i tłoczno. Ludzie pchali lory, nosili podkłady i szyny, rwali płatami murawę na zamaskowanie budynków, pod które grunt dopiero równał traktor.

Na dnie wanny kopaliśmy rów. Rów, przewidująco wykończony w dobrych czasach, kiedy świeciło słońce i pełno było pod drzewami dojrzałych, strząśniętych

przez wiatr śliwek, zaczął się podczas deszczów obsypywać, a nawet grozić całkowitym zawaleniem się, jako że do wodociągów ściany kazano nam kopać prosto, a nie — ja to się mówi — na sago, nie przewidziawszy, że Norwegowie, którym polecono w rowach układać rury na wodociąg, wymrą solidarnie co do jednego już po pierwszych dziesięciu kilometrach. Czym prędzej więc zabrano nas do noszenia szyn i wyciągania poplątanych prętów stalowych, leżących, jak Bóg zdarzył, kupą na dworcu, i zagnano na dno wanny poprawiać rów, który ciągnął się nieprzyzwoicie blisko pola buraczanego.

— Pomyślałbyś, taki rów że niby nic nie znaczy — rzekłem do Romka, byłego dywersanta spod Radomia, od dwóch lat odrabiającego w obozach Niemcom to, co im w Polsce napsuł. Pracowaliśmy na spółkę od chwili założenia tego parszywego obozu na skraju małej łączki pod jednym z wirtemberskich wzgórz i doszliśmy w kopaniu rowów do niejkiej wprawy. On dziobał kilofem miękką ziemię na kaszkę, a ja wyrzucałem ją końcem łopaty na grzbiet nasypu. Kiedy on się kiwał, przyczepiony leniwie do kilofa, opierałem się o wilgotną, popękana ścianę rowu lub siadałem na umiejętnie podłożonej łopacie. Kiedy ja się kiwałem, on przejmował moją funkcję podpierania rowu. Z daleka wyglądało to tak, jakby w rowie był jeden człowiek, który pracuje wolno, ale za to gorliwie i bez odpoczynku.

— A bo co, że rów? — podtrzymał rozmowę Romek, kiwnąwszy się bez zapału na kilofie. Umiejętność prowadzenia rozmowy i przewlekania jej przez cały dzień była prawie tak samo ważna jak jedzenie. — Osypał się i tyle. Jak go poprawimy, to pójdziemy dalej — mówił, przedzielając rytmicznie słowa klapnięciami kilofa. — Aby nie do noszenia szyn albo podkładów jak

ci tam od powstania. Przy łopacie i kilofie ujdzie jeszcze wytrzymać. Ale jak chcesz coś powiedzieć, to mów od razu, a nie tak, na okrąg.

Popatrzył po horyzoncie. Miał niebieskie, jakby wypłowiałe oczy i dobroduszną, bardzo przychudzoną twarz o silnie zarysowanych kościach policzkowych.

— Nawet słońca nie widać — zauważył zmartwiony. — Jak myślisz, będzie deszcz?

Skulił się pod ścianą we wnęce po przezornie oddziabanej glinie. Było tam sucho i jakby cieplej. Nad rowem szedł porywisty jesienny wiatr i pędził górą niespokojne, nabrzmiałe deszczem obłoki, ale w dole było zacisznie.

— Frajer deszcz — odparłem lekkomyślnie. — Albo to pierwszyczna dla nas? A popatrz, rów, jakeśmy zaczęli go kopać, to było nas starych równo tysiąc ludzi. Chłop w chłopą, wysiedzianych po nie byle jakich obozach. Co to niejedno już wiedzieli.

Machnąłem w milczeniu parę razy pustą łopatą i przytrzymałem osypujące się z nasypu grudy.

— Wykopaliśmy rów, trochę słońce poświeciło, trochę deszcz popadał, trochę się rów osypał — i została nas połowa. A z tych tam — wskazałem głową za zakręt rowu, gdzie pracowała reszta naszej grupy, ci tam od powstania — to nie wiem, czy i połowa żyje. Mówili, że truponosy dostali wczoraj po dwa bochenki chleba, bo wywieźli piędziesiąt trupów w skrzyni. A jeden Żyd to się utopił w błocie na środku obozu. Dlategośmy wczoraj tak długo na apelu stali. U nas zupa była już zimna na bloku.

Były dywersant podniósł się z wnęki i pochwycił za kilof.

— Nie dwa, nie dwa bochenki — tylko każdy trupiarz dostał po pół bochenka i trochę margaryny w nagrodę. A wiesz, tych tam, jak ty mówisz, powstańców, to

nie szkoda mi wcale. Ja im nie kazałem tutaj przyjeżdżać. Sami chcieli. Ochotnicy, pod koniec wojny dobrowolnie lager przyjechali budować, kraj uprzemysłowić — dodał zgryźliwie i zakończył przekleństwem.

— Pewnie już cały rów uprzątneśli, bo coś nie słychać, żeby się kłócili o politykę. Musieli dalej odejść. Starają się od rana jak głupi. Myślą, że majster Batsch da któremu skórek od chleba.

— A jakże, da! Nie bój się, nasz Chorwat dobrze popatrzy, porachuje, a dopiero da ci, jakby to była kielbasa! Ma on swój system, umie podbechtać do pracy, niby nie bije, a skórkami mami. Umie dać szpilę, a ty głupi pracuj. Kto chce zdechnąć, niech czeka na skórki. Ja tam wolę mniej zjeść, a nic nie robić.

— Narobi się taki jeden z drugim za cały bochenek, a zje kawałek skórki — potwierdziłem skwapliwie. — Chyba pójdę po buraki. Zjadło by się trochę, no nie? Akurat dobrze, bo majster na wieś poszedł.

— A pewnie, że dygaj. Twoja kolej teraz. Ja wczoraj przyniosłem i przedwczoraj. Ale uważaj na kape, kręci się tam przy bagrze — ostrzegł Romek. — Przynieś ze dwa, może się coś skombinuje. Głupich nie brak. Tylko nie daj komu.

— Gdzieżby tam! Stary na pewno przyjdzie. On przecie chleba woli nie dojeść, a zieleniny nawpychać się musi, byle dużo. Czego on nie je! I mlecz, i dziki czosnek, i pietruszkę z łąki. Ja ci mówię, że on wykituje.

Wetknąłem uważnie łopatę w ziemię, żeby padając nie ubabrała się w błocie, i chyłkiem położyłem wzdłuż rowu między kałużami z ostatniego deszczu.

Rzecz polegała na tym, że trzeba było rwać buraki nie z pola, leżącego pod nosem, lecz z drugiego, bliżej traktorów, wrzasku pchających naładowane ziemią wa-

gony ludzi, nerwowego jak ryba na haczyku kapy, no i posta, któremu z nudów nadarza się czasem kogoś postrzelić. Za rwanie bowiem buraków groziły niedwuznaczne sankcje, cóż bo winni są spokojni wieśniacy z Wirtembergii, że zjechała na ich ziemię niespodzianie banda więźniów i rozłożyła się małymi lagerkami od Stuttgartu aż do Balingen, żeby z kamienia robić olej? Już i tak wycierpieli dosyć, poryto im paskudnie łąki, zajęto pastwiska pod urządzenia połowych fabryk, a żołnierze i majstrowie z Armii Pracy Todta grasują z upodobaniem po ogrodach i sadach, a jeszcze więcej po narzeczonych nieobecnych autochtonów, przebywających *zur Zeit* na froncie.

Za zakrętem rowu, w pewnym oddaleniu od nas, pracowała grupa starych panów z powstania warszawskiego, ubrana jednolicie, aczkolwiek z pewnymi indywidualnymi odchyleniami, w pasiaki. Jeden wpuścił marynarkę w spodnie, innemu wystawała spod marynarki torba cementowa, świetna ochrona od deszczu i wiatru, inny jeszcze posłużył się papą, którą nałożył na siebie, wyciąższy otwory na głowę i ręce.

— Panowie, przepuście mnie, szczęść wam Boże w pracy — rzekłem układnie. — A wy, powstaniec, moglibyście zdjąć te pape z siebie. Nie widzieliście wczoraj, jak esman Żyda zatłukł za słomę, co ją znalazł u niego?

— A czy ja jestem Żyd? Żydów to tam mogą tłuc, a nie aryjczyków. Zresztą martw się pan o siebie. Ja też, jakbym miał trzy koszule, to byłbym taki mądry i chodził bez papy.

— Panie, pan idzie po buraki? — zapytał mnie ten od utyłanych, niegdyś eleganckich trzewików.

— No? A jak po buraki, to co?

— Przyniośłbyś pan jednego dla nas.

— Burak szkodzi na żołądek, proszę pana. Dostanie pan durchfallu i wykituje pan w *try miga*. Nie lepiej to przeżyć?

— Kiedy się, proszę pana, jeść chce. A jak człowiek głodny, to mu się nie bardzo chce żyć — rzekł rozsądnie stary.

Przyjrzałem się dokładnie staremu muzułmanowi. Marynarkę przepasał grubym, sztukowanym sznurem i wypchał się grubo słomą, która wystawała spod kusego kołnierza, postawionego sztorcem, jakby ten kawałek nasiąkłego wilgocią płótna z pokrzywy mógł go ogrzać. Nie wpadło mu natomiast na myśl wpuścić spodnie w owe eleganckie niegdyś trzewiki, jeszcze warszawskie. Były one grubo oblepione błotem, dawnym, zeschniętym i gęstą mazią nowonabytej gliny.

— Ej, stary, stary — rzekłem z pogardą — szanować się nie umiecie. Trzeba się trochę ruszyć koło siebie, trochę się ochędożyć, przecie obóz to nie pensjonat, gdzie wam wszystko podadzą, to nie u mamy w domu. Jak się otrzecie z błota i poruszacie się *niemnożko*, to wam od razu więcej zdrowia przybędzie, niż gdybyście pajdkę chleba zjedli. A jak będziecie tylko buraki jeść i jeszcze co dzień papierosa kupować za pół miski zupy, to myślicie, że co? że wytrzymacie? Wwałą w skrzynię i wywiozą i tyle będzie z was. Już i tak wyglądacie jak półtora nieszczęścia.

— Jakbyś pan zjadł tylko liter zupki na wodzie i pajdkę chleba, to byś też tak wyglądał jak my — przerwał potok mej wymowy ten w nakryciu z papy.

— Albo ja więcej jem od was, czy co? — oburzyłem się szczerze. — Tylko nie jestem wzwyczajony do frykasów jak wy z Warszawy. I szanować się umiem.

— A kto wczoraj menażkę zupy z naszego bloku wyniósł, jak nie ty? Może powiesz nieprawda?

— Sprzedałem wczoraj miotłę blokowemu z waszego bloku i za to dał mi miskę zupy. Pracowaliśmy wszyscy koło wikliny. Czy ja wam bronilem robić miotły? Wyście sobie wygodnie w południe leżeli, jak ja witki plotłem.

— Tee te, ja też jestem taki mądry. Albo ode mnie blokowy weźmie? Woli dać zupy za darmo któremuś z was, z Oświęcimia.

— Jak posiedzisz parę latek jak my wszyscy, to i tobie wszędzie dadzą drugą miskę zupy — odpowiadam rozdrażniony i biegnę do buraków, klnąc siebie za niepotrzebną zwłokę.

Jakieś sto metrów dalej rów skręcał ku czarnemu kwadratowi ziemi, tarmoszonej przez traktory i bagry. Tuż przed zakrętem nasyp nad rowem był usunięty, a w ścianie rowu wykopano dwie płytkie dziury, w których stopa znajdowała oparcie jak ułał. Wsadziwszy nogę w zagłębienie i chwyciwszy się palcami krawędzi rowu, wydzwignąłem się z wysiłkiem ponad rów i nie zważając, że cała marynarka obłazi mi błotem, popelzłem ostrożnie między buraki. Tutaj, zakryty po trosze buraczanymi liśćmi, poczułem się nieco raźniej. Na oko wybrałem najgrubszą bulwę, bez pośpiechu poobrywałem liście i wyważyłem ją z ziemi. Oglądałem się za rzeпа, ale prócz pękatych biało-różowych buraczanych łbów nic innego nie umiałem dostrzec. Zdobyłem tedy jeszcze jeden burak, wsadziłem oba pod marynarkę i trzymając w rękę parę liści jako osłonę przed wzrokiem kapy albo posta poczałem wycofywać się do rowu. Wreszcie wsunąłem się między spękane, wilgotne ściany i odetchnąłem z ulgą.

Oczyściłem marynarkę i spodnie wyjętą z kieszeni drewnianą łopatką, oskrobałem bardzo starannie ręce i buty i przytrzymując buraki pod połami marynarki szybko podyrdałem do swoich. Byłem trochę podniecony i oddychałem jak zgoniony pies.

— Panie, daj pan jednego, daj pan kawałek — namawiali mnie powstańcy, kiedy przechodziłem koło nich.

— Ludzie, zostawcie mnie w spokoju! — zawołałem prawie że z rozpaczą, przyciskając do brzucha obrzydliwie wilgotne buraczane łby. — A idźcie sobie urwać! Tam rosną buraki dla wszystkich! Co to ja jeden jestem?

— Kiedy panu łatwiej, bo pan jest młody! — rzekł ten od nakrycia z papy.

— To zdychajcie, jak jesteście starzy i boicie się. Jakbym ja się bał, to by już dawno trawa po mnie rosła!

— To się udław, ty sukinsynu! — krzyknął za mną nieprzyjaźnie pan w nakryciu z papy.

Przecisnąłem się do byłego dywersanta. Romek kucnął sobie w rowie, trzymając się ręką do kilofa.

— I tak nikt nie patrzy, to po co się starać? — powiedział bardzo rozumnie.

Wyciągnąłem buraki spod marynarki. Dywersant dziabnął kilofem w dno rowu, wykopał mały dołek, wyjął z zakamarków odzienia rzecz nieocenioną: scyzoryk i obrał starannie buraki, wrzucając łupiny do dołka.

— Rozumiesz, raz poszliśmy robić jednego sołtysa, niedaleko od Radomia — mówił, wycinając z buraków żylaste, nie nadające się na wybredniejsze podniebienie, części. — Jeżyny czy Dzierżyny, jakoś tak się ta wioska nazywała. Obstawiliśmy chałupę na olaboga i Wilk — we wszystkich opowiadaniach Romka Wilk grał pierwsze skrzypce — wlał przez okno do chałupy, czekamy, aż się załatwi. Ale on nic, tylko mnie woła. Włazę, rozu-

miesz, i ja, rozglądam się, bo trochę ciemno, leży sołtys z babą w łóżku i nie chce wyjść. Chodź na przesłuchanie, mówi Wilk. Ja go nie puszcze, przesłuchajta go w łóżku, powiada baba. A wójt milczy ze strachu. Wał, mówię, w poduszkę, trudno, czego się nie robi dla Ojczyzny. Wywaliliśmy na spółkę w chłopą, aż pierze pod sufit poleciało. Myślisz, baba w krzyk za nim? Akurat! Takie owakie, powiada, partyzanty jedne, poduszkę i pierzynę mi do cna ino zmarnowali!

— Bujda wszystko — zawyrokowałem, zaklepując łopata dołek z obierkami. — Ale co ma sołtys do buraków?

— A ma i to bardzo dużo — dywersant podał mi pokrojony na części burak, który natychmiast schowałem do kieszeni — bo w spiżarni u starego tośmy taki — zatoczył ręką nieprawdopodobne koło — wieniec kiełbasy zafasowali.

— A jakiej kiełbasy, proszę pana? Bo ja się trochę na wędlinach znam — rzekł niespodziewanie stary w zabłoconych, nigdyś eleganckich trzewikach. Podszedł do nas po cichu i oparłszy się na łopacie, z nabożeństwem wysłuchiwał historyjki dywersanta, z niemniejszym nabożeństwem śledząc krajanie buraków.

— Jakiej kiełbasy? Wiadomo, że nie serdelowej. Zwykłej, wiejskiej kiełbasy z czosnkiem — odrzekł opryskliwie Romek. — Na pewno lepsza od tych buraków. To sobie możecie wyobrazić!

Podał mi plasterek buraka i odkroił sobie drugi. Miały nudną, piekącą słodycz sacharyny i rozchodziło się od nich nieprzyjemne zimno po ciele. Dlatego jadło się je ostrożnie i małymi dawkami.

— Panie, daj pan kawałek, nie bądź pan taki.

Człowiek w trzewikach ze starczym uporem tkwił wciąż nad nami,

— Trzeba było urwać sobie — rzekł Romek. — Chcie-
libyście tylko, żeby ktoś za was tyłka nadstawiał jak
w Warszawie, prawda? Sami to się boicie?

— Jakże ja mogłem walczyć w Warszawie, jak mnie
zaraz Niemcy wywieźli?

— Idźcie, idźcie stary do roboty i starajcie się dalej,
to wam majster Batsch może skórek od chleba da —
rzekłem drwiąco, a kiedy nie odchodził, nie mogąc oder-
wać oczu od chrupanych przez nas nonszalancko plaster-
ków, dodałem zniecierpliwiony: — Słuchajcie no, stary,
buraki szkodzą na żołądek. Za dużo w nich wody. A wy
zjadacie całe główki. Nogi was nie bołą?

— Gdzie tam, żeby bołały, tylko mi trochę opuchły —
rzekł z ożywieniem stary, podciągając do góry zabłocone
nogawki pasiaka. Z utyłanych w błocie, niegdyś elegan-
ckich trzewików, z fantastycznie poskręcanych szmat
i ścierek wylaziły obrzmiałe, chorobliwie białe, prawie
sine łydki.

Pochyliłem się i nacisnąłem palcem skórę. Dywersant
gmerał obojętnie kilofem w ziemi. Nie imponowały mu
byle jakie opuchnięte nogi.

— Widzicie, stary, palec włoży w ciało jak w wymie-
szone ciasto. A wiecie dlaczego? Woda, nic, tylko woda.
Jak dojdzie od nóg do serca, to wtedy kaput. Nie można
nic pić, nawet kawy. I zieleniny, ma się rozumieć, także
nie jeść. A wy buraków chcecie?

Stary krytycznie spojrział na łydkę, a potem podniósł
na mnie oczy bez wyrazu.

— Dam wam kawałek chleba, ale za całego buraka —
powiedział bezdźwięcznie i wyciągnął z kieszeni omota-
ny w brudną szmatę chleb, tak z pół pajdki rannej, jak
błyskawicznie i fachowo oceniłem.

Dywersant oparł się na kilofie, a drugą ręką chwycił się pod bok.

— Widzicie, stary, zawszeście jednakowi. Co dzień z wami to samo. Trzeba było od razu wyciągnąć chleb, a potem opowiadać dyrdymałki. Że też wy od rana umiecie dotrzymać — dodał z mieszaniną pogardy, uznania i zazdrości.

— Ano, jak trzeba. Takim burakiem to człek przynajmniej kiszki napcha. Dajcie prędzej, bo do roboty trza. Gadamy i gadamy, a tam inni za mnie kopią.

— Chleba dajecie za paznokiec, a buraka to chcecie za całą rękę — rzekł dla zasady Romek. — Ale niech tam już będzie, żebyście nie marudzili.

Chwycił chleb, położył go we wnęce, następnie wyjąwszy z kieszeni kawałki buraka poskładał je do kupy, aby unaocznić, że kantu nie ma i że to rzeczywiście cały, nie nadkrojony burak, i wręczył je staremu, który zebrawszy kawałki buraka w podolek odszedł w pośpiechu za zakręt rowu, ciągnąc za sobą łopatę.

Wtedy Romek sięgnął do wnęki, wyjął chleb, podzielił go sprawiedliwie na dwie równiutkie części i podał mi jedną. Poczęliśmy obaj żuć, uważnie mieszając chleb ze śliną i polykając bez pośpiechu. Wreszcie Romek wyciągnął z kieszeni dwie przyduszone, zwiędłe śliwki. Z chytrym uśmiechem rzucił mi jedną. Złapałem ją w powietrzu.

— Trzeba mieć, uważasz, cierpliwość i umieć donosić żarcie do czasu. Znalazłem śliwki, jak chodziliśmy po narzędzia rano do budy. Żebym to ja tak chleb umiał dotrzymać... Ale ty byś od razu zjadł.

— Naturalnie, żebym zjadł — odpowiadam zgodnie. Znów bez porozumienia wróciliśmy do dawnego syste-

mu pracy. On kiwał się na kilofie, krusząc resztki grud upadłych z nasypu, a ja podpierałem wnękę, w której wydawało się nieco cieplej niż w gołym rowie, może dlatego, że nad rowem szedł wiatr, a tu było trochę ziemi nad głową niby dach.

— Wiesz, jak w Oświęcimiu dostawałem paczki, to mleko skondensowane od razu wypijałem — mówię w rozmarzeniu. — Nigdy nie umiałem podzielić. A tutaj porcje także od razu zjadam. Widziałeś mnie kiedy, żebym miał chleb przy sobie? Raz dwa zjeść, troszkę kawy popić, ale niedużo, i przestać cały dzień przy łopacie. Grunt, to nie narobić się.

— Najlepszy system, to nie nosić jedzenia w kieszeni. Co w żołądku, tego ani złodziej nie ukradnie, ani ogień nie spali, ani na podatki nie wezmą. Taki, co dzieli, gmera, mamrze się z jedzeniem — prędko zdechnie. To żydowski system.

— I warszawski — dodałem, myśląc o odbytej tylko co transakcji.

— I warszawski — zgodził się były dywersant.

Wbił kilof w ziemię i oparł się o ścianę rowu. Rów był wąski, ale nieproporcjonalnie głęboki. Wilgotna ziemia pachniała trupim zapachem gnijącej trawy. Z jednej strony rowu wznosił się nasyp, za nasypem szło pole buraków, a dalej traktory, łańcuch wart i las. Z drugiej strony była łąka, na której gdzieś rosy dzikie śliwy. Śliwy dochodziły aż do wsi, leżącej zupełnie w dole poniżej dna wanny. Od nas widać było czub kościoła, który wznosił się w środku wsi nad wodospadem wezbranej w jesieni rzeczki, oraz czerwone dachy domów, schodzących coraz niżej. Dalej wspinał się po stożku wzgórza młody, świerkowy las. Za lasem leżał nasz

mały, niedawno założony obóz, w którym w przeciągu dwu miesięcy umarło trzy tysiące ludzi. Od lasu kładł się biały pas drogi, niknął we wsi i wypływał wraz ze śliwami.

Z daleka, przerzynając na ukos łąkę, schodził z drogi majster, odcinając się od mokrej zieleni trawy jaskrawą barwą munduru Armii Pracy Todta. Był to wielki specjalista od instalacji wodociągowych, noszenia szyn i załadowywania worków z cementem oraz świetny, nawet przez oświęcimiaków nie dościgniony, organizator wszelkiego jedzenia po okolicznych wsiach. O swoich ludzi, a miał nas dwudziestu, dbał. Oto zbierał codziennie od swoich kolegów skórki od chleba i rozdawał je tym, którzy najgorliwiej pracowali.

Chwyciłem łopatę do rąk i począłem z energią wyrzucać okruszyny ziemi. Były dywersant wziął kilof i odsunawszy się ode mnie o dobre parę metrów, żeby na kupie nie stać, podniósł kilof wysoko ponad brzegami rowu, pozwalając mu w rowie opadać własnym ciężarem.

— Zaczęłeś coś mówić o rowie przedtem zdaje się? — zagadnął, gdy milczenie przeciągało się niebezpiecznie. Należało rozmawiać cały dzień, wtedy człowiek tracił poczucie czasu i nie miał okazji do snucia destruktywnych marzeń o jedzeniu. — Pogadajże coś! Jak to było? — i znów machnął kilofem, dbając usilnie, aby błysnąć nim nad rowem.

— Bo to, widzisz, tak się gmera, kopie Niemcowi na pożytek, raz na Śląsku, gdzieś pod Beskidami, raz w Wirtembergu, to znów na granicy szwajcarskiej, coraz to któryś z kumplów umrze, to znów nowych przygnają, i tak, bracie, w kółko. I końca nie widać. A jak przyjdzie zima...

— Nie gadaj. Przyłóż ucho do ściany, a posłyszysz, jak ziemia huczy od artylerii. Kują w nią tam na Zachodzie, kują...

— Już od miesiąca tak kują. Przez ten czas u nas wymarło trochę ludzi, nazwoziliśmy wapna, cegły, cementu, szyn, żelaza i czego tam jeszcze, pokopaliśmy rowy, doły, zbudowaliśmy kolejki — i co? Coraz głodniej i zimniej. I coraz częściej pada deszcz. Jeszcze się człowiek jakoś trzymał nadzieją, że wróci, ale teraz — do kogo? Może też gdzieś tak dołki kopią, jak te nasze powstańcy. Ale nawet, gdyby nie, to myślisz, że będziesz umiał żyć? Albo będziesz się bał wiecznie nie wiadomo jakich strachów, albo będziesz grabił oburącz, gdzie się da, bo w co będziesz wierzył? Co tu mówić, ja tam od rana myślę o jedzeniu. I to nie o jakichś tam wspaniałościach, co to się w powieściach czyta. Ale tak, do syta chleba i grubo masła na chleb.

+ Ja tam nie myślę o tym, co będzie — rzekł ostro dywersant — grunt, aby dzisiaj przeżyć. Chcę wrócić do żony, do dziecka, już się dosyć nawojowałem po świecie. Na pewno będzie ci lepiej niż teraz, nie? A może chciałbyś już tak do końca życia — i zaśmiał się urągliwie.

— Machaj, machaj kilofem — rzekłem ostrzegawczo — majster stoi nad rowem, nie widzisz?

Udając, że go nie dostrzegamy, pracowaliśmy gorliwie zatopieni na niby w rozmowie. Wywalałem pełne, uczciwe łopaty aż na sam czub nasypu, postępując z wysiłku. Majster Batsch powstał chwilę nad nami, założywszy ręce do tyłu, popatrzał jakby z niezmiernej wysokości i poszedł powoli nad rowem, błyszcząc czernią wysokich butów. Brzeg żołnierskiego płaszcza miał ordynarnie zabłocony.

— Kapo, kapo — krzyknął do mnie, stanąwszy nad grupą powstańców — chodź no tutaj! Dlaczego ten człowiek leży na ziemi? Dlaczego on nie pracuje?

Majstrowie nazywali kapami wszystkich, którzy umieli po niemiecku. Śmieszyło to bardzo starych oświecimiaków, a nawet, prawdę powiedziawszy, gorszyło, co kapo bowiem, to kapo.

Podbiegłem rowem. Za zakrętem na dnie rowu siedział skulony stary, ten od zabłoconych a niegdyś eleganckich trzewików, i jęczał, ściskając rękoma brzuch. Majster kucnął nad rowem, troskliwie, ale z daleka zagładając więźniowi w twarz.

— Chory? — zapytał.

W rękę trzymał spory pakuneczek, owinięty w gazetę.

Na przeraźliwie bladej twarzy starego powstańca pojawiły się rzadkie krople potu. Oczy miał przymknięte. Powieki drżały mu raz po raz. Musiało mu być gorąco, bo rozpiął kołnier. Słoma wylazła mu z za pazuchy i sterczała przed twarzą.

— Cóż to, stary, buraki wam, widać, zaszkodziły? — zapytałem ze współczuciem.

Jego towarzysz z kilofem, ten od nakrycia z papy obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem i rzekł niezdarnie do majstra Batscha.

— *Krank*. On jest chory, chory — powtórzył z naciśkiem w nadziei, że majster zrozumie po polsku. — *Hunger, verstehen?*

— No, tak, to zupełnie jasne — odpowiedziałem pośpiesznie — nażarł się buraków i teraz dostał boleści w brzuchu. Dopiero co przyjechał do obozu, to nie wie, że zielenizna szkodzi. Na żarłoczność i głód trudno poradzić, proszę pana majstra.

— Buraki? Z tamtego pola, co? O, to bardzo niedobrze. *Klauen*, prawda? — Majster Batsch uczynił dłonią międzynarodowy ruch chowania ukradkiem do kieszeni.

— On nie może tego potrafić! — rzekłem z pogardliwym lekceważeniem — on kupuje co dzień buraki za chleb.

Majster Batsch pokiwał głową w zrozumieniu, przyglądając się smutnie powstańcowi znad rowu jakby z krawędzi innego świata. Towarzysz starego, ten od papy, ruszył się niespokojnie.

— Powiedz mu pan, może tego człowieka do lagru zaniosą, przecież on jest chory, ciężko chory.

— Ciężko chory? — rzekłem ze zdziwieniem. — To pan jeszcze mało rzeczy widział na świecie. Ma czas do wieczora. Co pan, dziecko, nie wiesz pan, że żaden post nie pójdzie teraz stąd? Coś pan, pierwszy dzień na komandzie? I zdejmij pan tę papę, bo jeszcze pana kto urządzi. Mówiłem już raz. Znow później powiecie, że my niedobrzy, że nie ostrzegamy.

I odszedłem do swojej łopaty. Dywersant, korzystając z tego, że majster był zajęty czym innym, kucnął spokojnie we wnęce, opierając się z wprawą na kilofie. Gdy chwyciłem za łopatę, wylazł z wnęki i stanął także w pozycji roboczej.

— Stary, prawda? — zagadnął bez zainteresowania.

— Nie pociągnie nawet do wieczora — odpowiedziałem. — Już niejedną setkę takich widziałem. Spuchłe nogi, *durchfall*, a teraz znow się obzał burakami. Czarno widzę przed nim.

— Znow jeden mniej... Ja mu nie kazałem przyjeżdżać. Mogli bronić tej Warszawy, jak już zaczęli, nie?

— Pewnie, że mogli. Przecie, jak oni jechali do Oświęcimia, to ich nikt nie pilnował. Myśleli, że na roboty. Dorwali się teraz do robót jak chłop do wody sodowej.

Ze złości wywaliłem całą grudę ziemi na nasyp, aż ugięła się rękojeść łopaty.

— Co się będziesz martwił za tamtego. Jak kto chce Niemcowi służyć, to dobrze mu tak — rzekł dywersant. — W Oświęcimiu krzyczeli, że oni nie są polityczni, i co trzeci chwalił się, że ma wujka volksdeutscha, tu znów im źle, bo jeść mało dają. Przyjechali sześć tygodni temu i już chcieliby ze trzy miski zupy dostać!

— Dużoś zjadł dzisiaj więcej niż porcja? — zapytałem zainteresowany. Jedzenie było tematem w chwilach szczególniejszych wzruszeń.

— Co tam zjadłem — obruszył się były dywersant spod Radomia. — Wczoraj to zjadłem. Z rana porcja chleba i co tam było do chleba?

— Margaryna i ser — odpowiedziałem.

— Margaryna i ser. Przez cały dzień nic. Pod wieczór tośmy sprzedali buraka Żydom. Było pół pajdki na dwóch. A wieczorem jeszcze zupa za twoją miotłę. A potem dostałem jeszcze zupy na kuchni, bo odnosiłem kotły.

— Nie mogłeś przyjść po mnie? — zapytałem z żalem.

— Nie, bo musiałem zjeść w kuchni. A dziś — ciągnął — dalej — pajdka rano, margaryna na trzydziestu kostka, potem parę śliwek, potem znów ten chleb i trochę buraka. Żeby tak jeszcze...

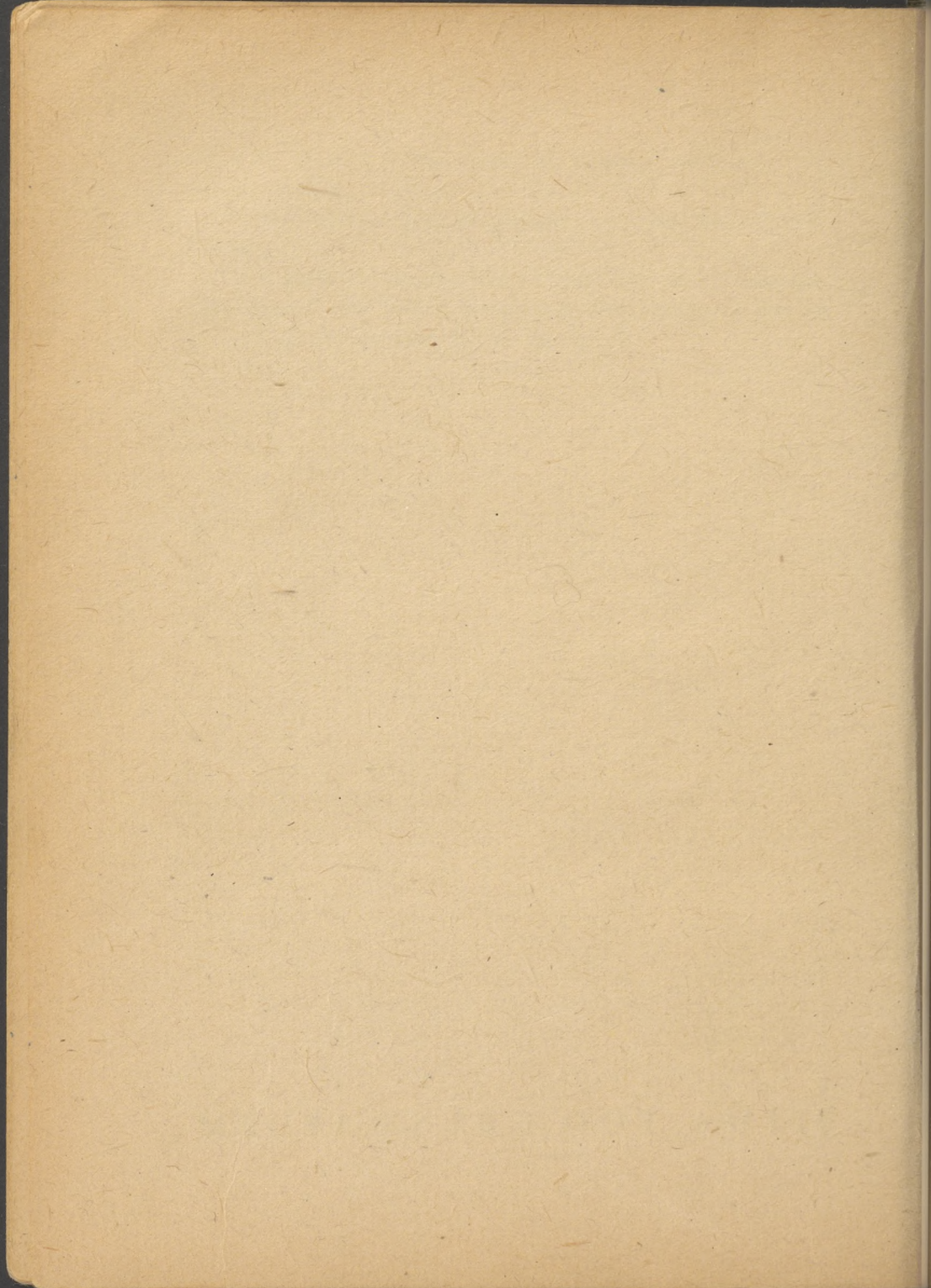
Urwał i chwycił za kilof. Nad nami stał milczący majster Batsch. Popatrzył z sympatią na naszą zgodę i umiejętną pracę i rzucił między nas pakuneczek, owi-

niety w gazetę. Pod naszymi nogami rozsypały się skórki chleba.

— Właśnie o tym myślałem — rzekł energicznie Romek.

I z rozmachem uniósł kilof nad głowę, dbając usilnie, aby błysnąć nim ponad krawędzią rowu, podczas gdy ja skwapliwie pochyliłem się ku ziemi.

BITWA POD GRUNWALDEM



I

Po szerokim, zalanym słońcem dziedzińcu poesesmańskich koszar, jak po dnie głębokiej studni, wkopanej w kamienne ściany budynków, głucho, zacięcie wbijając w beton takt szedł Batalion i śpiewał. Ręce jego, odziane w zielone rękawy odziedziczonych po żołnierzach z SS kurtek, podnosiły się energicznie do pasa i opadały ku ziemi w gniewnym, jednolitym zamachu, jakby to maszerował nie Batalion, a kroczył ufny w swą siłę i ochrypli śpiewem jeden zwielokrotniony człowiek. Tylko pstrokate nogi Batalionu, nakrapiane gdzieniegdzie jasną plamą wojskowych chodaków, mąciły wojskową jednoznaczność wyrazu.

Batalion, podobny z lotu do trzech zielonych gąsienic o przegowanym, sfałdowanym grzbiecie i nieruchomym tułowi, obszedł sztywno dziedziniec, przywalony drgającym słupem słońca; minął kolumnę rosnących ciężarówek amerykańskich, które wytrząsały ze swego wnętrza jak z worka z gałganami jaskrawą zawartość ludzi i bagażu; przybił gorliwiej beton pod wysmukłym świeżo malowanym masztem, ponieważ wiatr zarzucał nań jak na wędkę barwną szmatę narodową; zelżał pod kupą bali, drew, ociekających igliwem młodych sosen, ławek i krzeseł, przygotowanych na wieczorne ognisko; skreślił ostro pod oszkloną niegdyś halą, w której odbywały się do niedawna patriotyczne wiece esesmańskie; zachrupotał wielonożnie po szkle z wybitych dokładnie

szyb; urwał w pół słowa śpiew i wsunął się jak w tunel w mroczną czeluść hali, odgradzoną od placu ostrym słonecznym blaskiem i mięsistą, szerniałą zielenią świeżo ciętych gałęzi. Oślepiąco kredowy wąż kurzu, który włókł się za Batalionem, zwinął się u wejścia do hali, zszarzał, przypadł do ziemi i rozdęty przypadkowym podmuchem wiatru, napęczniał, pękł, wzbił się w powietrze i rozplątał się w nim bez śladu.

Siedząc z kolanem przy podbródku na wąskim, twardym parapecie okna na trzecim piętrze jednej ze ścian studni i wygrzewając się nago na słońcu jak sparszywiały pies — przeciągnąłem się sennie, ziewnąłem z uznaniem i odłożyłem na bok zorganizowaną w którymś z pokojów oficerskich książkę, opowieść o bohaterskich, wesołych i chwalebnych przygodach Dyla Sowidrzala i Lamma Pasibrzucha.

— Panowie żołnierze — powiedziałem, odwracając się do sali, żeby z kolei wystawić na słońce plecy. — Batalion pomaszerował do kościoła na mszę arcybiskupią. Dobrze spełniliście swój obowiązek wobec Ojczyzny, która wszędzie na świecie jest tam, gdzie wy jesteście. Wolno spać dalej.

Sala po prostu, po żołniersku śmierdziała zastarzałym, słonym potem niemytych genitalii. Pod niebielonymi ścianami, zdobnymi w bogoojczyźniane, hitlerowskie sentencje, stały dwa szeregi żelaznych, piętrowych łóżek; przez środek szły z gruba ciosane stoły, a pod ich nogami wałęsało się parę taboretów bez oparcia i błąkała się bezradna jak zagubione dziecko emaliowana spluwaczka. W powietrzu bzykały cienko wypasione, leniwe muchy i ciężko oddychali rozespani ludzie.

— A jak maszerowali? Jak wojsko? Bo na ćwiczeniach łażą jak muzulman po błocie — odezwał się podchorąży Kolka, który spał przy ścianie od drzwi.

Olbrzymi i żylasty nie mieścił się w skąpym łóżku. Chociaż z okazji rozdziału niemieckich marynarek pokłócił się z oficerami i postanowił bojkotować wojsko, nie zrzucił nigdy sukiennego munduru; leżał w nim cały dzień na łóżku, dusił się od gorąca i bił podkuty mi butami o żelazną poręcz, sypiąc za każdym poruszeniem fury słomy z przegniłego siennika na dolne łóżko, barłóg, na którym sypiałem. Krostowatą twarz zwracał nieodmiennie w stronę okna i patrząc bezmyślnie na mielizną parapetu łapczywie wsłuchiwał się w śpiew i tupot Batalionu.

— Polska piechota maszeruje dobrze, gdy ją polscy prowadzą oficerowie, ku chwale Ojczyzny — wykrzyknąłem, zeskakując z parapetu. Plecy zagrzały mi się tak, jakby je kto skrobał rozpalonymi szpilkami. — Przez sześć lat w lagrze piątkami łazili, teraz odpoczęli dwa miesiące i znów łażą, chwala Bogu i Ojczyźnie, po czterech, a zamiast kapów — oficerowie na czele. Uczyc maszerować to potrafią, ale żeby kucharze żarcia z kuchni dla Żydówek nie wynosili, to nie — dodałem, patrząc obojętnie w przestrzeń.

— To pan do mnie kij przytykasz, jeżeli dobrze zrozumiałem — warknął gburowato chorąży, który czytał niemiecką książkę o Katyniu i zdjąwszy rogowe okulary z nosa zamrugnął ku mnie zaspanymi oczyma krótkowidza. Uporczywie chodził w obcisłych, czyściutkich slipach, świecąc muskularnymi węzłami ciała. Od stóp do głowy pokryty był przyblakłymi wzorkami tatuażu, jak zakurzony gliniany talerzyk. Na prawym udzie pięła się ku pachwinie gruba, krzywo wyrysowana strzała, a czerwony napis wskazywał nieomylnie: Tylko dla Pań.

— Jak kto ma dyżur w kuchni, to niech pilnuje, żeby nie kradli. Patrzy chorąży, czy kucharz kraść zdąży dla Żydówki w ciąży — rzucił od drzwi Stefan, który uczył

się angielskiego i szeptem powtarzał słówka. Cisnął książkę na stół i bijąc buciorami o kamień podłogi podszedł do okna. — Znowu sukinsyny gotują na węglu — rzekł, wysadziwszy głowę za okno. — Jak mają kuchnię elektryczną, kotły i wszystko, co tam im trzeba dla nas, to co gotują w kuchence? Jasne, że obiad dla oficerów. Niby wszyscy męczennicy z obozu, bracia, koledzy, ale do maszerowania na mszę, a nie do garnka. A jak ci się podoba taki kontroler, co o tym wie i książeczki czyta z obrazkami? Jakby włożył w tyłek Pułkownikowi, to by nie wylał, aż dopiero z Podporucznika.

Parsknąłem krótkim, pochwalnym śmiechem. Chorąży poderwał się na łóżku, uderzył głową o ostry kant górnego, zaklął ordynarnie na temat płciowy, poglądził się po rzadkiej i sztywnej siwiźnie i rzekł ze wstrętem:

— Nie czepiaj się mnie, ty wyskrobku bolszewicki, póki się ciebie nie czepiam. A jak ci się nie podoba co, to won z wojska. — Sutki piersiowe, ozdobione parą wytatuowanych uszu i sinymi kropkami, imitującymi oczy, zadrgały mu spazmatycznie jak pyszczek zajączka. — Kradną, kradną! Nie szczekaj, jak nie złapałeś. Dobry pies nie szczeka, ale złapie i gryzie.

— Właśnie, właśnie, gryź pan, panie chorąży. Pan jesteś psem od łapania. Pana trzyma Pułkownik na smyczy. Hau, hau — zaszczekał chrypliwie Stefan i zmrużył złośliwie maleńkie wypukłe oczki. Zza wykrzywionych nerwowo warg zaświeciły zęby, równe i białe jak u psa. Chodził wzdłuż stołów wyprężony, jakby był przywiązany do budy.

Chorąży powoli wstał z łóżka. Podchorążak Kolka poruszył się z zainteresowaniem i wyjął pięść spod głowy. Siennik zachrzęścił i słoma posypała się na dolne łóżko. Zmarszczyłem z dezaprobatą brwi.

Z dziedzińca zacharczała odjeżdżająca ciężarówka. Doleciały nagle strzępy jazgotliwego gwaru i umilkły, jak nożem uciął.

Jednocześnie zaś chory Cygan, którego omal nie utłukłem w walce o lepsze miejsce w wagonie podczas transportu do Dachau, poruszony nagłą ciszą, podniósł się z jękiem na swoim łóżku.

— O, ludzie, ludzie niespokojni, znowu się wam bić zachciewa — zaskomlił pociągając płacźliwie nosem. — Mało wam jeszcze, że was bieda bije? Ale nasz Polak, nasz brat zawsze głupi. W łyżce wody chce utopić brata. — I przytknął siną, wychudzoną twarz do poduszki w czerwone maki, którą przyniósł z nocnej rajzy po bauerach. Cierpiał od kilku dni na ciężkie rozwolnienie żołądka. Naćpał się niegotowanego mięsa baraniego. Leżał nieruchomo, cierpliwy jak chore zwierzę. Wolał zdechnąć niż pójść do szpitala, pamiętał bowiem szpital z małego kacetu Dautmergen.

Choraży sztywno usiadł na łóżku. Podwinął pedantycznie wystający róg prześcieradła, jedyne zresztą w tej sali. Przebierał nerwowo palcami u nóg. Chwytał książkę, przewrócił z szelestem parę kartek i tępo wpatrywał się w fotografię grobów w Katyniu.

— Nie będzie awantury — pomyślałem rozczarowany i wychyliłem się przez parapet.

Pod kamiennymi ścianami koszar, na wąskich pasach zieleńców, między rozwalonymi stertami gnijących śmieci, które wonią zarażały cały dziedzińiec, pełzały w górę anemiczne drzewka klonów i szczerlnie krzewił się tuż nad betonem kwitnący czerwono żywopłot. Wyżej, nad drzewkami i żywopłotem w wielu szeregach bliźniaczych okien zwisały ze sznurów strzępy różnobarw-

nej bielizny i kręciły się na szpagatach świeżo malowane drewniane kufierki, wystawione na słońce, aby wyschły.

Na parterze, tam gdzie mieszkali prominenci, siedział rząd weneckich, równo oszklonych okien, dołem tonący w soczystym cieniu, a górą — w słońcu jak w złotej farbcie. Z parteru, z pięter, gdzieś aż spod strychu, dały się chrapliwie niezmordowane radia.

Za bramą, której pilnowali obcy żołnierze, ciągnęły po autostradzie kolumny aut, ciekł nieustannie wąski strumyczek rowerów, barwne, letnie sukienki migwały wśród bujnych, mocno osadzonych w ziemi platanów.

Tam właśnie był świat, do którego puszczano za dobry marsz, za karny meldunek, za sprzątnięcie korytarza, za lojalność, za niezłomność, a także za Ojczyznę.

A w środkowym skrzydle budynku, na drugim piętrze, tam gdzie były Kuchnie Zgrupowania Wojskowego Allach, z małej, zardzewiałej na brąz rury, wystawionej nonszalancko przez lufcik — snuł się cichutko niebieski, delikatny dymek i drżąc cieniutką smużką rozpraszał się ukradkiem w powietrzu.

— Ładnie jest, bracia, na świecie — westchnąłem z udanym smętem — ale cóż człowieku: siedzisz zamknięty jak za Niemca, przepustki ci na świat nie dadzą, bo nie umiesz się lizać, przez dziurę w murze nie wyjdiesz, bo ustrzelą, wiadomo Häftling! A jak siedzieć? Jak komu syn barana przyniesie, albo Niemkę przyprowadzi, to może siedzieć. A ty? Siedź, jak głodno i do domu daleko. Żeby chociaż nie kradli! Byłoby źlej, że wszystkim jednakowa dola... Ale do czasu, do czasu...

Przez cały czas patrzyłem spod zmrużonych rzęs na chorążego. Chorąży poruszył się niespokojnie na łóżku, usta drgnęły mu złowrogo. Ale nie powiedział nic. Wy-

ciągnął z szafki mundur i począł się ubierać, sapiąc z lekka przez nos. Zaciśnął wargi i patrzył w ziemię.

— Pan chorąży pewnie na mszę grunwaldzką? — zapytał obojętnie Kolka z drugiego końca sali.

— Nie, panie podchorąży. Pójdę na kuchnię sprawdzić. Ale jeśli nie znajdę! — mruknął złowieszczo przez zaciśnięte zęby.

— Znajdziesz, panie chorąży, znajdziesz — zanucił Stefan. — Uważaj pan tylko, żeby panu synka nie złapali, bo kto panu da jeść? Pułkownik barana nie przyniesie.

— A ty, Tadziu — podchorąży Kolka przełożył nogi przez poręcz łóżka — nie pójdziesz na Grunwald?

— Nie chce mi się. Może pójdę do teatru. Podobno na ognisko niespodzianki szykują. A co ciekawego na mszy?

— Idź na mszę — namawiał leniwie Kolka. Zapuścił ręce w spodnie i czochrał się z zainteresowaniem. — Idź na mszę, mnie byś opowiedział, panu redaktorowi napisał do gazetki. Może da ci gulaszu? Gulasz dziś na obiad.

— Da i bez tego. Co dzień mi zupy daje.

— Na dziewczynki byś popatrzył... A nie chciałbyś zobaczyć arcybiskupa?

— Cóż jest między nami wspólnego? — rozłożyłem ręce z emfazą. — Mamy tak różne doświadczenia życiowe! On całą wojnę był gdzieś tam w wielkim świecie, co to wiesz, bohaterstwo i Ojczyzna, i trochę Boga. A myśmy mieszkali gdzie indziej, co to brukiew, pluskwy i flegmony. On na pewno jest syty, mnie się chce jeść. On na dzisiejszą uroczystość patrzy pod kątem Polski — ja gulaszu i jutrzejszej postnej zupy. Jego gesty będą niezrozumiałe dla mnie, moje zbyt tuzinkowe

dla niego, a obaj sobą troszeczkę pogardzamy. A Grunwald? Albo mi źle tu na parapecie: słońce przypieka, mucha bzyknie, miło się z sąsiadami pogada — ukłoniłem się w stronę chorążego — a wszystko widać jak w teatrze. Zresztą — dodałem rzeczowo — jeszcze go nie ma. Dopiero generalicja podąży godnie i w ordynku na świętą mszę, a nad generalicją polata dym i zapach gotującego się dla niej obiadu.

Na czele posuwał się Pułkownik, w mundurze, skrojonym przez miejscowych krawców na angielską modę z koca, koloru przywiedłego liścia. Widziany w silnym skrócie, Pułkownik podobny był do masywnego kloca o polerowanej słońcem głowie i sztywnych nogach, sunął bowiem godnie i prosto i z wysiłkiem markował wojskowy, energiczny krok. Obok ciągnął Major owinięty w dziewczęcą zieleń niemieckiego munduru oficerskiego. Ciskał rękoma ku Pułkownikowi, coś mu widać po kanzodziejsku tłumacząc, może o wywrotowych fermentach w Zgrupowaniu Wojskowym Allach. Za nimi, jak gromada niesfornych dzieci za nauczycielem, pętało się niezróżnicowane stado zielonych i czarnych kurtek, gestykulujących rąk, nad którymi podskakiwały krasne głowy w furazerkach, obficie posypanych narodowymi barwami.

+ Że też ich Niemcy nie zdążyli wybić! — Stefan oparł się w zadumie o parapet i patrzył ze złością na dziedziniec. Czarne sterczące włosy lśniły jak sierść psa. — Do końca świata już tacy zostaną. Polska, Polsko, dla Polski. Byle z daleka od niej mieć dwie miski zupy! Jaki ja byłem głupi, jaki głupi, głupi! — Odchylił się od parapetu i płaską dłonią plasnął się w czoło. — Przecież sam widziałeś, trzymałem tę hołotę na bloku, karmiłem, nadstawiałem się za nich, kradłem żarcie głupim Cyganom.

— Nie chwal się, blokowy — przerwał ostro podchorąży Kolka, aż Stefan odwrócił się do sali — byliśmy przecież w jednym obozie. Jak kradłeś, to dla siebie masło i chleb, a dla nich co najwyżej zupę.

— A miejsce kto im dał na bloku? Czyste buksy, czyste koce, napchane sienniki? To mało? Wyżyliby na komandzie?

— Oczyszciliby się powietrze, jakby zdechli — dorzuciłem pogodnie, patrząc ubawiony, jak Stefan, były kolega flegler z Birkenau, potem laufer i pipel esmański na małej komanderówce, od którego raz, że nie dość szybko ustąpiłem mu z drogi, dostałem uważnie po mordzie, wreszcie blokowy na najbogatszym, szonungowym bloku, z którego zupa kotłami, a chleb dziesiątkami bochenków wędrował na lager w poszukiwaniu papierosów, owoców i mięsa dla blokowego, jak taki Stefan przechwała się teraz, że uratował życie paru polskim oficerom z powstania, którzy dziś nie chcą mu dać do syta zupy tytułem rewanzu.

— A pamiętasz — ciągnął w rozgoryczeniu — jak w Allachu Pułkownik? Przynieśli mu młynek od kawy, wyżebrał od kogoś trochę pszenicy, usiadł na pryczy i — nic, tylko młynek i placki piec. Tu, rozumiesz, świat się przewala, artyleria esmańska w obóz, jakieś kobiety posmażyły się, wsie naokoło palą się, chłopcy poszli na rabunek z nożem, Amerykanie przychodzą, szal, zbratanie ludów, koniec wojny! A ten — młynek, placki i do latryny lata. I już taki ważny się zrobił jak...

Podniosłem obie ręce do góry. Stefan umilkł speszony. Wtedy, korzystając z okazji, zadeklamowałem patetycznie:

Ustalają się hierarchie,
brat poznaje wreszcie brata.
Kręci młynek mieląc mąkę
nasz Pułkownik pan Kuriata.

Drugą miskę dostał zupy,
więc się poczuł silny władzą.
Ja, ja mogę już do służby,
niech mi tylko zjeść co dadzą.

Pułkowniku, ostro cel!
Pułkowniku, mąkę miel!
Niech się klin wybija klinem,
pułk stворzymy ci z kasynem,

za wygranie każdej bitwy
damy zupy — cztery litry!

— Tak było, masz rację, Stefan — pochwaliłem. —
To mój wiersz, panie chorąży. Dobry, aaa?

Chorąży był już zapięty na ostatni guzik. Uderzył
mnie spokojnymi oczyma.

— Dziwię się panu, inteligentowi — rzekł z goryczą. —
W takim czasie takie głupstwa... Kiedy przykazaniem
kupą się trzymać i nie warcholić! Warcholstwo
gubi nas! Przez nie giniemy!

— W Katyniu, co? W Katyniu? Szkoda panu chorążemu?
— szczeptał zjadliwie Stefan, przystając naprzeciw
chorążego. — Książeczek się pan chorąży naczytał,
książeczek, zupy pojadał, Niemeczkę pomacał, to do zgo-
dy woła... W Katyniu, co?

— Pewnie, że w Katyniu, ty bękarcie! Ty wiesz, co
to znaczy? To twoi kochani rodacy ze wschodu, twoja
Polska, gadzino zapluta! — wybuchnął nagle chorąży

i także podszedł do stołu. Wpił się kościstymi palcami w czarny blat, aż mu paznokcie nabiegły krwią.

— A co, nie podoba wam się Polska, prawda, nie podoba? Pan chorąży chciałby innej. Żeby chorągiew nosił w niej, chorągiew? Żeby syneczek mógł nocami chodzić na baranki i dziewczuszkę sprowadzać? Umiecie wy robić Polskę, aż się rzygać chce!

— Idź do tej swojej, idź! — syknął chorąży przez zęby. Zbielałe wargi poczęły mu drżeć. — Nikt cię tu nie trzyma. Szpiegu!

— Nie bój się pan, pójdę — zaśpiewał łagodnie Stefan — mam czas. Tylko jeszcze na was trochę popatrzę, zapamiętam. Pójdę i będę na was czekał, o będę!

Podchorąży Kolka usiadł ciężko na łóżku i zwiesił na dół nogi, zsypując na mój barłóg furę śmieci. Kiwnął do mnie wesoło ręką, kilkakrotnie puknął się w skroń, udając idiotyczne pochYLENIE głowy. Czarny Cygan jęknął boleśnie znad poduszki w czerwone maki. Uśmiechnąłem się do Kolki i w odpowiedzi zakołysałem głową jakby próbując, czy w niej nie zachlupocze woda.

— Idź do tej Polski, do tych Polaków, co Katyń zrobili, idź — krzyczał chorąży, purpurowy z pasji.

— Dobrze zrobili! Szkoda, że raz!

Chorąży szarpnął za stół, przewrócił go z trzaskiem i skoczył Stefanowi do gardła.

W oszklonej i umajonej świeżo ciętymi gałęziami hali odezwał się srebrnie dzwonek; tłumek, zebrany przed halą, sypnął się do środka, jednocześnie zaś z galowych drzwi komendantury, przystrojonej suto w czerwień i biel, wszedł ksiądz w fioletach i otoczony ciasnym kołem czarnych i zielonych księży posterował do hali.

— Ej, dajcie no spokój! — wrzasnąłem piskliwie i pobiegłem pomóc Kolce rozbroić walczących. — Nie bić się, sukinsyny! arcybiskup idzie na mszę świętą!

II

Arcybiskup odwrócił się od ołtarza. U jego stóp lśniły nad poręczami krzesel siwe głowy oficerów. Między oficerami tkwił w pierwszym rzędzie nieruchomy jak pomnik Prezes Komitetu. Masywny, byczy łeb, strzyżony krótko, wylaził ze śnieżnego, wykładanego à la Słowacki kołnierzyka i poważnie podawał się ku ołtarzowi. Dalej, przetkany Pułkownikiem, pozował na krzesło Aktor. Czuł się nieswojo w ukradzionym, cywilnym garniturze, za dużym i za sztywnym, kręcił się niespokojnie i błyskał pytająco okularami w stronę widzów, sznurując usta i ociągając w dół mięsiste policzki. Obok z karminowej sukni rozlewa się na brązowym pluszu fotela Śpiewaczka, o której plotkowano, że w dni głodu przed końcem wojny miało ją całe Dachau. Obecnie (plotkowano dalej) ma ją Aktor. Na łonie jej leżał tekturowy hełm amerykański. First Lieutenant, właściwy komendant obozu, założywszy nogę na nogę, żuł obojętnie gumę i błyszcząc obco brylantyną tępo patrzył w uda Śpiewaczki.

Za krzesłami ciasno zbił się tłum, szczelnie oblepił okna hali, przyglądał się nabożnie brzożowemu krzyżowi, wyciętym z papieru orłom, przyszpilonym do wielkich chorągwi narodowych, zszytych z prześcieradeł, otwartym drzwiom, w których kołysał się bluszcz i drza-

to pogodne niebo, przyglądał się i milczał. Obok ławek stał nieruchomo Batalion.

— Jak przeczytasz Sowizdrzała, to mi oddaj — zaszeptał Redaktor. — Przyjdiesz do nas na gulasz? Bo my wcześniej do teatru idziemy — uklęknął na jedno kolano i uderzył się pięścią w piersi.

— Przyjdę — zapewniłem go żarliwie, osuwając się na ziemię.

Arcybiskup popatrzył na tłum u podnóża ołtarza i nieznacznie skinął głową. Stojący dotąd beczynn timer przy fotelu ksiądz z Dachau poskoczył żywo i włożył mu mitrę na głowę. Arcybiskup niecierpliwym ruchem poprawił ją (widocznie uwierała) i dopiero wtedy pobłogosławił nas bezradnym rozłożeniem rąk. Nad skwapliwie pochylonymi głowami przeplłynął słaby szept modlitwy.

Po drugiej stronie betonowego dziedzińca, na wąziutkim skrawku zieleni pod anemicznymi platanami rozkładał się transport, wytrząśnięty z amerykańskich ciężarówek. Zieleniec zatarasowano betami, na których zaraz usiadły karmiące kobiety, rozwrzeszczane czarne bachory, omdlewające od żaru, obojętne na wszystko dziewczęta, przeświecające ciałem przez przejrzyste sukienki. Mężczyźni w mokrych od potu koszulach tkwili czujnie przy tłumokach, łazili pod budynkiem, gapili się na halę, a co energiczniejsi poszli oglądać izby, w których miał mieszkać transport.

— Aha, poeta. Pan nie na mszy? Uciekł pan od narodowego i boskiego misterium? Nie buduje pan fundamentu drzewca sztandaru narodowego, złożonego z ducha poległych i innych?

Na kupie oplecionych sznurami walizek, poduszek i kołder siedziała dziewczyna o niezwykłych oczach. Zamiast krzyżyka dyndała jej się na szyi dziwaczna, po-

dłużna kapsułka, podobna do małej świstawki. Pod batystową spódniczką rysowały się mocne, jędrne uda. Śliczne nogi miękko spływały po pierzynie. Pod nimi, okraczywszy wysokimi cholewami walizę, siedział władczo Profesor i ironicznie uśmiechał się do mnie zza okularów jak zza okopu. Musiał dojrzeć, że mi szczęki zadrgały z pożądania.

— Wytrzymałem biologicznie. Teraz kładę podwaliny pod drogę do Polski. Z letargu duchowego wchodzę w żywe ciało narodu — odrzekłem wykrętnie. Roześmialiśmy się obaj. Cytowaliśmy co celniejsze ustępy z powielaczowego pornograficzno-patriotycznego pisemka obozowego wydawanego przez księży.

— Ta pani — Profesor uczynił gest w górę, dotykając niechcący nóg dziewczyny — właśnie uciekła do żywego ciała narodu. Cały transport przyjechał z Pilzna. Przeszli z Polski przez zieloną granicę.

Podniosłem domyślnie brwi. Dziewczyna błysnęła w odpowiedzi zębami. Poprawiła się na pierzynie. Zbyt pełne piersi zakołysały się pod bluzką.

— Z band leśnych? — domyśliłem się. Chodząc na mięso baranie po innych sztubach, słuchałem radia z Warszawy. Między jedną a drugą skrzynką poszukiwania rodzin narzekano wciąż na bandy leśne.

— Wprost przeciwnie. Z naszych. Żydówka. Uciekli. Jak krowy, które szukają lepszego pastwiska. Wleźli do nas jak w zakazane zboże. A tu ugór, panienko! — przechylił się do tyłu, uderzył ją w kolano i zupełnie jawnie zjechał dłonią po łydce dziewczyny.

Podąłem dziewczynie rękę. Przymrużyła rzęsy, może od słońca, które na chwilę zapaliło się w jej oczach.

— Niech pani nie słucha. To gorycz krowy, która nie znalazła lepszego pastwiska, choć złażała pół świata.

— Jesteśmy z jednego domu — rzekła dziewczyna — z ghetta — uśmiechnęła się, jakby przepraszając — i znów spotkaliśmy się w jednym domu — ogarnęła dłonią kamienie koszar — w domu esesmańskim.

— Jakby wojny nie było — dodał zgryźliwie Profesor i rad z siebie roześmiał się hałaśliwie. Potarł zmarszczone dłonie i klepnął się po skórzanych, bawarskich spodeńkach, poplamionych jak fartuch rzeźnika. — Niech pan pamięta o krowach, niedoszły poeto — do-rzucił i zapatrzył się w swoje owłosione kolana.

— Żeby szukać lepszego pastwiska? — zapytała znad pierzyn dziewczyna. Czubkiem palców musnęła włosy mężczyzny. Ścisnąłem ironicznie wargi, łapiąc jej ukośne spojrzenie.

— Nie — odrzekł niechętnie Profesor. — Żeby mieć swoje własne pastwisko. I nie być ambasadorem swego stada na cudzych łąkach.

— A gdzież jest nasza łąka?

— W Palestynie. W więzieniu Akko pod Jerozolimą. Siedziałem tam pół roku za nielegalną emigrację. W czasie wojny, ha, ha, ha — parsknął grzmiącym śmiechem, wstał i bez słowa poszedł przez betonowy dziedziniec ku hali. Wylewali się z niej ludzie po skończonym nabożeństwie, napełniając z szumem dziedziniec jak miskę. Rój prominencji, oblepiający z brzęczeniem Arcybiskupa, popłynął w stronę komendantury i wsiąkł w parterowe drzwi mieszkania Pierwszego Porucznika.

— Oto żywe, ascetyczne ciało narodu. Polska jemioła na niemieckim dębie. — Pogardliwie machnąłem ręką w stronę placu. — A jednak siła. Bo my walczymy o idee! A cóż tam, w tej waszej — Polsce?

Nie odchodziłem, szorstkie sukienne spodnie natarczywie łaskotały mi uda. Dziewczyna zsunęła się miękko

z pierzyn i wylądowała na ziemi, ocierając się jak kot ciałem o moje ciało. Zbyt wydatny biust zakotłosał się znowu pod bluzką.

— Myśli pan, że jestem biednym pasażerem, co wysiadł z tramwaju, w którym połowa siedzi, a druga połowa trzęsie się? Że to z powodu korony orła? Zna pan przecież polskie dowcipy? Otóż wcale nie! — krzyknęła z pasją. — Wcale nie dlatego!

Chwyciła energicznie za walizkę. Gdy schyliła się, uda błysnęły spod różowej sukienki. Transport w gorączkowym pośpiechu zaczął wnosić pakunki do koszar. Złapałem dwa toboły i bijąc po męsku butami o beton, podygowałem w górę schodów. Cały czas patrzyłem w kark dziewczyny, która, objuczona betami, człapała przede mną. Jakieś jej ciotki czy opiekunki krzyczały na nią piskliwie, chwytaly rozdygotanymi rękoma za bity i pokazywały drogę.

Zwaliliśmy ciężary w sali na parterze i wybiegliśmy znów po walizy, pokrzykując wesoło i klnąc pod nosem. W przejściu otarłem się znów o dziewczynę i pochwyciłem jej rozbawione spojrzenie.

W sali, która miała być zajęta przez parę godzin, mężczyźni jęli się do na wpół wywalonych drzwi, tarasując drogę, do wybitego okna i pokiereszowanych, spiętrzonych prycz. W ciemnej jak piwnica izbie wzbili się aż pod sufit tłusty kurz i dusił w gardle. Zbierało się śmiecie i wyrzucało je przez wybite okno korytarza wprost na głowy zagospodarowanych na tyłach koszar ludzi, którzy nie dbając ani o Grunwald, ani o świeży lipcowy dzień, ani o kary, grożące według regulaminu, siedzieli kupami przy niezliczonych ogniskach, zbudowanych z paru sutych szczyp, odłupanych z prycz i stołów, pitrasili w rondlach, menażkach, okopconych pa-

czkach po konserwach i w zdobycznych aluminiowych garnkach wszelkiego rodzaju jedzenie: mięso baranie, złupione stada w noc przedgrunwaldową, kasze, zupy, kompoty, piekły na zardzewiałych, rozpalonych blatach placki kartoflane i mieszały drewnianymi łopatkami w kipiących wszystkich kolorami miksturach, dmuchając pracowicie w ogień. Dym, jak gęsta, brudna śmietana, gotująca się od dołu, bulgotał, wzdymał się, podnosił się leniwie znad ziemi, wylewał się przez szczerbaty mur na pobliską łąkę, zacierał kontury dalekiego, płaskiego lasu leżącego na horyzoncie i owijał jak kremem kopuliste platany przy autostradzie. Zapach gotującej się surowizny, zmieszanej z dymem, ostro gryzł w nozdrza, aż kręciło się w żołądku. Od spodu, spod dymu, jak z dna garnka, dobiegał bulgot okrzyków i przekleństw głodnych, gotujących sobie jadło ludzi. Oderwałem dziewczynę od okna i zaciągnąłem do białej, wykładanej kafkami umywalni, która zapaskudzona resztkami jedzenia i łajnem śmierdziała jak latryna.

— To wy tak żyjecie — rzekła pogardliwie Żydówka, podstawivszy ręce pod strumień wody. — Z przodu Grunwald, a z tyłu pichcenie. Ja bym dnia tutaj nie wytrzymała. Ach, nie wytrzymała!

— Przyzwyczaiałyby się pani — odparłem urażony. — To jest jeszcze kwarantanna. Ni to kacet, ni to wolność. Ale będzie lepiej, wolniej! Jesteśmy wielką siłą! Moralną! — uniosłem się gwałtownie. — Ale — zmitygowałem się — ludziom chce się jeść. Człowiek musi jeść, musi mieć kobiety. Tyle lat ludzie byli głodni! Tyle lat tęsknili do tej chwili, kiedy najedzą się chleba, kiedy będą mieć pierwszą kobietę! To są zasadnicze sprawy. Na to i Grunwald nie pomoże.

Strząsnęła z rąk natrętne krople. Wytarła ręce o kraj spódniczki. Błysnęła udami. Wyszliśmy na korytarz. Automatyczne drzwi zatrzasnęły się cicho za nami. Nie zepsuto ich do tej pory.

— I to po tylu latach obozu nie zapragnął pan wyjść poza te mury? — Przyglądała mi się badawczo jak osobliwej odmianie psa albo kota. — Nie mówię o chlebie ani — w głosie jej przewinał się leciutki akcent ironii — o kobiecie. Ale pójść po prostu do lasu?

— Bałem się — wyznałem szczerze — bo pilnują. Przeżyć tyle lat i zginąć po wojnie, nie, to zbyt groteskowe. Człowiek, ceni siebie w dwójnasób.

— Bał się pan! — klasnęła w dłonie — ach, bał się pan!

— A panią co ciągnęło na... na cudze łąki, jak nie strach? Uciekła pani od tej Ojczyzny? Miraż Zachodu? Oto i Zachód! — Pokazałem ręką rozbite okno, w którym kłębił się dym. — Wszyscy boimy się, odkąd nastał pokój.

Dziewczyna roześmiała się drwiąco. Chodziliśmy po korytarzu, wzdłuż okien wychodzących na las.

— Wcale nie strach! Uciekłam od miłości. Śmieszne, ach, jakie śmieszne!

Podciągnąłem opadające spodnie i skrzyżowałem gołe ramiona na piersiach. Wstydzilem się pryszczy, wylazających spod koszulki gimnastycznej, ale do tej pory nie zdołałem ukraść koszuli z kołnierzykiem.

— Przez sześć lat byłem katoliczką, Polką, nauczyłam się przykazań takich i owakich, chodziłam regularnie na msze i do spowiedzi. Matka, zanim zginęła w Treblince, dała mi książeczkę do nabożeństwa. Jeszcze dziś mam dedykację w oczach: „Kochanej córeczce, Janince, w Dniu Jej Pierwszej Komunii, Mamunia“. Nazywałam

się inaczej. Nie jestem przecie podobna do Żydówki — powiedziała z pewną dumą, szukając oczyma potwierdzenia w moich oczach.

W istocie, nie wyglądała na Żydówkę. Miała jasne, puszyste włosy i szeroką, nieco płaską twarz. Tylko ciemne, głębokie oczy opalizowały niespokojnie.

— Przecież pani jest jak aryjka — rzekłem pochwalnie. Oczy jej zalsniły z wdzięcznością. — To strach. A gdzie miłość?

— Jest miłość, bo się zakochałam. W katoliku. Był komunistą i nie lubił Żydów — poskarżyła się naiwnie. — Bardzo mnie kochał. Nie mogłam mu kłamać. Prawda, że nie mogłam?

Popatrzyłem jej przeciągle w oczy z dobrze udanym milczeniem współczucia.

— Zaciągnął się do wojska, jak tylko Niemcy odeszli. To było, nawiasem, w Siedlcach. Napisałam mu list na pocztę polową i uciekłam. To bardzo łatwo, ach, jak łatwo!

— Nie czekając na odpowiedź? — zdumiałem się.

Zaczerwieniła się jak brzoskwinia i przygryzła wargi.

— Bałam się, że napisze... — Urwała. — On był jak endek. A ja... naprawdę już nie mogłam! Nie chciałam! Wolałam, żeby mnie nazywano chaimką, żeby się ode mnie Polacy odsuwali!

Paru mężczyzn przebiegło, potrącając nas, i zniknęło za zakrętem korytarza. Gdzieś z podwórza dobiegały podniecone okrzyki.

Ująłem ją za rękę. Była ciepła i miękka jak sierść kota. Dym z okien wsiąkał w korytarz i kładł się na suficie wąskimi pasmami jak pajęczyna.

— Dobrze to rozumiem — odrzekłem zdawkowo, z trudem opanowawszy drżenie szczęk. — Jest pani bar-

dzo odważna. Odwaga strachu. Chciałbym być także takim. — I wypaliłem jednym tchem. — Nie poszłaby pani na spacer, ale tak, poza obręb obozu? Tam podobno sosny ociekają zapachem lata, a ja jeszcze nigdzie nie byłem. Zbiesiłbym się chyba z tęsknoty za przestrzenią i pieszo poszedłbym na zachód czy na wschód. Żal mi zostawić książki, które uzbierałem. Ale z panią — ścisnąłem ją poufale za rękę — nie zaszedłbym daleko. Bezpiecznie.

Zastukałem żywiej butami i podciągnąłem jedną ręką spodnie. Suche, ostre sukno parzyło jak pokrzywa. Na korytarzach dźwięczały już kotły. Zbliżał się czas obiadu. Żołądek émił jak bolący ząb. Z dziedzińca wiało krzykiem. Znów przebiegli po korytarzu ludzie i wpadli w drzwi wejściowe. Coś tam musiało się dziać.

— Jutro odjeżdżamy dalej — rzekła dziewczyna, oswobadzając rękę. — Kto wie, dokąd? Dzień w jednym obozie, dzień w drugim... Stale nowi ludzie, obcy. Mam wstręt do tego! — I nagle rzekła prawie szeptem: — Panniecznie się boję, że pojedę do Palestyny. Co ja mam wspólnego z Żydami? Być samotnie, prywatnie Żydówką — tak! Ale żyć w żydowskiej wsi, doić krowy, macać żydowskie kurczęta, wyjść za mąż za Żyda? Nie, nie — krzyknęła, jakbym namawiał ją do tego. — Może ucieknę na studia. Ale tak czy owak nie spotkamy się nigdy. Nie — potwierdziła stanowczo swoje myśli — nie spotkamy się nigdy. A szkoda. Może mogłabym się zakochać w panu? — Uśmiechnęła się, ubawiona wyrazem moich oczu. — Bo pan umie słuchać. Tak jak Romek. To ten z Siedlec — wyjaśniła krótko.

Przygarnąłem ją za łokieć i brutalnie obróciłem ku sobie. Prawie dotykała mnie zbyt wydatnymi piersiami. Fala krwi przepłynęła przez moje ciało.

— Nie spotkamy się nigdy! — droczyła się ze mną, a kąciki jej ust drgały — ale — zawiesiła głos — to tym lepiej.

A kiedy puściłem ją zniechęcony, wsunęła mi się pod ramię.

— Kiedy pan chce iść na ten... spacer?

— Po obiedzie, dobrze? — zaszepotałem z przejęciem. — Będzie łatwiej przy zmianie warty. Pójdziemy.

Znów paru mężczyzn przebiegło korytarzem. Ostatni odwrócił się, machnął ku nam zachęcająco i krzyknął zadyszany:

— Chodźcie, zobaczcie! Akcja pacyfikacyjna! Wojsko z karabinami! Rewolucja! — I zatupał po schodach.

Dziewczyna, nie odpowiedziawszy mi, rzuciła się do drzwi. Pognałem za nią. Zbiegliśmy na dwór. W drzwiach kołysał się tłum. Środkiem placu cofała się fala ludzi, rozpluwając się z szumem na boki przed sunącymi powoli jak łodzie jeepami, w których stali żołnierze, Amerykanie, potrząsając groźnie karabinami. Naraz z pierwszego auta buchnął strzał. Tłum zatrzepotał jak stado spłoszonych kaczek, odpowiedział wrogim okrzykiem i zamilkł, zbiegając z bulgotem w kurnik koszar. Natychmiast wszystkie okna zapełniły się rozgdakanymi głowami ludzkimi. Z drzwi komendantury wypadł Major. Na widok żołnierzy stanął jak wryty, a potem cicho wycofał się pod schodki, na których dostojnie zajaszkrawiła się postać Arcybiskupa.

Dziewczyna drżała całym ciałem. Przyciągnąłem ją do siebie. Zbyt wydatny biust ugiął się miękko pod palcami. Przytuliła się ufnie.

— Bydło — rzuciła przez zęby — ach, co za bydło! Ileż bym dała, żeby stąd uciec! Uciekajmy — nakryła

dłońmi moje dłonie. Pusty żołądek uwierał mnie jak ciasny, piekący but.

— To przez tych kucharzy — informował ktoś przed nami — to oni nasłali Amerykanów. Zhardzieli przy kotle! Radia nie chcieli w południe na Londyn nastawić. Hałas im ludzie pod oknami robią! A szczególnie jakiś jeden, co w pierwszej kuchni gotuje, kucharzem robił w Allachu, miskę kartofli wyrzucił na ludzi. Chłopaki zbuntowali się. Tylko to powinno być bez krzyku. Złapać raz, dwa, kark ukreć cholerze Antychrystowi i kwita. Ale z polskim narodem czy można. — I zadumał się posepnie.

— Już im dobrze dali — pocieszył inny — przez tydzień nie pozbierają się. Żywi to oni nie przyjdą z obozu, ja wam mówię.

Wszystkie szyby na parterze były sumiennie wytłuczone. W przyprószonym cieniu wnętrzu pokoiów krzątali się na gruzach sprzętów ludzie, ratując co się da. Od hełmów żołnierzy, którzy pilnowali głównego wejścia na parter, odpryskiwało słońce i raziło w oczy. Czekali, niezdecydowani, podczas gdy samochody zawróciły ku bramie.

Wtem z drzwi przeciwległego skrzydła koszar wysunęła się zbita grupa ludzi i, szamocąc się jak sfera psów, ruszyła przez pusty plac wprost do komendantury. Z pochylonym łbem jak bodący byk szedł przodem Choraży. Stefan deptał mu po piętach. Trzymał przez pół dziewczynę, która mu się wyrwała z piskiem. Inny dopadł z boku, złapał ją za kark, potarmosił, uspokoił. Reszta poskoczyła i otoczyła ich i olbrzymiego Kolkę, górującego głową nad wszystkimi, który poganiał kopniakami człowieka w białym fartuchu, wykręcając mu do tyłu rękę. Żołnierze poskoczyli im naprzeciw.

Przycisnąłem swoją dziewczynę, aż krzyknęła. Przechyliłem jej twarz do pocałunku, ale wyrwała się gniewna.

— To cóż, po obiedzie — rzekłem z rezygnacją i rozepchnąwszy tłum wypadłem na plac. — To kole-dzy! — krzyknąłem jej z daleka. Wspięła się na palce i podniosła dłoń do twarzy, trochę ze zdziwieniem, a trochę jak z peronu. Dopadłem chłopców na chwilę przedtem, zanim otoczyli nas żołnierze.

— Ej, Tadziu — zagrzmiał roześmiany Kolka — złodzieja mamy! Cały wór mięsa nakryliśmy w kuchni! A na sztubie pana kucharza Niemkę w łóżku! Nie zdążył jej wyprowadzić. Prędeż, bydlę!

I pchnął kolanem pędzonego kucharza. Kucharz, widząc żołnierzy, wrzasnął z bólu. Żołnierz podbiegł do Kolki, zabulgotał gardłowo i zamierzył się kolbą. Ale nie uderzył.

Na schodkach przed komendanturą, między Pułkownikiem a Majorem stał Arcybiskup i patrzył na nas łagodnym i zmęczonym wzrokiem. Poruszył wargami, jakby się modlił, ale Stefanowi wydało się, że pyta.

— Bo kradł, proszę księdza, jedzenie dla Niemki kolegom kradł! Kradł i cudzołożył! — krzyknął i błyskając gniewnie podbitym, przekrwionym okiem popchnął na schody dziewczynę, aż upadła na kolana. — I radia nam słuchać nie dają! Waszego radia — dodał buntowniczo. — Nie z Warszawy, z Londynu!

III

Pokój redaktorów był przytulnie obity tapetą w li-ryczne kwiatki. Po prawowiernych mieszkańcach, ofi-cerach SS, którzy albo padli na polu chwały w bitwie przy koszarach, albo uciekli do rodziny, albo zajęli opró-żnione przez nas miejsca w Dachau, została tylko so-lidna, dwudrzwiowa szafa, cudem nie całkiem rozbita przez auslenderów, którzy ledwo wyzwoleni z obozu wpadli po skończonej wojnie w bezpieczne koszary, wy-tłukli wszystkie szyby, żyrandole, lustra w łazienkach i umywalniach, rozmontowali gruntownie aparaty filmo-we, wybili rentgenowi zęby w szpitalu, popalili auta, motocykle i armaty w garażu, wysadzili, rabując amu-nicję, część muru koszarowego, połamali bardziej rzuca-jące się w oczy mahoniowe, salonowe meble i zapasku-dziwszy z czubem miski klozetowe odeszli śpiewając hymny narodowe.

Była więc szafa, dalej sklecony ze szczątków tap-czan, przykryty imitacją tygryskiej skóry, zawalony kupą publicystycznych książek, skrupulatnie wybranych spo-między śmiecia, zalegającego dziedziniec, biblioteka bo-wiem, na równi ze szpitalem, apteką, kinem i olbrzymią kartoteką, zawierającą legitymacje i fotografie wielu dziesiątków tysięcy SS-mannów, została rozbita w puch i wyrzucona na bruk.

Siedziałem wciśnięty w róg kanapy, gapiąc się bezmyślnie na ciemniejszą plamę na ścianie, ozdobioną nie wiadomo skąd wytrzaśniętym Norwidem, ewangelicznie brodatym.

Zza uchylonych drzwi dochodził z korytarza brzęk kotła. Tu, na pokojach oficerskich, nawet grunwaldowy gulasz wydawano bez kolejki i bez kontroli. Każdy oficer brał dwie, trzy miski, na zapas, na wieczór. Bo z chlebem to różnie bywało, najczęściej trzysta gramów. Nawet dla żołnierzy mało, cóż dopiero dla oficerów!

Redaktor wepchnął się do środka, piastując w rękach dwie pełne dymiące zapachem mięsa miski. Wetknął mi jedną do rąk.

— Masz, jedz i rośnij — rzekł krótko, ale dobitnie. Wydoskonalili sobie dykcję, był bowiem troszeczkę głuchy, a mieszkał z kapitanem, byłym korespondentem dziennika w Białymstoku, głuchym jak wyschły pień. Obaj napełniali pokój niespokojnym buczeniem jak niesforne bąki.

Wolno zanurzyłem łyżkę w gulaszu, wybierając starannie mięso. Nie byłem już zachłannie głodny. Z okazji bitwy pod Grunwaldem wydzielono nam po litrze kartofli z mięsem i sosem.

— Wiesz, że chciałbym mieszkać w pokoju — rzekłem do redaktora, który odsunął maszynę i matryce pod okno, zasiadł przy stole i mlaskając głośno językiem wziął się rażno do jedzenia — żebym mógł porozkładać moje książki, powiesić na noc spodnie w szafie, no i w ogóle spać w łóżku. Sam w pokoju, to cholernie przyjemnie!

— Albo we dwoje! — huknął Redaktor.

— Z tym drugim? — skrzywiłem się z niesmakiem.

— Nie, z dziewczyną. Przygadałeś z transportu, wiedziałem!

— Co się dziwisz? Po obozie, to już chyba czas? — Redaktor trafił do obozu z powstania, wprost od młodej żony.

— Może ucieknę z nią na Zachód.

Odłożył łyżkę i popatrzył na mnie spod oka.

— No, wiesz — zakpił — ty i ucieczka! Szczeniaczku, rzuciłbyś swoje wiersze i książki? Nie bałbyś się świata? A jakbyś musiał pogłodować?

Obrażony, odsunąłem miszkę. Odwróciłem twarz ku oknu. W szczerbach wybitej szyby słońce rozwidłało się w tęczowe, pawie błyski.

— No, nie martw się — redaktor wstał od stołu i pogłaskał mnie po twarzy. — Jakim mnie stworzyłeś, takim mnie, Panie Boże, masz. A w tym pochodzie z mięsem byłeś?

— Byłem — mruknąłem niechętnie. — Moglibyście napisać o tym. To sensacja!

— Prawdziwa sensacja obywatela odbywa się bez prasy, mój mileńki. Zresztą ksiądz Tokarek nie pozwoliłby napisać. Jesteśmy przecież gazetą rządową!

Ułamał kawałek chleba i umaczał w sosie.

— A tobie udało się uciec?

— Żołnierze mnie puścili. Angielszczyzną świat przejdiesz. Wyklarowałem okej, że ja nic, że przypadkowo, opowiedziałem o sprawie. Pokiwali głowami. Jeszcze mi jedną rękę podał. Znasz Stefana? — zapytałem. — Był blokowym na szonungu.

— Komunista? Byłem u niego na bloku. Nienajgorszy.

— Szuja — orzekłem zwięźle. — Bił ludzi, wysługiwał się esmanom, żeby tylko zostać blokowym i mieć

binde. Kiedy go wyrzucili na komando, to chodził jak struty. Trzech dni z fasonem nie umiał wytrzymać. Żaden lagrowiec.

Redaktor pokiwał głową. Przechylił miszkę i pił sos.

— Można powiedzieć — przeciągnął z wileńska między jednym a drugim łykiem — że go troszkę nie lubiłeś.

— Ale umiał znaleźć się, nie ma co! Krzyczeli na niego, że komunista i bandyta, a szczególnie Pułkownik. A on powiedział, że owszem, biłem i kradłem dla tych tam pułkowników i majorów. Ale dziś bym już nie bił i nie kradł. Niechby zdechli w obozie, jeszcze bym im pomógł. Krzyk się zrobił, że ola!

— Nie wsadzili go przecież, słyszałem?

— First Lieutenant dał mu do wyboru albo karę bunkra albo wydalenie z obozu. Nie mógł inaczej zrobić, bo Arcybiskup przysłuchiwał się cały czas. Stefan wziął Niemkę pod pachę, przeprosił ją i wyszli razem z obozu.

— Tak przy Arcybiskupie? A podlec! Przecież całe wojsko w jego oczach skompromitowane. — Wylizał łyżkę, wytarł miszkę papierem, papier wyrzucił przez okno, miszkę wstawił do szafy, szafę dokładnie zamknął, usta wysuszył chusteczką, chusteczkę schował do kieszeni, maszynę spod okna postawił na swoim miejscu i wtedy, gotowy do wyjścia, oznajmił:

— Pójdiesz do teatru. Są dwa bilety. Janusz — to był ten drugi, głuchy — poszedł na brydża do Rotmistrza. Przyjechał ktoś z Drugiego Korpusu, może nas zabierze do Włoch. Ale o tym sza! boby wszyscy chcieli. Grają teraz razem w karty. Nic ich nie ruszy, nie tylko Arcybiskup, ale nawet rewia.

I wypchnął mnie za drzwi, odbierając mi książkę z rąk. Zlustrował mnie przy tym podejrzliwie. Nie lu-

bił, jak mu cichaczem wynoszono druki. Zamknął uważnie drzwi na klucz, zastukał do sąsiednich, zanurzył się w dym, który zwijając się przy zamkniętym oknie wyściełał pokój jak gęsta wełna. Na brudnej podłodze stało przy krzesłach kilka misek z niedojedzonym gulaszem. Pewnie go zostawili na wieczór. Redaktor rzucił klucz na stół i nie powiedziałszy ani słowa wyszedł.

Na dziedzińcu kończono przygotowania do wieczornego ogniska. Wzniesiono solidny, czworokątny stos, wzmocniony smolnymi pniakami po bokach, a na słupek, który sterczał na szczycie, nasadzono niemiecki hełm, pod słupem zaś skrzyżowano dwa strzaskane niemieckie karabiny bez zamków. Wokół stosu stały ławy, krzesła i fotele.

Chociaż wszyscy z napięciem oczekiwaliśmy ogniska i narodowych występów wieczornych, cała zasiedziała ludność koszar, oprócz oczywiście tych, co grasowali za budynkami, pilnowali sztub przed złodziejami lub byli na wyprawach poza obozem, przeniosła się pod garaże, z których urządzono teatr. Przed zamkniętą bramą teatru stał tłum, kłął i groźnie krzyczał, napierając na przepasanego narodową szarfą policjanta w amerykańskim tekturowym hełmie. Policjant rozkrzyżowanymi rękoma patetycznie bronił wejścia.

— Ludzie, nie ma miejsc! Zlitujcie się, ludzie! Przyjdźcie jutro. Jutro będziemy powtarzać Grunwald! Każdy zobaczy! — krzyczał ochryple, coraz ochryplej, aż zapiał jak kogut, umilkł i opuścił ręce.

Odepchnięto go od wejścia, zerwano i zdeptano narodową szarfę. Tłum rzucił się do bramy. Jęknęła, ale zamki nie puściły.

— Za grosz inteligencji — rzekł ubawiony Redaktor i pociągnął mnie na drugą stronę garażu do małych

drzwiczek dla aktorów. Gdy wśliznęliśmy się na widownię i na migi załatwiliśmy sprawę z policjantem, woźnym w teatrze, odczułem wyraźnie, że przez chwilę byłem także jak oficer.

Umieściliśmy się tuż za generalicją, w drugim rzędzie, na który padało jeszcze żółte światło ze sceny. Reszta wąskiej, ale niezmiernie długiej sali tonęła w czarnoniebieskim mroku, z którego błyszcząły ostro zapatrzone ludzkie twarze. Z zewnątrz dochodziły wrogie okrzyki szturmującego tłumu i skrzypiały wyważane, żelazne drzwi. Nikt na nie nie zwracał uwagi. Wszyscy patrzyli na scenę.

Bo oto na środku jaskrawo oświetlonej sceny, przybranej w czerwień, biel i żywą zielen i podpartej czarnym pudłem rozdrzanego patriotyczną melodią fortepianu, stała zapłoniona jak dziecko na imieninach Śpiewaczka, hojna blondyna w krakowskim stroju, umajona wieńcem niedojrzałych, ale już płowiejących kłosów. Palcami podtrzymywała spódniczkę i oczy wznosiła niewinnie ku kurtynie, ku sufitowi, ku niebu.

Wkoło niej upozowało się kilku młodych ludzi w obozowych pasiakach, podtrzymujących wstążki od jej stanika. -- Paru z nich znałem: byli schreiberami w przesławnym obozie Allachu, pasiaki leżały na nich jak ulane, musiały być szyte specjalnie na zamówienie jeszcze w obozie. Inni, w robotniczych kombinezonach, krzatali się na peryferiach sceny, jeździli z taczkami i obnosili naokoło Śpiewaczki łopaty, kilofy i łomy.

Na samym zaś przedzie, nieomal na krawędzi sceny, stał gruby i płomienny Aktor i dłonią wskazując na Śpiewaczkę kończył z patosem wiersz:

„w imieniu Bogurodzicy,

Dzieci my Twoje, Polsko, żołnierze i robotnicy!”

Straszliwy trzask wyważonej bramy i triumfalny krzyk, wwalającego się do przepelnionego garażu tłumu zlał się z ogromnym hurkotem oklasków i histerycznym, patriotycznym wrzaskiem widzów. Kiedy się nieco uciszyło, a prześcieradło kurtyny poszło ponownie na boki, by jeszcze raz pokazać zapłonioną Rzeczpospolitą oraz jej kochanka, Aktora, w zachwyceniu w nią wpatrzonego, Redaktor, który się nareszcie umieścił jako tako na skraju ławy, pochylił się ku mnie konfidencjonalnie i huknął głośno i z niekłamany zadowoleniem:

— Szkoda, że jeszcze łożka na scenę nie wstawili! Fajna Rzeczpospolita!. I warta grzechu!

IV

— Powiedz mi, po co ty siedzisz w tym obozie? Czy cię nic stąd nie rwie naprzód? — Dziewczyna pochyliła się czule nade mną. Zbyt pełny biust zakolysał się pod bluzką. W jej niespokojnych, opalizujących oczach odbijałem się małym, wypukłym fragmentem siebie. Podniosłem głowę i chciałem pocałować ją w wilgotne rozchylone usta. Zmarszczyła brwi i odsunęła się.

— Nie, nie rwie mnie już nigdzie — westchnąłem leniwie i sennie opadłem na ziemię, pachnącą zbutwiałym igliwem. — Ty i tak kochasz tylko tego, który pozostał w Polsce.

Zamknęła mi usta dłonią.

Nad nami piął się w niebo sosnowy las i szumiał. Wiatr szeleścił, ocierając się o korę drzew. Słońce, rozszczepione w wierzchołku sosny, jak pierzasta strzała spadło w głąb lasu i utkwilo w blado-zielonej trawie, która prześwietlona jak cieniutkie złoto pełna była rozleniwiającej woni lata. Rozchodziło się od niej urzekające ciepło, jak od ciała kobiety. Zabłąkany bąk, mały bombowiec, zahuczał nad nami i usiadł na łodydze dziewanny.

— Gramoli się żarłocznie w konchę, jak kosmaty psiak do miski z mlekiem — rzekłem pobłaźliwie.

— Raczej jak dziecko na parapet okna — zaobserwowała dziewczyna. — Ach, ileż ja ich wyniańczyć mu-

siałam. Nienawidzę dzieci! — krzyknęła. Spłoszony bąk odleciał z gniewnym pomrukiem. — Chodź — zdecydowała się nagle. — Już późno. Patrz, jak potemniary sosny. Czwarła? Piąta? — Popatrzyła w górę ku czubom sosen, zanurzonym w lekkim potoku wiatru. — O, jak nisko słońce. — Uniosła się na kolana, strzepnęła resztki igliwia z sukni i poprawiła włosy.

— Chodź — zerwała się niecierpliwie, odsuwając moje ręce. — Jedź ze mną! Ach, jedź ze mną! Ja tak się boję Palestyny!

Przez las płynęła asfaltowa droga, ujęta w tamę topól. Chodziły po niej pary, rozgrzane i barwne.

— Widzisz, Nino — na skraju lasu przerwałem milczenie i ująłem ją wpół — tak żyją Niemcy. I ja tak chciałbym żyć, rozumiesz? Bez obozu, bez wojska, bez patriotyzmu, bez dyscypliny, normalnie, nie na pokaz! Nie pobierać zupy z kotła, nie myśleć o Polsce.

— No, właśnie — podchwyciła Nina — jedź ze mną na zachód. Ja jestem naprawdę wolna.

— A chłopiec w Polsce?

— Zapomnę o nim.

— Ale dotąd nie zapomniałaś?

— Nie miałam innych, więc nie zapomniałam.

— Nie miałaś?

— Ci ludzie, z którymi jadę od Polski — podjęła po chwili z wysiłkiem — to są obcy. Mogę się od nich oderwać. Pojedziemy do Brukseli. Mam tam siostrę za bogatym Belgiem. Będę studiowała medycynę.

Asfalt parzył pod nogami. Nad drogą płynęły kopulaste topole, których sklepienie wiodło aż pod czerwone mury i wieże koszar, a opasawszy je zielenią jak mostem, pięło się, nabiegając złotem jak dojrzałe jabłko, ponad gontowe dachy podmiejskiego osiedla, przeblysz-

kujące różowo poprzez niebieskawy dym powietrza jak przez jedwabny szal.

— Nino, zostań ze mną — rzekłem niespodziewanie. — Ja tu nie jestem niczym, ale się wybiję. Mam kolegów, którzy mi pomogą, mam książki, od których trudno mi odejść. Tak je zbierałem, rozumiesz? Ja boję się ryzyka, za dużo śmierci widziałem, żeby się dać zabić. Niech inni, po co ja? Boję się przestrzeni, boję się ludzi, bo cóż ja jestem? Jakie mam prawa? — Umilkłem szukając w myśli praw, przysługujących mi. — Żadnych! Rozumiesz, żadnych! — zawiesiłem głos i wpatrzyłem się w jej twarz, jakby szukając tam współczucia. — Jeżeli pójdziemy stąd, to nam nikt nie da jeść. Na każdym skrzyżowaniu mogą nas złapać te czarne małpy w białych kaskach i wsadzić do nieznanego obozu, w którym zeżre nas głód.

— Ja się nie boję — rzekła sucho Nina.

— Ale nie mieć nigdy gruntu pod nogami! — Urwałem, szukając sugestywnej metafory. — Być jak drzewo bez korzeni! U schnąć!

— Więc wracasz do Polski — stwierdziła dziewczyna i skrzywiła pogardliwie usta, kiedy pragnąłem usprawiedliwić się. — Chciałeś mnie tylko na jeden dzień jak wszyscy.

— Wszyscy? — gwizdnałem przez zęby.

— Tak, wszyscy! — krzyknęła. Potknęła się. Podtrzymałem ją za ramiona. Wyrwała się gwałtownie i wrogo. — Wszyscy, dla których jestem Żydówką! Wiesz to? — ujęła za talizman w kształcie świstawki. Palce jej drżały. — Nie spytałeś mnie do tej pory, co to jest, inaczej niż inni. To są tablice Mojżesza, przykazania po hebrajsku. To ma mnie łączyć z Żydami. Ale ja nie jestem ani Żydówką, ani Polką. Z Polski mnie wy-

rzucili. Do Żydów mam wstręt. Myślałam, że są jeszcze inni ludzie. Ale ty nie jesteś człowiekiem, jesteś tylko Polakiem. Wracaj do Polski! — krzyknęła zjadliwie. — Wracaj do Polski!

— Wracaj do Polski! — przestraszyłem się głosu jak ptaka, który nagle zrywa się spod nóg.

W wysokiej, złotawej trawie błyszczał czarny, krótko strzyżony łeb. Stefek podniósł się z ziemi i uklonił się dziewczynie. — Wracaj do Polski — powtórzył. — Chodź ze mną. Ja idę na piechotę.

— Na piechotę? Toś morowy chłop — zachwyciłem się zdawkowo. — A gdzie Niemka? — rozejrzałem się podejrzliwie.

— Poszła w krzaki. No, odprowadziłem ją do domu — przejechał ręką po włosach. — Fajna dziewczyna. Pójdiesz ze mną?

— Wiesz, poszedłbym, ale — zawahałem się. Sukienny mundur rozparzał całe ciało. Stefan zmrużył oczy od blasku i spod powiek przyglądał mi się z otwartą pogardą. Kręcił w palcach suchą gałązkę, złamała się z trzaskiem.

— Książeczki, książeczki — uśmiechnął się gorzko — to chcesz mi powiedzieć? I że będziesz głodny po drodze? Że jak się unormuje? A ja ci powiem: spódniczka cię trzyma, bracie. Upolowałeś spódniczkę, upolowałeś, co? — Zęby mu błysnęły jak u psa. Przyłożył dłoń do podbitego oka. — Co tu masz oprócz tej Żydówki?

— Wracajmy do obozu — rzekła Nina przejmującym szeptem. — Pan jest, pan jest... — zacisnęła pięści. Podbródek jej drżał spazmatycznie. — Pan jest jak SS!

Stefan uśmiechnął się lekko. Nie zwracał na dziewczynę uwagi.

— Obóz jest obstawiony przez Amerykan — rzekł do mnie. — Chciałem wejść i zabrać koc. Nie puścili. Jutro będą wszystkich wywozić! Wszystkich!

— Oszalałeś! I Pułkownika, i Majora? I cały sztab? A księży, a kuchnie?

— Idź do obozu, to zobaczysz — powiedział Stefan. — Czekam w Polsce.

— Nie wywiozą, mylisz się, przecież dziś Grunwald.

— Grunwald! — Stefan roześmiał się, dotknął swego podbitego oka. — Ruszaj z Grunwaldem — rzekł ironicznie i zniknął w lesie bez pożegnania. Potrącone gałęzie jedliny chwiały się za nim.

— Wracajmy do obozu — rzekła Nina. Oddychała ciężko jak ryba wyrzucona na brzeg. — Trudno, wracajmy. Może się nam uda dostać do środka.

— Na pewno się uda — powiedziałem nieco zbyt skwapliwie.

Ująłem ją pod ramię i poprowadziłem wzdłuż drogi. Przyłgnęła do mnie. Poruszała bezgłośnie wargami, jakby coś mówiła do siebie. Strumyk rowerów ciekł nieprzerwanie po dnie asfaltu. — Niemcy wykorzystywali gorące, letnie popołudnie. Na skrzyżowaniu siedział człowiek z obozu. Dwie czerwone walizki postawił w cieniu, żeby lakier nie roztajał. Gmerał w otwartym plecaku. Czerwone kepi, ozdoba muzułmańskich oddziałów SS, zsunęła mu się na ucho. Czarny kutas dyndał się za każdym poruszeniem głowy.

Od obozu aż po las przewijał się w trawie sznur ludzi. Znali szpary i przejścia mniej pilnowane i wymykali się z koszar, póki czas.

Przyśpieszyliśmy kroku. — Kopyły drzew szumiały, jakby las szedł razem z nami. Pod kępą uschniętych krzaków stało parę czołgów i porządnie jak w sklepie

z manufakturą leżały poskładane karabiny, pociski armatnie i miny niemieckie. Pilnował ich drzemiący w upale żołnierz amerykański.

Przy drodze kolumna ciężarówek zwracała wąskie jak u głodnych szczurów ryje motorów ku obozowi. Czekały jutra. Między samochodami krzątały się półnędzy Murzyni. Świecili się ostrym brunatnym potem jak pokropieni miedzią. Pokrzykiwali do nas, gdy mijaliśmy ich bokiem, aby wyszedłszy na koszary od tyłu, wedrzeć się do nich przez rozbitą, zawaloną gruzem bramę, klasyczne miejsce transportu baranów. Przy dziurze nie było nikogo. Natomiast u narożnika, tam gdzie mur rzucał nieco chłodu na spieczoną ziemię, pod daszkiem z papy, podpartym paroma patykami, w głębi cienia siedział żołnierz i drzemał. Położył na trawie hełm, karabin wetknął między kolana, podbródkiem dotykał piersi. Przy drugim narożniku 'stali dwaj żołnierze w porozpinanych bluzach, gadali hałaśliwie i częstowali się papierosami.

Całkowicie odsłonięci, staliśmy na łące przed bramą jak para zagubionych dzieci przed chatką czarownicy.

— Zaczekajmy do zmroku — rzekłem, zdjęty niepokojem — może nie puszczą nas. Wracajmy do lasku.

Wysunęła mi się spod ręki, parszkając krótkim, pogardliwym śmiechem.

— Tak ci się śpieszyło na Grunwald i co? Znowu się boisz? Poczekaj, maleństwo, idź za mną.

I zanim zdążyłem coś powiedzieć, uczynić jakikolwiek ruch, dziewczyna poprawiła niecierpliwie spódniczkę, obciągnęła bluzkę na zbyt pełnym biuście i puściła się pędem ku bramie. Dopadła gruzów i poczęła się na nie wspinać. Na szczycie podmuch wiatru opiął jej ciasno biodra i rozczesał włosy. Przytrzymała je ręką,

prąc przeciw wichrowi. Odwróciła na moment ku mnie roześmianą ironicznie twarz. Zawołała, ale wiatr rozerwał jej wołanie na strzępy. Poderwałem się bieć za nią i nagle stanąłem. Podniosłem rękę, żeby dać jej znać, odwróciła się ode mnie, chciałem krzyknąć, ale milczałem. Dwaj żołnierze, którzy częstowali się papierosami, odwrócili się ku bramie, a jeden z nich, zdejmując z ramienia karabinek, zawołał ze śmiechem na całe gardło:

— *Fräulein, Fräulein! Halt, halt! Come here!*

— *Stop, stop!* — krzyknął piskliwie drugi.

Śpiący u drugiego krańca muru żołnierz podniósł nieprzytomnie głowę i poderwał się. Schylił się, chwycił karabinek, który mu się wysunął spomiędzy kolan, przyłożył go do ramienia, pochylił głowę na oka mgnięcia na prawo i —

Dziewczyna obronnym ruchem podniosła rękę do gardła, jakby jej nagle zabrakło powietrza. Postąpiła jeszcze krok poza krawędź nasypu i miękko osunęła się za nim, jakby pośliznęła się na cegle; zniknęła za krawędzią jak wrzucona w dół. Za nasypem, tam gdzie był już obóz, podniosły się głosy, połączyły się w gwar, urosły w krzyk. Dwaj żołnierze, którzy śmiejąc się wołali za dziewczyną, odrzucili niedopałki papierosa, przydeptali je nogą i pobiegli na nasyp. Rozespany żołnierz, ten, który strzelił, przewiesił karabinek lufą na dół przez ramię, podniósł z ziemi hełm, otrzepał go, włożył na głowę i pogwizdując bezmyślnie pośpieszył również w stronę bramy.

Wolnym krokiem ruszyłem na usypisko, przeszedłem je na oczach wszystkich i zsunąłem się obok Niny.

Padając, otarła o cegłę policzek. Na skurczonej wilgotnej, nabiegłej świeżą krwią wardze usiadła duża, niebieska mucha. Spłoszona cieniem, odleciała bzykając.

Spod wargi lśniły martwo białe zęby. Wypukłe oczy zmętniały jak stężała galareta. Ręce, kurczowo zaciśnięte w obronnym ruchu, leżały ciężko na kamieniach. Ostatni znak życia, ciepła o mdłym zapachu krew przesączała się szeroką plamą przez bluzkę, opinającą zbyt wydatną pierś i zasychała na brzegach jak rdza. Mały talizman o kształcie świstawki przesunął się na szyi na bok, zawahał się parę razy na łańcuszku i zawisł nieruchomo. Usunąłem spod głowy trupa ostry, niewygodny kawałek cegły, odgarnąłem delikatnie włosy, ułożyłem głowę na miękkim piasku wapiennym i podniósłszy się z kłęczek otrzepałem starannie spodnie z kurzu. Nade mną pociemniało od koła ludzkich twarzy skupionych i milczących. Z trudem przepchałem się łokciami przez niechętnie ustępujący tłum. Przepuścili mnie i jeszcze ciałniej skupili się nad ciałem.

Na podwórzu dymiły się ognie pod porzuconymi garnkami i menażkami. — Wiatr skręcał z chrzęstem dym jak słomę i wyrzucał go za mur. Zrzucone ze strychu deski na ogień bezszelestnie zsunęły się w powietrzu, zabelowały na tle czarnych okien i upadły z przeraźliwym traskiem. Z ziemi podniósł się słup kurzu, powoli zwinął się nad ziemią i upadł. Z niezmiernej od dali dochodził do mnie jednostajny, stłumiony szmer głosów jak zza ściany. Spomiędzy bloków mieszkalnych, z ulicy wysadzonej młodymi platanami, zza zakrętu garażu, z którego sterczały długie, okryte brezentami nosy armat, wyskoczył mały, śmieszny jeep, wypchany żołnierzami, prześliznął się między drzewami, prychnął olbrzymim kłębem dymu i kurzu, wparł się kołami w ziemię i przysiadł, hamując ze zgrzytem.

— *What's happened?* Czemu ci ludzie tak krzyczą?

First Lieutenant pochylił się ku szoferowi. Ten wzruszył obojętnie ramionami. Spojrzałem zdziwiony na oficera. W otaczającej nas ciszy głos jego zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie jak darcie płótna. Oficer, napotkawszy spojrzenie, zamrugał i ściągnął nieco wargi. Wysunął z auta nogę i zakołysał nią z wahaniem. Słońce załśniło i rozkwitło w brązowym, wyglansowanym półbuciku. Dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi na kolanach rozpierali się na tylnym siedzeniu. Kierowca sięgnął do kieszeni, wydobyl paczkę papierosów, zerwał barwną opaskę, przechylił się do tyłu, częstując. Zapalili. Delikatny strumień niebieskiego dymu przepłynął koło twarzy i porwany wiatrem znikł w powietrzu. Podszedłem, nie śpiesząc się, do auta.

— *Do you speak English?* — zapytał szybko First Lieutenant. Poruszył niezdecydowanie szczęką, jakby rozpędzając się i naraz zaczął żuć.

— *I do* — kiwnąłem. Głos mój zahuczał w głowie jak w pustej sali, aż się wstrząsnąłem. Patrzyłem na oficera nie jak na człowieka, a jak na daleki obojętny przedmiot.

Tłum zasłaniał szczelnie trupa dziewczyny, ale odwrócił się od niego i patrzył na żołnierzy. W uszach huczało mi jak w słuchawkach. Nagle ściana ludzi poruszyła się, odprysła.

— *What's happened?* — powtórzył nieco ostrzej Pierwszy Porucznik. Dotykał stopą ziemi. Zdawało się, że wypryśnie z auta. — Kto skrzywdził tych ludzi? Cemu oni tak krzyczą? Co się stało?

Żołnierz z karabinkiem, opuszczonym lufą na dół, wyszedł z tłumu, a za nim przepychali się pozostali dwaj, którzy wtedy palili papierosy. Nim jednak ten,

który szedł przodem, zdążył coś powiedzieć, zwróciłem się do oficera.

— *Nothing, sir.* Nic się nie stało — uspokoiłem go bagatelizującym ruchem ręki i uprzejmym poddaniem całego ciała. — Nic się nie stało. Zastrzeliliście przed chwilą dziewczynę z obozu.

Pierwszy Porucznik wyskoczył z auta jak zwolniona raptem sprężyna. — Twarz jego spłynęła przelotnie krwią i pobieliała.

— *My God* — powiedział. Musiało mu nagle zaschnąć w ustach, gdyż krzywiąc się, wypluł gumę. Różowa grudka zaczerwieniła się w kurzu drogi. — *My God! My God!* — Chwycił się za głowę.

— *My tu, w Europie, jesteśmy do tego przyzwyczajeni* — odrzekłem obojętnie. — Przez sześć lat strzelali do nas Niemcy, teraz strzeliliście wy, co za różnica?

Przez niski kurz jak przez płytką rzekę, nie oglądając się, ciężkim krokiem odszedłem w głąb koszar, do swoich książek, do swoich gratów, do swojej kolacji, którą już pewnie zafasowano. Cisza, jak napęczniały balonik, pękła z trzaskiem w uszach. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że nad ciałem dziewczyny tłum ciasno skupił się i patrząc w oczy żołnierzom cały czas wrogo skandował:

— *Ge-sta-po! Ge-sta-po! Ge-sta-po!*

V

Żołnierska sala leżała w gruzach. Na stołach i na podłodze rozbite skorupy porcelanowych misek bieleły w gęstym mroku jak oskrobane z włókien wyschłe kości. Ściągnięte z łóżek sienniki zwieszały się ku ziemi bezwładne, jakby były zabite. Z szaf, jak z otwartych, wypaproszonych brzuchów, wylewały się szmaty i stłamszone leżały na ziemi. — Pod nogami szeleściły zwały podartych, zduszonych książek. W powietrzu unosił się stęchły, piwniczny, trupi zapach, jakby te szmaty, sienniki, skorupy i książki, porozbijane i poszarpane, gnily i rozkładały się dalej.

Siny kwadrat okna, otwartego w noc, rozkwitł jak olbrzymim kwiatem czerwoną rakieta. Strzelano z wysokiej wieży koło bramy. Łagodne światło bezszelestnie spłynęło po oknie, jak świeża krew. Cienie zachwiały się, zawahały jak rozkołysana woda i podniosły się do góry.

Korzystając ze światła, zajrzałem do szafy. Wygarnięto z niej wszystko, cokolwiek nadawało się do użytku, resztę zniszczono. Na dnie domacałem się w garnku ocalałych płatków kartoflanych. Zaszleściły w palcach jak suche, pokruszone liście.

Rakieta spłynęła na bruk, podskoczyła kilkakrotnie, błysnęła silniej czerwienią i zgasła. Zrobiło się zupełnie ciemno. Podszedłem do łóżka i pomacałem ręką. Palce

przeszorowały po szorstkim sienniku. Koca nie było. Ukradli. W głębi sali ktoś z jękiem poruszył się na łóżku. Przeleciał jakiś przenikliwy strzęp szeptu, stłumiony, urwany chichot rozplynał się w nagłym chrzęście słomy. Umilkło.

— Cygan? Cygan, bracie, to ty? — zapytałem z ogromną ulgą. Ruszyłem od szafy i czepiając się łóżek brnąłem w głąb sali. Rozbite szkło zachrzęściło pod nogami. — Cygan, jesteś? — Zatrzymałem się niepewnie i czekałem w napięciu.

— A gdzieżbym był, jak mnie tak wszystko pieruńsko boli! — zajęczał w ciemności Cygan. Siennik znów zachrzęścił niespokojnie. — Ten naród ludzki, co oni narobili! Żebym ja był tego nie dożył. Nie było nikogo, nikt po jedzenie nie poszedł...

— Nikt nie przyniósł kolacji? — krzyknąłem z rozpaczą. Poczulem nagły, przejmujący głód. Oparłem się o stół. Namacałem krzesło. Usiadłem. — Nie ma kolacji — powtórzyłem machinalnie. — A jutro transport i znowu jeść nie dadzą.

— Nie było nikogo, nikt nie pilnował — ciągnął płaczliwie Cygan, zachłystując się słowami jak płaczem. — Wpadli do sali, wszystko rozbili, rozkradli. Panie Tadku, żebyś pan widział, żebyś pan tylko widział, to by panu chyba serce pękło. Książki pana porozdzierali, panu Koli zabrali papierosy. Polak Polakowi. O, Boże miłosierny, zlituj się nad nami, I mnie buty wzięli. Ledwo garnitur wybroniłem. Pod głową go miałem.

— Nie trzeba było surowego barana jeść, to byś dzisiaj także nakradł. Szykują się chłopaki na transport, nie dziwota, że kradną — rzekłem drwiąco. Ścisnąłem z żalu zęby i kopnąłem walający się pod nogami czerep miski. Potoczyła się z brzękiem po betonie.

— Szykują się, szykują się, żeby im tak w boku szykowało — zaklął Cygan, pochlipując. — A pan Redaktor przyszedł i książki z pana szafy także zabierał. Powiedział, że pan pewnie nie wróci, to szkoda zostawiać. Jemu się przydadzą, bo pojechał do pana generała Andersa.

— Redaktor? Co mi zupy dawał? Pojechał! Jednak pojechał! Beze mnie! — Uczułem znowu, że jestem głodny.

— A pan chorąży siedzi w bunkrze i pan Kola siedzi w bunkrze — ciągnął monotonicznie Cygan. Czerwona rakietka znów rozjarzyła się na granatowym niebie, obok wykwitły zielone, pomarańczowe i żółte, razem bukietem spłynęły na ziemię. Czarna twarz Cygana powlokła się jak rtęcią trupim, neonowym światłem i zapadła się w mrok. — A mówili, że pana chorążego i pana Kolę za karę do Polski odesła.

— Przecież Kolka chciał jechać do Włoch — zawołałem w zdumieniu. — No, to się w Polsce spotkają ze Stefanem. Już on ich zakapuje.

— A panu chorążemu szafkę rozbili, aparat fotograficzny zabrali i pieniądze. O, Boże, Boże... Mnie podłożyli...

— Nie kłam, nie kłam, parszywy Cyganie, bo ci znowu mordę nabiję... Sameś pieniądze ukradł. Podpatrzyłeś, jak tata chował — odezwał się z dołu syn chorążego. Łóżko zaskrzypiało z pasji.

— O, udało się panu wrócić? — ucieszyłem się uprzejmie. — Tatusz martwił się o pana.

— Niech się tata martwi o siebie, jak głupi bić się — burknął syn chorążego. — Ja tam sobie radę dam. Głupi nie będę i w transporty do Polski nie pojedę — dodał z lekceważeniem.

— Przywiózł pan co?

— Przywiozłem — odparł — ale nie barana. To lepsze od barana. Posłuchaj pan. — Pogmerał, a z ciemności wydobył się oburzony, kobiecy pisk. — Niemrę kupiłem. Przeciągnąłem przez dziurę. Znajome kowboje na warcie stali.

— Ale pan ma szczęście — westchnąłem zazdrośnie.

— Pan by też mógł mieć, jakby pan pochodził. A pan tylko w książkach siedzi. Samo nie przyjdzie. Grunt, aby dziś.

— A jutro? Jak będzie transport?

— O jutrze będziemy jutro gadać — ostatnie słowo zachrypiało w ziewnięciu. — Chłopaki się nie dadzą.

— Tak pan myśli?

— Ale, szykują się do obrony — zapewnił z przekonaniem. — Tam — machnął ręką w stronę rozświetlonego rakietami podwórza — Grunwald robią. Ale my zrobimy lepszy. Ile chłopaki brauningów mają. A granatów, a karabinów, a rozpylaczy! Co pan myślisz, że tylko rakietnice na Grunwald? Jak ustawią ze dwa cekaemy na strychu, jak pluną... Co, okeje nie uciekną?

Podniósł się na łóżku, jakby chciał wstać. Lecz tylko owinął kobietę kocem aż po czub jasnych, puszystych włosów, opadł z westchnieniem na łóżko i wsadził rękę pod koc.

Niebo grało wszystkimi kolorami. Fontanna rakiet przepływała przez powietrze, opadała rozżarzonymi kroplami na dno ciemności, rozpryskiwała się na niebie. Czerwony dach koszar mienił się upiornie na tle nieruchomego nieba, które nabiegało raz po raz granatowym sokiem.

— Grunwald robią — rzekłem do syna chorążego. — Jutro mieli go powtarzać. Uważaj pan, żeby jej jutro nie znaleźli, bo szkoda,

— O, wielkie zmartwienie — głos mu nieco drgał jakby w zadyszce. — A niech ją złapią. Będzie mi potrzebna, albo co? A może pójdę z nią do chłopaków i będziem siedzieć na strychu. Tam są meliny, że ich diabeł nie znajdzie. Jak skończą akcję, to się wyjdzie i dobra, do następnego razu!

— Podobnież do Koburga transport ma iść — odezwał się Cygan. — Jak ja pojedę, kiedy ja taki chory? Może mnie nie wezmą? Pan umiesz po angielsku, to pan kowbojów poprosisz, panie Tadku?

Leżał odkryty i oddychał ciężko jak zdychające zwierzę. Wparł we mnie świecące odbiciem rakiet oczy. W czarnej, zapadłej twarzy błyszcząły niesamowite, jakby nafosforyzowane.

— Co ty sobie wyobrażasz, że będę się złodziejami zajmował? Szkoda, że ciebie nie udusiłem, jak jechaliśmy do Dachau, to byś nie miał kłopotu dzisiaj — rzekłem z pogardą. Syn chorążego zachichotał i pokręcił się na łóżku. — Sam muszę się schować przed transportem. Potem będzie łatwiej o jakąś funkcję w obozie, prowiantowego albo sekretarza — dodałem łagodniej. — Bo co innego robić?

— Idź pan na Grunwald — poradził syn chorążego — a jak się skończy, to się pan tu prześpisz. Bo ja mięso idę gotować.

Wstałem od stołu i brnąc po książkach dotarłem do drzwi. Naraz otwarto je z drugiej strony i z czarnej nory korytarza zamigotała w świetle żółtej rakiety ostra, ciemna twarz o wpółotwartych ustach. Rakietka spłynęła w dół, a błyszczące okulary nabiegły różową poświatą.

— Profesorze, to pan! — krzyknąłem histerycznie. Podprowadziłem go do stołu.

— Szukał mnie pan?

Profesor był wciąż w skórzanym, tyrolskim stroju. Po białych, z rzadka porośniętych czarnym włosiem kolanach przesuwały się kolorowe cienie, ogarniały bawarską koszulkę, wspinały się po twarzy i przez sufit uciekały za okno.

— Szukałem — rzekł Profesor. — Miałem przecież być u pana. Zadbalem dla pana o dobre miejsce przy ognisku. Zaraz się zacznie. Gdzież pan był tyle czasu?

Klepnął się po kolanach. Sięgnął do kieszonki. Zmięty, pokruszony papieros przewinął się przez palce i rozżarzył się w ustach nikłym płomieniem, napędzając czerwienią wargi, kładąc się słabym refleksem w rozpadlinach twarzy.

— Nie wiem, gdzie byłem, doprawdy — rzekłem słabo. Opuściłem głowę i zapatrzyłem się w podłogę. Przedarty leżał na ziemi drzeworyt z bohaterskich, wesołych i chwalebnych przygód Sowizdrzała, dziewczyna z nagimi piersiami, grająca pod ścianą na gitarze. — Gdzieś laziłem po obozie. Czy to nie wszystko jedno! Konwenanse towarzyskie? Tu! W przeddzień transportu? I tak jutro nie spotkamy się więcej.

— Ziemia jest mała! — zawołał Profesor. Zaciągnął się papierosem, Puszysty kłęb dymu błysnął różowym podbrzuszem i wypiąwszy siny grzbiet rozpląszczył się pod sufitem. — Oczywiście, że się spotkamy. Nie na tej, to na innej łące — wrócił do swojej ulubionej myśli. — Tylko... — naraz zeszytniał w pół słowa.

— Zastrzelili ją — rzekł po chwili, odrzucając niedopałek — zastrzelili ją na bramie. Poszła na spacer.

— Ta pańska sąsiadka?

— Ta, co przyjechała z Pilzna. Moja sąsiadka z domu. Jak wyjeżdżałem we wrześniu, była jeszcze dzieckiem. Nieraz, dawniej, kupowałem jej ciastka. Wie pan, były

takie z kremem. Truskawka na czubie? — Zajrzał mi w oczy, niepewny, czy przypominam. — Kolegowałem z jej ojcem — dodał tonem wyjaśnienia. — A teraz, patrz pan — uderzył mnie dłonią po ramieniu — jaka wypierśna kobieta! Już ją prawie miałem w ręku, już ją obmacywałem i co za nieszczęście...

Sięgnął znów do kieszeni. Pogrzebał w niej natarczywie. Nie znalazł. Westchnął ciężko i podparł głowę rękoma.

— Co za nieszczęście! — powtórzył jakby sennie. — Cóż robić? — Pomilczał, pokiwał głową. — Chodźmy na Grunwald! — zdecydował się.

— To ja byłem z nią. Byłem z nią w lesie — rzekłem niespodziewanie dla samego siebie. — Przy mnie zastrzelili ją. A pan mi o Grunwaldzie...

Zerwałem się z łóżka. Profesor podniósł głowę, ciężko dzwignął się, jakby wychodził z wody, zakołysał się i chwycił mnie za ręce. Brązowy jelen, wytłoczony na pasku łączącym szelki, drgał w świetle rakiet jak żywy. Na kościstej twarzy Profesora światła mieszały się i narzmiwały, czerwień beltła się z zielenią, szły razem ku czołu, podpływały pod sufit, a na ich miejsce wylewały się różowe, niebieskie i żółte światła i osadzały się pod brodą, w kątach ust, pod oczami, w zagłębieniach uszu, jak farby na portrecie. Twarz Profesora grała wszystkimi kolorami tęczy, pęczniała od środka, puchła, policzki wydymały się jak szkliste, mieniące się banie, jakby Profesor dusił się od światła. Nagle puścił ze świstem powietrze i rozwarłszy szeroko usta ryknął ogromnym, huczącym śmiechem.

— Ha, ha, ha, ha! Ha, ha, ha, ha! — dusił się dobrą chwilę od śmiechu, ściskając mi coraz silniej ręce,

a światło nabiegło mu natychmiast w otwarte usta i zakotłowało się w nich różnobarwnie.

— Profesorze, niech pan przestanie! — krzyknąłem, wyrwijąc ręce z uścisku. — Pan oszalał!

— A ja myślałem, że będę spał z nią dzisiaj. Przyzykowałem kolację. Nawet prześcieradło dostałem! Ha, ha, ha, ha! A pan z nią! Młodości, młodości! — Trząśniętym ciałem od śmiechu, wielki, chudy, obrzydliwie kolorowy. Przecież to była taka zwyczajna! Ja ją chciałem! Ha, ha, ha, ha!

Nagle zachwiał się, zakasłał się gwałtownie i schylił się ku ziemi, charcząc. Cała sala, wypełniona światłami, kołysała się jak okręt. Kolorowe sienniki, stoły, ściany, miski, książki mieniły się i wirowały jak jaskrawe kule.

— Widzisz, Profesor — odezwał się z kąta syn chorążego — nie trzeba było kochać się na starość. Dziewczyny nie dostałeś, ale gruźlicę. I Grunwaldu nie zobaczysz. Leż, leż, cholero — dodał niecierpliwie, a łóżko zachrobotać. — Kręci się, jakby jej kto smoły nalał.

— Grunwald, prawda, Grunwald! — Profesor wyprostował się. Twarz powlokła się meduzim blaskiem, zgąsła wraz z ostatnią rakietą i poszarzała jak wystygły popiół. — Chodźcie wszyscy na Grunwald!

Za oknem, w mroku, który zgasił rakiety, buchnął nagle rudy płomień, polizał czarne okna jak łaszący się pies i rozkołysał sobą mrok jak dzwon. Cienie drzew wydłużyły się aż ponad dach i chwiałały się jak świece.

— Chodźcie wszyscy na Grunwald! — zapał Profesor. Pociągnął mnie do okna. — Zobacz pan, zobacz pan! — wołał niecierpliwie. Obrócił się ku sali. — Chodźcie wszyscy — rzekł prosząco. — Weź pan dziewczynę, niech i ona zobaczy. — Wychyliłem się za parapet. W czarnej misce podwórza naokoło drgającej bani płonącego

stosu, który rozbity wiatrem rozwiewał się jak grzywa pędzącego konia, stał milczący tłum. Błyski ognia ślizgały się po twarzach i nasycaly je krwią, którą zaraz wysysała ciemność. Suche deski, płonęły z trzaskiem, a odpryski odlatywały w mrok. Światło rakiet umilkło.

— Był pan w kościółku w osiedlu niemieckim? Nie? — Profesor już się opanował. Mówił poważnie, prawie surowo. Twarz jego, odziana w mrok, stała się znowu ostra i zmęczona. — Ja tam codziennie chodzę. Spokojnie. Pełno Boga. Aż się wylewa. Amboneczka, w okieneczkach kraterki, maleńki ołtarzyk, sentencje z Biblii na ściankach. A pod jedną ze ścianek krzyżyki, na krzyżykach klepsydry, sami SS-mani! Rozumiesz pan? A kwiatów pod krzyżykami, zatrzęsienie kwiatów! — W oczach jego płonął rudy blask ogniska. — Tak Niemcy czczą swoich umarłych.

— A my? — mruknąłem z ubolewaniem. — Pies z kulawą nogą nie zadba, jak człowiek zdechnie.

Syn chorążego wstał z łóżka i przyczłapał nagi do okna. Dziewczyna w nocnej koszuli sunęła za nim cicho jak duch. Czarny Cygan podparł się na łokciu i z zadością patrzył za okno.

— My? — powtórzył Profesor w zamyśleniu. — My jesteśmy tuż przy nich. My... Patrzcie! — krzyknął drapieżnie — patrzcie na ognisko! Na to czekam, to Grunwald!

Na stos dorzucono świeżych sosnowych gałęzi. Ogień przygasł. Powiało gęstym, brudnym dymem. Wiatr odparł dym, płomień bryznął pod niebo. Z tłumy wytrzymał się ksiądz w sutannie. Biały kołnierzyk ścisnął rudą szyję. Ksiądz podniósł obie ręce, jakby błogosławił. Gdzieś z głębi ciemności wywleczono człowieka w mundurze esesmańskim. Hełm z brzękiem spadł na beton

dziedzińca. Tłum buchnął śmiechem. Człowiekowi wciśnięto z powrotem hełm na głowę. Ksiądz ujął go za ramiona, dźwignął z wysiłkiem i wśród okrzyków tłumu cisnął człowieka w ogień.

Twarz stojącej obok mnie dziewczyny poszarzała jak popiół. Oczy jej jak dwa węgle żarzyły się przerażeniem. — Zgasły, przykryte powiekami. Wczepiła we mnie kurczowo palce.

— *Was ist los?* — zaszepiała, szcękając zębami. Po głaskałem ją uspokajająco po chłodnej dłoni. Wparła się we mnie całym ciałem. Podnosił się od niej zapach, bił w nozdrza i wdrażał się w ciało. — *Was ist los?* — usta jej skrzywiły się. Odgarnęła włosy znad czoła.

— *Ruhig, ruhig, Kind* — rzekł łagodnie Profesor. — To pali się kukła SS-manna. To nasza odpowiedź — na krematoria i na kościółek.

— I na martwą dziewczynę — warknąłem przez zęby.

Sięgnąłem dłonią do tyłu. Ciepłe ciało dziewczyny przylgnęło do mnie szczelnie i drżało z podniecenia i strachu. Dyszała mi wprost w kark parnym, gorącym oddechem.

Przed tłum wystąpił Aktor, gruby, mały, ogarnięty blaskiem jak czerwonym płaszczem i podczas gdy ksiądz ciskał w ogień coraz to nowe kukły, które jak podlane naftą rozrywały się słupem płomienia i skręcały się w tym ruchu jak żywe, on podniósł ramiona w górę, uciszył krzyczący tłum, jednym gestem dłoni rozszczepił go wzdłuż szerokiej ulicy, dźwignął głowę ku ciemnym dachom koszar i dał znak.

Buchnęły kaskady rakiet. Niebo zapaliło się jak choinka, trysnęło bengalskimi ognikami i spadało kroplami na ziemię. Ze strychów odezwały się długie serie karabinów maszynowych. — Dymne pociski szły popielatymi

smugami przez niebo jak stada dzikich gęsi. Tłum, objęty pożarem rakiet, zajaskrawił się wraz z całym podwórzem, które kłębiło się i wirowało jak gnana wiatrem bańka mydlana.

— Niech umarli grzebią umarłych — rzekł w zadumie Profesor. — My, żywi, idźmy z żywymi. — Policzki jego, zanurzone w tygiel rakiet, znów nabrzmiały i napęczniały. Naraz Profesor zarechotał po raz drugi śmiechem. — Żywi z żywymi! Ha, ha, ha, ha! Ha, ha, ha, ha! żywi z żywymi. Tak jak oni na zawsze! Patrzcie!

Wyciągnął rękę w stronę hali tonącej w mętym mroku. Spod jej cienia, jak spod olbrzymiej skorupy na wpół otwartej ostrzem ognia, między kamiennymi ścianami budynków, zamazanych cieniem drzew, po dziedzińcu poesesmańskich koszar, na którym w rocznicę bitwy pod Grunwaldem rzucano na stos słomiane kukły żołnierzy z SS, w przededniu transportu, który wszystko miał zniszczyć i rozproszyć bezpowrotnie ludzi, głucho, zacięcie wbijając w beton takt, szedł Batalion i — śpiewał.

SPIS TREŚCI

Wspomnienie Anuszkowiczów

| | |
|------------------------------------|-----|
| • Pożegnanie z Marią | 5 |
| • Dzień na Harmenzach | 45 |
| • Proszę państwa do gazu | 81 |
| N Śmierć powstańca | 107 |
| N Bitwa pod Grunwaldem | 127 |

Wspomnienie w Harzlesbergu

Biblioteka Główna UMK



300001051217

U 65932

